



ŁOKCIEM I MIARKĄ.

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

ŁOKCIEM I MIARKA.

Powieść

SPOŁECZNO-OBYCZAJOWA.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-180 Warszawa

Tel. 26-69-63, 26-52-31 w. 42

ODBITKA z „NIWY”.

J. O.

WARSZAWA

DRUKIEM WŁADYSŁAWA DĘBSKIEGO,

ulica Senatorska Nr 20.



Дозволено Цензурою.

Варшава , 29 Іюня 1878 года.

PAMIĘCI
KAZIMIERZA GRUDZIŃSKIEGO
NAJLEPSZEGO OJCA

PRACĘ TĘ

z tradycyj rodzimych wysnutą,

poświęca

AUTOR.

Świetnością rodu jest cześć
nieskalana.

I.

Błada, milcząca kobieta przechadzała się w smutnej zadumie po ulicach ogrodu.

Pod jej drobnymi stopami szeleściły pożółkłe liście; nad nią blade jesienne niebo uśmiechało się zachodzącym słońcem.

Okryta czarnym szalem, w czarnej wdowiej odzieży, szła, smutno rozglądając się w około, jakby ją cmentarz otaczał, jakby stąpała pomiędzy mogiłami drogich jej osób.

Jej czarne, długimi rzęsami ocienione oczy zachodziły łzą cichego bólu. Natura cała zdawała się usposabiać do tęsknoty, odpowiadając tajemnej grze uczuć smutnej kobiety.

Jedną i drugą—jesień odarła z kwiatów i barw młodości, jedną i drugą otoczyła czarami wspomnień—suchym liściem pamiątek.

I nie dziw, że ogród ten wspaniały robił na zadumanej wrażenie cmentarza — był nim w samej rzeczy: tu spotykała ona na każdym kroku mogiły dawnych marzeń, nadziei, dawnego szczęścia; każde prawie drzewo na drodze, każda uliczka na wprost już zarosła, każdy kątek tego ogrodu był pamiątką jakiejś chwili bolesnej lub radosnej, miłej lub smutnej, ale chwili dawno przeminionej.

Pamiątki! wspomnienia! — to cmentarzysko naszego serca, z jego grobów nic już nie powstanie, jak nie powstają z mogił.

ci, co się w nich raz położyli. Łąka ogołocoła ze swej zieleni, kwiat zmrożony tchnieniem zimowem, drzewo z liści odarte, natura cała — odżyje z wiosną na nowo, zakwitnie, zazieleni się, odmłodzi... Ale serce ludzkie co raz straciło — nigdy już tego nie odzyska; ale szczęście nasze raz przeżyte — nie wraca.

Dla tego to jesień tak smutno na nas oddziaływa — i nikt się nie cieszy na widok liści spadających z drzewa, bo to obraz naszego życia, bo to dzieje każdego serca, — dzieje smutne, a tak powszednie...

Młode, ośmnastoletnie dziewczę przybiegło do matki i z pieśczołą przytuliło się do jej piersi.

Spojrzały sobie w oczy i — zamilkły — obie miały łez pełne źrenice; a ból w sercu ukryty niełatwo się daje przelać w słowa.

Szły dalej, przytulone do siebie — milcząco, szły po pochyłej drodze, między szeregami starych drzew, patrzących na nie w smutnej zadumie. Pod konarami starego dębu, w naturalnej niszy grubego pnia, stał obrazek Matki Boskiej, ubrany w wieńce zeschniętych kwiatów.

— Dąb sadzony ręką twojego pradziada, — szepnęła matka.

Ciche łkanie dziewczęcia było odpowiedzią na to przypomnienie. Uklękła przed dobrze znajomym obrazem i rzewny płacz przyniósł ulgę ściśnionej piersi.

I znowu szły dalej. Przed nimi rozstąpiły się drzewa i krzaki, i zabłysła gładka powierzchnia jeziora, w której odbijały się w tej chwili promienie zachodzącego słońca.

Drewniana, okryta dzikiem winem altanka wznosiła się na górzystym brzegu; weszły do niej.

Staroświeckie krzesło o wysokiej rzeźbionej poręczy stało tu obrócone w stronę błyszczącego w dole jeziora.

Obie kobiety zatrzymały się w smutnej, bolesnej zadumie; łzy żalu błyszcząły w ich oczach...

— Czy pamiętasz Zoniu? Na tem krześle, na kolanach babki spędzałaś długie godziny — było to ulubione jej miejsce; — tu

odmawiała modlitwy wieczorne — tu drzemała często po obiedzie z koronką w ręku... Byłaś pieszczotą babki...

— Pamiętam... wyszeptala Zonia, a cała przeszłość żywo stanęła przed okiem jej duszy.

— I to wszystko potrzeba pożegnać! pożegnać na zawsze! — O! mammo, to chyba być nie może! mybyśmy tego nie przeżyli...

— Nie mów tak, dziecko moje! potrzeba znieść wszystko, co nam Opatrzność zsyła... Ty zresztą jesteś młoda — nam, cośmy się sercem i duszą zrośli z tem rodzinnem gniazdem, cośmy tu młodość i szczęście przeżyli — nam stokroć trudniej oderwać się od wszystkiego, pójść na starość pod obcy dach, pomiędzy obcych ludzi.. Ale trzeba! trzeba się zgodzić z losem, wszystko wytrzymać, wszystko pożegnać... wszystko, wszystko!...

Mówiła to tonem spokojnej rezygnacyi; ale boleść, ukryta w głębi serca, odbiła się na twarzy — aż przelećło się dziewczę, widząc jej nagłą bladłość...

— Mammo! mammo ty cierpisz... ty strasznie cierpisz!... a ja nic na to poradzić nie mogę! nie mogę ubłagać tych okrutnych ludzi, aby nas nie wypędzali z rodzinnego kąta... O! gdybym mogła...

— Cicho! dziecko, cicho. Gdyby to dziadek usłyszał, zgromiłby cię za myśl podobną! Bierzmy przykład z niego — on tu zostawia wszystko — a jednak milczy i niczem swego żalu nie zdradza. Starca stojącego nad grobem wypędzają z domu, w którym od dziada i pradziada pokolenia całe rodziły się i wzrastały; z miejsca, gdzie chciał spocząć na wieki — a on się nie skarży. Pomyśl sobie tylko, że on traci najwięcej; że owoc długiej pracy i zabiegów jego idzie w obce ręce; że w tym ogrodzie drzewo prawie każde ręką jego sadzone, każda ulica wydeptana jego stopą; że w tej ziemi leżą kości całego rodu — a jednak on nie żali się na losy: przyjmuje odważnie i pokornie wolę nieba, które nas może za dawne jakieś grzechy karze... Bierzmy przykład z niego, moje dziecko — on ma siłę za nas wszystkich...

— O! matko—ja to widzę, ja czuję wielkość jego duszy, ko-rzę się przed nią; ale stałość podobna przechodzi moje siły! — To wszystko pożegnać! to wszystko porzucić! — o! to okropne!

I z gwałtownym płaczem upadła na krzesło, opierając głowę na jego poręczu.

Matka zamilkła, — nie mogła wymódl na sobie zimnego słowa perswazyi: zapatrzonej w gładką powierzchnię jeziora łyż zasłoniły nagle wszystko i cicho spłynęły po bladych policzkach.

Przez długą chwilę trwała cisza, przerywana tylko łkaniem młodego dziewczęcia i szmerem drzew jednostajnym i szelestem spadających liści.

Na gałęzi pobliskiego drzewa kołysało się gniazdo jakiegoś ptaszka — puste. Znać mieszkańce jego odlecieli już w cieplejsze strony, przed grozą zbliżającej się zimy.

Jeżeli wrócą na wiosnę, znajdą swe gniazdo nietknięte, — a ludzie! czyliż do gniazda swego powrócą jeszcze kiedy?

I zdawałoby się, że los wątłego gniazdzka, na chwiejnej zawieszonoj gałęzi, nie może się równać nawet stałością z losem ludzkiego gniazda, opartego na pracy pokoleń, zcementowanego ich potem i łzami!...

Powolne, ciężkie kroki dały się słyszeć w pobliżu altanki, i nim stroskane kobiety zdołały otrzeć zapłakane oczy i ukryć ślady gwałtownej boleści, pokazała się wyniosła postać starca, mierzącego je poważnem, ale spokojnem wejrzaniem.

Był to mężczyzna silnej, atletycznej prawie budowy, trzymający się pomimo wieku prosto i jakby wyniosłe. Obfita biała broda spływała mu na pierś szeroką i wypukłą; nad łagodnie złożonemi wargami bieleł wąs długi, sumiasty; nos miał orli, suchy; oczy, pełne jeszcze życia i wyrazu, patrzyły poważnie i spokojnie z pod siwych nastrzępionych brwi, — wysokie zaś i wypukłe, bruzdami zorane czoło okalał włos krótko ostrzyżony, srebrny, jak szron zimowego poranku.

— Domyśliłem się, przemówił łagodnie, że skryłyście się przedemną ze swemi łzami — i przychodzę, aby wam przeszkodzić. Łzom się nie dziwię i nie mam ich za złe — kamień na miejscu

porasta, a cóż dopiero my — ludzie! — Ale dosyć już tego! gdziekolwiek pójdziemy, spotka nas ta sama ojczysta ziemia, i wcześniej czy później złożymy w niej nasze kości, jak strudzeni wędrowcy rzucają sakwy podróżne, doszedłszy celu...

Zonia otarła z łez oczy i spojrzała w twarz mówiącego, jakby chcąc poznać, czy jego źrenice były zupełnie suche. Śladów jednak łez nie znalazła — tylko w wyrazie oczu, w bladości twarzy były znaki tajonego w głębi bólu.

— Otrzymałem list od Tadeusza, — dodał po chwili.

— Co pisze? czy zdrow? — ozwała się skwapliwie matka.

— Zdrow — i najlepszej myśli. Oczekuje naszego przybycia; cieszy się, że będziemy z sobą razem.

— A Kazio?

— Niestety! — o nim nic pomyślnego — jak zwykle. Zadługo piwo szumi — zadługo! Szkoda chłopca! — ale przecież Bóg jest miłosierny!

Matka westchnęła.

— Zkąd mu to przyszło, mój Boże! czemu tak niepodobni do siebie dwaj bracia rodzeni! Obum ich sama wykarmiła, obaj razem prawie w świat poszli, — czemuż kiedy Tadzio obrał sobie cel życia tak prędko i szczęśliwie, — Kazio dotychczas ustatkować się nie mógł! Zkąd to jego kapryśne usposobienie? zkąd ta lekkomyślność oplakana! Niekiedy sama nie wiem, czego więcej żałować: czy tego kąta, z którego nas wypędzają, czy dziecka mego, które się tak daleko od serca matki zbłąkało...

— Pytasz mnie, zkąd to pochodzi? — Posłuchaj. Gdyby kto bystremu potokowi postawił zaporę, potok złamałby ją i rozlał się szerzej niż zwykle. A jeśli zapora tak mocna, że się złamać nie daje, potok zatamowany w pędzie szumi, parska, rwie się, pieni — wszak prawda? O! lepiej stokroć młodzieńcowi jeśli jest takim potokiem, niż gdyby był stojącą wodą, spleśniałą i cuchnącą.

Starzec umilkł, jakby chcąc zapanować nad porywającym go wzruszeniem, po chwili zaś dodał.

— Nie rozpaczam o Kaziu — on jeszcze umie być młodym...

Wszyscy troje zamilkli, pogrążeni w smutnej zadumie. Zonia posadziła dziadka na krześle i sama u nóg jego usiadła.

— Dziwnie się to czasem plecie w życiu, dziwnie los sobie z ludzi żartuje, — zaczął znowu Rotmistrz, zwracając się do wnuczki. Nie pamiętam, czym ci kiedy opowiadał o Janku Środzkowskim?

— Nie, dziaduniu! nieraz słyszałam to imię, ale więcej nie wiem nic.

— Ha! dawne to dzieje!—Ja jeszcze byłem młodym chłopakiem, kiedy mówiono o tem, jako o rzeczy starzej. Altanka ta już wtedy istniała, a pamięta ona dawne czasy.

— Pewnego wieczora nieznajoma jakaś kobieta z dzieckiem dwuletniem przywlokła się do dworku ekonoma, prosząc o przytułek. Zdarzało się to często, i nieraz podróżni jacy, albo ubodzy po kilka dni przebywali u nas, a dziad mój — prapradziadek twój, Zoniu, szeroko miał dla nich otwarte i kieszeń i serce. Otóż — nazajutrz po przybyciu owej nieznajomej, doniesiono nieboszczykowi dziadowi naszemu, że znaleźli ją nieżywą, a przy niej było dziecko — sierota, Janek, jak go nazywała matka.

— Dziadek zajął się jej pogrzebem, a dziecko zostało na opiece ochmistrzyni; rosło szczęśliwie i zdrowo, między innymi dziećmi oficyalistów i starych sług dworskich. A trzeba, żebyś wiedziała, że dom twego prapradziadka liczył zawsze sporo rezydentów i rezydentek, których potomstwo chowane na naszym chlebie i pod naszym dachem szeroko potem rozbiegło się po świecie. Kilkanaście rodzin mógłbym wyliczyć, które rodzinie naszej byt swój zawdzięczają. Ale — o to mniejsza! dobroczynność jest obowiązkiem możnych; a że jej pamięć zwykła trwać niedługo i zacierać się szybko w dalszych pokoleniach — to rzecz, na którą nam się skarżyć nie należy.

— Ś. p. dziad mój zajął się szczerze losem biednego sieroty — oddał go do szkół, płacił za jego utrzymanie; a kiedy Janek powrócił już z palestry pod wąsem i padł do nóg swemu dobrodziejowi, dziękując za wszystko, dziad ofiarował mu dalszą swoją opiekę i powierzył jego staraniom sądowe sprawy, o jakie

wówczas było nie trudno, gdyż na każdym kawałku ziemi ciążyły różne zadawnione pretensye, a spory graniczne pochłaniały nieraz całe majątki zawziętych piniaczy. Dziad procesów nie lubił, ale bronić się musiał od licznych napaści; że zaś Janek okazał się biegłym patronem i w palestrze miano go za perłę, cały kierunek spraw zdał w jego ręce.

Niedługo potem upodobał sobie wychowanec młodą dziewczynę, także sierotę, córkę starego niegdyś domownika naszego; dziad pobłogosławił młodą parę—kazał dać panience całkowitą wyprawę, do ręki sto dukatów, i odbyło się huczne wesele we dworze, poczem państwo Środkowscy wyjechali do miasta. Nazywano Janka Środkowskim, gdyż we środę przyszła z nim matka na ekonomię, a prawdziwego nazwiska niepodobna się było dowiedzieć.

— Uplęnęło lat parę. Dziad nasz zaufał zupełnie Środkowskiemu i nie wglądał sam w sprawy. Ale po niejakim czasie zaczęły dochodzić go wieści, że idą one coraz gorzej, że wskutek tego grozi majątkowi prawie ruina, gdyż mnóstwo zapomnianych nawet pretensyj odezwało się nanowo i zaczęło nabierać prawnej powagi.

— Ostrzegano dziada, że go Środkowski zdradza, ale nie chciał wierzyć. Pamiętam sam, jak nieraz powtarzał: ten człowiek wyrósł na moim chlebie, ja mu byłem jakby ojcem — nie może mnie zdradzić—to fałsz! to oszczerstwo.

— Ale przyszła chwila stanowcza—ruina stawała się coraz widoczniejszą. Zaczęto odcinać kawał po kawałku ziemię na satysfakcyę różnych pretensyj. Przejrzał nieboszczyk—wszedł sam w interesa, i na własne oczy się przekonał, że mówiono prawdę. Środkowski dał się przekupić stronom przeciwnym.

-- Pamiętam ten straszny dzień,—w tej samej altance, ś. p. dziad nasz, dowiedziawszy się na pewne o tem, padł na ziemię rażony apopleksyą. Zbiegliśmy się wszyscy na ratunek—puszczono mu krew — udało się go przecie odratować, ale pierwszym słowem, jakie z ust jego wyszło, było to, jak dziś pamiętam: co za okropna przewrotność jaka szkoda tego człowieka!

Mniej go nierównie dotknęła strata majątkowa, niż strata serca, na które liczył.

Odtąd nie było już mowy u nas o Środkowskim — dziadek rumienił się, ile razy wspomniano o nim, — sprawy oddane komu innemu poszły odrazu inaczej — utrzymaliśmy się przy swojej własności.

A Środkowski zrobił, jak mówiono, znaczny majątek — syn jego nabył już dobra rozległe, ale wyniósł się w inne strony — i nie słyszałem o nim długo; aż teraz dopiero spotykamy się z sobą na nowo: prawnuk bowiem Janka, Franciszek, jest obecnie panem naszego gniazda — i przed nim to ustąpić musimy. Znam go dobrze — jest wielkim panem, panem na dzisiejszy sposób. Zręczny spekulant, handlarz — podobno podwoił fortunę ojcowską, ba! — potroić ją może?...

Szkoda mi tylko drzew moich, bo miał się z tem odezwać, że ogród zmniejszy do połowy, a resztę wytnie w pień i wykarzuje.

Zadumał się sędziwy Rotmistrz, zapłakała cicho Zonia — słychać było przez chwilę tłumione westchnienia i ciche szmery drzew i oddalony gwar wioski, w której zabierano się do wicherzy.

— Dziwne sądy Boże spełniają się na nas! — przemówił starzec. Kara to — czy próba? — któż odgadnie! Bądź co bądź trzeba się uzbroić w cierpliwość i tę szlachetną dumę, która nie dopuszcza wyrzekań i skarg. Skarżyć się nie mamy prawa, kiedy wychodząc z rodzinnego gniazda, wynosimy z niego niepokalaną cześć rodziny i dobre imię u ludzi. Przyjdzie czas, że wszystkie stare zasłużone krajowi rody zostaną z gniazd swoich wydzedziczone, a tłumy nowych ludzi zajmą ich miejsce. Zamiast tarczy herbowej, — która bywała zarazem tarczą obrony, podstawą bytu narodowego, — wzniosą się wagi i miary kupieckie — godło nowego wieku. Oby wszystkim było z tem lepiej, a nie pożałujemy straconego mienia...

— Ojciec twój, Zoniu, nie zmarnotrawił spadłej nań przodków spuścizny — utracił ją wierny głosowi obowiązku i sercal

Dzieje naszego upadku pozostaną naszą chlubą! Kto tak pada—ten się wznosi! A że nas dotknie ubóstwo, że pracy rąk własnych byt mamy zawdzięczać, to może być klęską tylko dla tych, którzy całą swą duszę zapredali złotu i po nad nie nie mają nic więcej...

— Odzywają się dziś szydercze głosy, że szlachectwo bez grosza nie ma żadnego znaczenia... To fałsz! ma ono niespożytą wartość samo w sobie, bo szlachectwo — to szlachetność, a szlachetnym można być i w łachmanach. Im to raczej, im — następcom naszym, należy obawiać się nędzy; bo gdy pieniądze z rąk im się wyslizną—cóż im zostanie?—czem będą? Nie zazdrośćmy im powodzeń i złota: bądźmy dumni z naszego ubóstwa! Jak niegdyś Korybuta na tron wyniosła miłość braci, pomimo że był ze wszystkich najuboższy, tak w nas potomność uszanuje wartość prawdziwą, jeśli pogodnie i śmiało spojrzymy w twarz losowi, choćby najgroźniejszemu.

Zonia przestała płakać — oczy jej pod wrażeniem słów starca nabrały dziwnego ognia — twarz pałała zachwytem.

Zwróciła się do matki i zaczęła namiętnie całować jej rękę.

— Mamo droga! my wywalczymy sobie szczęście! Będziemy wszyscy razem—miłość sił nam doda; zdobędziemy sobie to, czego za największe pieniądze kupić nie można — spokój i zadowolenie moralne. O! sama myśl, że i ja będę się mogła przyczynić do naszej wspólnej pracy, że będziemy walczyć, a choćby i cierpieć razem — sama myśl ta przejmuje mnie radością!

— Pocziwe dziecko! i oswoiłaś się już z myślą, że nie wrócimy tu nigdy?

— Wszyscy razem idziemy na wygnanie, matko! Co do mnie, pamięć ojca uzbroi mnie na wszystko. Przed chwilą jeszcze myślałam, że mi serce pęknie, gdy przyjdzie wyjeżdżać ztąd na zawsze; teraz, słowa dziadka dodały mi tyle siły, ile jej nie miałam nigdy dotąd. Obym tylko jak najprędzej braci uściskać mogła!

— Módl się, moje dziecko, za Kazia!... Gdybyśmy go jeszcze odzyskali! — zapłaciłby mnie Bóg za wszystko.

— A czyż on cię matko nie kocha? To być nie może! Jeżeli zblądził — powróci i kochać nas będzie, jak Tadzio. O, ja wierzę, matko — wierzę święcie, że go odzyskamy!

Rotmistrz nieznacznie otarł łzę, która mu się zakręciła w oku, i schyliwszy się nad głową dziewczęcia, pocałował je gorąco w czoło.

— Cnota u Rzymian zwała się mężstwem—przodkowie nasi wiedzieli o tem. Cnotliwą jesteś, Zoniu—Bóg ci to wynagrodził!

W tej chwili od strony dworu doleciał turkot powozu. Wszyscy troje zwrócili na to uwagę.

— Pewnie Środkowscy przyjechali się dowiedzieć, czy prędko ustąpimy im miejsca. Dopóki jesteśmy tu, winniśmy gościnność wszystkim. Chodźmy do nich.

I udali się w stronę dworu...

Dwór to był szlachecki obszerny, stary, z facyatką na górze, z gankiem o sześciu słupach, z oranżeryą od strony ogrodu, z licznem zabudowaniem dokoła, noszący ślady dawnej zamożności. Przed gankiem stał w tej chwili elegancki powóz resorowy, zaprzężony czwórką pięknych starogniadych koni, a w gościnnym pokoju dwaj przybyli oczekiwali przyjścia gospodarzy.

— Nie uwierzysz, Franiu, — mówił stary otyły mężczyzna, poprawiając w lustrze strój galowy, — jak rad jestem z naszego wspólnego postanowienia. Dziwnym trafem wpadliśmy na jedną i tę samą myśl... A powiadam ci, że będziesz miał żonkę do zazdrości! Bo to piękna — jak Wenus! wspaniała—jak królowal — a przy tem — rzecz najgłówniejsza: Wapowska! Śliczny ród! stary ród!

Syn uśmiechnął się ironicznie.

— No, ja wiem, ja wiem, że wy tam o tó nie dbacie; ale zawsze — ale zawsze... Co Wapowska — to nie jakaś pierwsza lepsza!

— Za pozwoleniem ojca. Pierwsza lepsza z grubym posagiem więcej warta od ubogiej Wapowskiej — a choćby Radziwiłłówny! Stare rzeczy, mój ojcze, stare rzeczy!

— No, dobrze — a przecież chcesz się z nią żenić?

— To z pewnością nie dla jej nazwiska! Nierozsądnie jest przywiązywać wagę do nazwiska żony, które ona traci z pierwszym dniem małżeństwa.

— Więc podobała ci się. No, wierzę — podobać się może — przecież sam przed chwilą mówiłem. Ależ jej prawie nie znasz! — no, chyba jakaś gwałtowna miłość!

— Miłość? — parsknął śmiechem Franciszek. Za kogoż mnie masz, ojczy? Dobrze to dla studentów — nie dla mnie!

— Za kogo cię mam? — za ministeryalną głowę. Ale czyż miłość dla pięknej kobiety może komukolwiek ubliżać?

— Miłość, mój ojczy, — mówił Franciszek nieco mentorskim tonem — jest bardzo piękną rzeczą, ale nie dla mnie. Zupełnie inne względy powodowały mnie do tego postanowienia.

— Bo, widzisz, ty mi się nigdy z niczem nie zwierzasz; ztąd pochodzi, że się często porozumieć nie możemy.

— A przecież dziś zgodziliśmy się na jedno.

— Prawda! święta prawda! ale — chciejże mi wytłómaczyć...

— Dobrze. Zdziwisz się ojczy, kiedy powiem, że robię ustępstwo przesądom. Wspomnienie tego nieszczęsnego stosunku dziada do Wapowskich żyje jeszcze w pamięci ludzi i staje mi na przeszkodzie. Dziś, gdy stałem się właścicielem ich dóbr, przeszkadza mi ono więcej, niż kiedykolwiek. Głupi przesąd zwała mi na barki odpowiedzialność za cudze grzechy — gotowi mnie to przypisać, że Wapowscy pójdą z torbami. Otóż, uważa ojczy, ja na to obojętnym być nie chcę, choć mógłbym; nie chcę — bo muszę żyć z ludźmi, a rodzina ta ma rozgałęzione stosunki. Więc — ale reszty ojczy się domyśli...

— Postanowiłeś ożenić się z Wapowską, aby raz na zawsze zamknąć ludziom gęby...

— Tak, nie inaczej.

— Ministeryalna głowo! niechże cię uściskam! Pobłogosławię wam z całego serca!

— Zawczasie, ojczy — niech pierwej przyrzekną mi rękę panny.

— Ale przecież nie ma wątpliwości! Jesteś bogaczem, młodym, przystojnym mężczyzną — któżby cię nie chciał!

— Być może, ale nie zwykłem nigdy być pewnym tam, gdzie wchodzi w grę nieznanne mi żywioły.

— Ależ, zmiłuj się! oświadczyły w takich warunkach jak nasze, mają wszelką pewnośc dobrego skutku.

— Zobaczymy. Uważasz ojczy — te stare dęby? — co to za doskonały budulec! Każę je ściąć na odrestaurowanie sto- doły. Ogród za wiele zajmuje miejsca — szaleństwem jest mar- nować tyle ziemi! Owoców nie jadam — zamięłowania w ogro- dach nie rozumiem. Ci Wapowscy to dziwni ludzie! — przecież oni mają kolej tak niedaleko, a dotychczas lasu nie sprzedali!

— A nie! jest las i piękny!

— Zapewne także sadzony ręką pradziadów—więc nietykalny! Dziwna ironia losu majątek ten daje w moje ręce. Dziedzictwo tyłu antenatów człowiekowi—który nie ma się na kogo oglądać...

— Ale cóż ty mówisz, Franiu!

— Ach! przepraszam ojca — zapomniałem o nieboszczyku Adamie, przez którego i z Wapowskiemi jesteśmy podobno spo- krewnieni...

W tej chwili głos rotmistrza dał się słyszeć przed gankiem.

— Tylko śmiało, mój ojczy! — ja poprzestane na pełnem uszanowania milczeniu.

— Pana Rotmistrza Dobrodzieja sługa najniższy! zaczął stary Środkowski, zbliżając się szybko na spotkanie wcho- dzącego

— Witam moich gości! — Darujcie mi, że zatrzymany w ogro- dzie nie mogłem przyjąć was w progach mojego domu.

— Nieskończenie wdzięczniśmy panu Rotmistrzowi za ła- skawe słowa. Syn mój, świeżo przybyły do kraju, życzyłby so- bie jak najprędzej złożyć swoje uszanowanie szanownym państwu, jako sąsiadom.

— Czy zamierzasz pan osiedlić się w kraju?

— Tak jest, panie — zmuszają mnie do tego interesa.

— Jakiż to nieznośny ciężar te interesa, jeśli krępują pana i przykuwają go do naszego kraju.

Stary Środkowski, zwany podsejdkiem, nie był rad z obrotu,

jaki przybrała rozmowa. Widział, że usposobi ona Rotmistrza niechętnie dla jego syna, a tego się lękał. Zdecydował się więc na przystąpienie wprost do rzeczy.

— Panie Rotmistrzu dobrodzieju! Jakkolwiek spragnieni przyjemności pokłonu zacnej pani sędzinie i pięknej sędziance, mamy jedną sprawę nader pilną... którąbyśmy chcieli załatwić z samym panem dobrodziejem wprzód, nim panie nadejdą.

— Słucham panów! Ale zapominam prosić was, abyście usiedli. Naprawdę, przywykłem już uważać się za gościa w tym domu, gdzie chwile naszego pobytu są już policzone.

— O tem właśnie mam mówić, szanowny panie. Nieskończenie wiele zależy nam na tem, abyście się państwo z wyjazdem nie spieszyli...

— Czemu? Zima już za pasem; podróż mamy dość daleką; im wcześniej staniemy na miejscu, w mieście, tem lepiej.

— Zapewne... rzeczywiście... jąkał się Podsędek. Pan Rotmistrz dobrodziej masz najzupełniejszą słuszność, ale... czy może być bardzo śpiesznym wyjazd z miejsca, gdzie się tyle lat przeżyło, gdzie tyle pamiątek... i wspomnień się pozostawi...

Rotmistrz spochmurniał.

— Jedziemy pojutrze, — odparł krótko, — jesteśmy już przygotowani do drogi.

— Jakże to nieszczęśliwie się złożyło dla mego syna, który pragnął... który pragnie...

— Abyśmy mu ustąpili miejsca?

— O! przeciwnie, podchwycił Franciszek, — prosiłbym o odroczenie projektu — o przepędzenie choćby zimy całej w tym domu.

— Dziękujemy za grzeczność — ale, darujesz pan, i my mamy nasze interesa, które zmuszają do szybkiego wyjazdu.

— Ha! w takim razie nie pozostaje mi nic, przemówił podsędek, jak rzecz całą wyłuszczyć otwarcie. Syn mój pragnął uzyskać pozwolenie — starania się o rękę panny sędzianki.

Rotmistrz zbladł i nieznacznie zagryzł usta.

— Żałuję — odrzekł, że o tem nie może być mowy, gdyż wyjazd nasz nastąpi nieodwołalnie pojutrze.

— Więc konieczność sama zmusza mnie do stanowczego kroku, — ozwał się Franciszek. Śmiej się, czy nie odmówicie mi państwo prawa szukania ich w mieście. Pozwolenie takie będzie dla mnie zarazem nadzieją.

— Tej panu dać nie mogę, — wnuczka moja ma wyłączne prawo rozporządzania swoją ręką, — bez jej woli ani ja, ani jej matka nic panu powiedzieć nie możemy. * Ale — otóż i one nadchodzą — tem lepiej, — cała rzecz się wyjaśni.

Rzeczywiście pani Wapowska z córką weszły w tej chwili do salonu, a na powitanie ich jeszcze u progu rzucił się skwapliwie Podsedek.

— Przychodzisz, Zoniu, w samą porę — ty jedna możesz dać odpowiedź, jakiej panowie żądają.

Zonia zmięszała się, — spojrzała ciekawie w oczy dziadka, ale nie mogła pojąć, co to znaczyć miało.

— Czcigodna pani sędzino dobrodziejko i wy, panno Zofio, — przemawiam tu w imieniu syna mego Franciszka, który świeżo wróciwszy z zagranicy, zamierzał prosić szanownych państwa o pozwolenie bywania w ich domu, tytułem blizkiego sąsiada i najniższego sługi. Że zaś, jak nam pan Rotmistrz dobrodziej wyjaśnił, postanowiliście państwo koniecznie wyjechać pojutrze, zmuszony jestem zapytać wręcz, czy panie pozwolą synowi memu odwiedzić się w mieście i bywać w celu zyskania sobie serca i ręki panny sędzianki.

Zonia zbladła i następnie zapłonila się, aż oczy jej zasły złąwą powłoką.

— Wiem, — dodał Podsedek, — że zapytanie to moje przychodzi nadto niespodziewanie i nagle, ale tłumaczy nas sam pośpiech wyjazdu państwa. Niech mi jednak wolno będzie, w imieniu i sprawie mego syna, dodać jeszcze parę wyjaśnień. Szanowna sędzino dobrodziejko, do was, jako do matki mowę moje zwracam. Gdyby służby syna mego zostały łaskawie przyjęte, cały majątek państwa, majątek od tylu lat zostający w ich ro-

dzinie, a dziś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności będący w ręku syna mego; pozostałby i nadal wyłączną własnością córki szanownej pani dobrodziejki, a to na mocy urzędowej, prawnej cesyi. Pragnieniem syna mego jest, aby w takim razie matka i dziadek jego małżonki nie rozłączali się z nią ani na chwilę; i to są zamiary i uczucia, z jakimi on ośmiela się prosić o łaskawą odpowiedź.

Pani Wapowska drżącym ze wzruszenia głosem odrzekła, że nie ma w tej sprawie głosu.

— Więc zwracamy się z tem do pani, panno Zofio dobrodziejko — jej łasce sprawę mego syna polecam.

Zonia spojrzała na matkę i dziadka, rumieniec w jej twarzy znowu miejsca bladeści ustąpił i przemówiła w końcu śmiało, choć z drżeniem w głosie.

— Dziękuję panom dobrodziejom za pochlebne dla mnie propozycje; miło mi widzieć przychylności ludzi w chwili, kiedy rodzina moja zamierza na zawsze opuścić te strony. Ale na za pytanie przeczącą muszę dać odpowiedź. Postanowiłam podzielić we wszystkim losy mojej matki i dziadka — chcę zostać wolną, aby się im wyłącznie poświęcić.

Skłoniła się i wyszła z pokoju.

Podsędek stał osłupiały; Franciszek starał się nadaremnie przywdziać maskę obojętności; znać było, że i on nie spodziewał się takiej odpowiedzi. I długo trwało przykre dla wszystkich milczenie, po którym też wkrótce ojciec z synem pożegnali gospodarzy i odjechali w najkwaśniejszych humorach.

Wtedy Rotmistrz i pani Wapowska poszli do drugiego pokoju, gdzie znaleźli Zonię spłakaną i drżącą.

Matka przytuliła do piersi swej główkę ukochanego dziecka, a Rotmistrz szeroką dłonią ujął jej drobne ręce i uścisnął je, nie mówiąc ani słowa.

— Och! dziadku, ile mnie ta odpowiedź kosztowała. Oni oddawali nam gniazdo nasze, a ja je odrzuciłam. Boję się, czym nie powinna była postąpić inaczej.

— Inaczej?—O, nie! dziecko moje! nie było innego sposobu. Ofiara twoja byłaby poprostu sprzedaniem się. Sumienie nie znosi takich kompromisów. Znam tego człowieka—tybyś go kochać nie mogła nigdy! tybyś go szanować nie mogła! — o, dziecko moje — nie było innej rady! Tak zwany wielki świat potępiłby twoje postąpienie... na taki kąsek złakomiłaby się niejedna księżniczka — bo kąsek książęcy! Niechże wiedzą, że w starej szlacheckiej rodzinie zachowała się jeszcze cześć staropolska, — niech wiedzą i ci handlarze bezduszni, że jest przecie coś, co się na wagę złota kupić nie da — godność osobista i szlachetna duma ubogich!

II.

Piękny dwudziestokilkoletni młodzieniec wbiegł szybko na schody jednej z najokazalszych kamienic pierwszorzędnej ulicy miasta. Schody były szerokie marmurowe, odgłos stąpania ginał w miękkim, zaścielającym je do połowy kobierca; marmurowe gracye i nimfy zdawały się witać przybyłego uśmiechem, jakby postać dobrze sobie znajomą.

Młodzieniec zatrzymał się przed drzwiami na pierwszym piętrze, pocisnął kościany guziczek — i wnet na dźwięk srebrnego dzwonka galonowany lokaj otworzył przed nim podwoje i wpuszcwszy go, zamknął je znowu. Przybyły kiwnął mu głową i przeszedłszy wspaniałą salę, zapukał z lekka do drzwi.

— Entrez! — ozwał się dźwięczny głos kobiety.

Młodzieniec wszedł.

Piękny budoar bogaty otworzył przed nim swoje wnętrze. Ściany koloru ciemno karmazynowego błyskały złotym liściem fantastycznych jakichś kwiatów; sufit zdobiło gustowne malowanie i rzeźby al fresco, w rogach stały wyniosłe palmy w kosztownych wazonach, aksamitne karmazynowe kozetki, szeszlongi i karły grupowały się w umyślnym nieporządku, ciężkie makaty zwieszały się przy wielkich lustrzanych oknach i drzwiach, a ol-

brzymi perski dywan wyścielał całą posadzkę. W powietrzu unosiły się wonie wytwornych pachnideł, słabe o tyle, że nie drażniły zbyt mocno nerwów, a dość jednak mocne, aby się przyczynić do pewnego upojenia mniej oswojonej z nimi głowy. Ostatnie promienie zachodzącego słońca zazierały nieśmiało przez koronkowe firanki.

Przed wielkiem lustrem o złotych rzeźbionych ramach stała młoda, piękna kobieta w ciężkiej jedwabnej sukni nieokreślonego koloru i poprawiała od niechcienia wspaniałe popielate włosy, w których jaśniał nawpółrozwinęty kwiat pąsowej kamelii.

Piękna pani wdzięcznie odwróciła głowę i uśmiechem powitała przybyłego młodzieńca, w uśmiechu tym pokazując ząbki drobne jak perełki.

On zbliżył się i ujawszy białą i ciepłą jej rączkę, do ust swych przycisnął.

— Czy na wizytę? — zapytał, mierząc okiem świetny strój budoarowej bogini.

— Gorzej! na pierwsze przedstawienie dramatu. Nieznośna konieczność.

I siadając, wskazała mu ręką miejsce przy sobie na kozetce. Młodzieniec usiadł.

— Jesteś pani sama?

— Od wczoraj, baron wyjechał do Wiednia.

— Sądziłem, że moje przyście da pani rozrywkę w jej samotności — ale teraz — może jestem natrętnym gościem?...

— Oh! co za myśl! natrętnym nie bywasz pan nigdy — ja to raczej skarżyć się muszę, że ten dramat dzisiejszy przyszedł tak nie w porę. Mamy wszakże dość czasu.

— Zazdroszczę autorowi, który ma własność przyciągania takich słuchaczek...

— Komplement? — zapytała, marszcząc z lekka brwi — panie Kazimierzu — to coś nowego.

— Jesteś pani dziś oślepiająco piękna...

— Zawdzięczam to zapewne szarej godzinie.

— Gdyby tak było — miałabyś pani własność świętojańskich robaczków, które świecą w ciemności...

Baronowa zaśmiała się jakoś przymusowo.

Coś musiało stanąć między tem dwojgiem ludzi, bo z nich jedno i drugie raziło nienaturalnym chłodem.

Rozmowa urywała się co chwila i zawiązywała nowa sztucznie, niezręcznie.

Tymczasem powoli ściemniło się.

— Zapomniałam podziękować za przysłane nuty — i wyciągnęła rączkę, którą młodzieniec ujął i zatrzymał w swej dłoni. Rączka się nie bronila, a jej miękkie dotknięcie rozgrzało Kazimierza.

— Czy dramat ów jest złem nieuniknionem?

— Niestety! — przyrzekłam najsolenniejszemu księżniczce Amelii, że ją wezmę do naszej łoży — księżna chora, a księżniczka tak jest spragniona nowych wrażeń...

— Pani nie podzielasz jej usposobienia?...

— Owszem, mam do pana prośbę...

— Jaką? — jestem na rozkazy.

— Proszę o mój mazurek Szopena...

— Nie będzie to wrażenie nowe — co zaś do dawnych, te raz przeminione nie wracają...

— *Mais ou revient toujours à ses premiers amours...*

Kazimierz zbliżył się do stojącego opodal eleganckiego pianina i za chwilę kapryśne dźwięki szopenowskiego mazurka popłynęły wśród ciszy.

Musiały mu one coś przypominać, musiały mieć swą tajemniczą wymowę, gdyż grający utonął całą duszą w tej fantastycznej kaskadzie tonów...

Aż uczył nagle dotknięcie czegoś lekkiego, jak puch łabędzi, co mu spłynęło na płonące czoło.

Były to pukle jedwabnych włosów pochylonej nad nim baronowej...

Mazurek Szopena jakimś dziwnym zakończył się rozdźwiękiem.

Ale zdawało się, że zerwane jego tony, długim musiały się odezwać echem w sercach młodej pary, gdyż zastąpiły jej one wszelką rozmowę na długą chwilę.

Zabrzmiał dzwonek, poruszony ręką baronowej — lokaj pokazał się we drzwiach ze złożonym w ręku świecznikiem.

Kazimierz stał już z kapeluszem w ręku.

— Nie odchodź pan jeszcze! — z przyjemnością opóźnię się na przedstawienie...

— Ale księżniczka czeka...

— Ach! zapomniałam o niej zupełnie. To prawda — nieznośna pańszczyzna!

— Czy mam życzyć i pani udziału w tych nowych wrażeniach?

— Nie pragnę ich wcale. Czy są już konie? — zapytała odchodzącego lokaja.

— Kareta Jasnej pani czeka.

— Dziękuję za mazurka raz jeszcze... do widzenia!

I podała młodzieńcowi swoją rączkę, którą on w milczeniu uściskał i — odszedł.

Na schodach spotkał się z idącym w górę mężczyzną.

Skłonili się sobie nawzajem — był to hrabia Karol, zwany Don Juanem w świecie salonowym.

Kazimierz zszedł na dół, ale tu zatrzymał się. Był pewnym, że hrabia dążył do baronowej i sądził, że go ona nie przyjmie.

Stało się przeciwnie.

Kazimierz wyszedł na ulicę. Przed domem stała kobieta, oczekująca na swoją panią.

Młodzieniec odszedł na stronę i czekał, — czekał, czy nie zobaczy baronowej, wsiadającej do powozu.

Ale czekał na próżno. Po jakimś czasie lokaj pokazał się w ulicy, powiedział coś stangretowi i kareta powróciła do wozowni.

Więc baronowa została w domu...

Kazimierz pospieszył do miasta. Przeszedłszy kilka ulic

wpadł do jakiegoś domu i mocno pociągnął za dzwonek parterowego mieszkania.

Otworzono mu natychmiast i z głębi doleciał go gwar kilkunastu głosów.

— Witamy! witamy! odezwał się niski pękaty jegomość, wyciągając na powitanie rękę opatrzoną pierścionkami. Na jej wskazującym palcu świecił sygnet z głęboko wyrzniętym na nim herbem Jastrzębiec.

— Wapowski! co się stało? jesteś blady jak ściana! Czyś chory? zawołano od stolika.

— W samej rzeczy jestem niezdrów.

To siadaj tu z nami — ponczyk, powiadam ci znakomity — on ciebie uleczy. Już to Kubuś mistrzowsko go przyrządza.

Kubuś — ów pękaty jegomość z Jastrzębcem na sygnecie, uśmiechnął się z zadowoleniem...

Kazimierz przywitał obecnych. Towarzystwo składało się przeważnie z młodych ludzi, pomiędzy którymi było zaledwie paru podtatusiałych kawalerów.

Siedzieli wszyscy dokoła stołu, na którym leżały stopy kart i pieniędzy, a obok na kilku mniejszych stolikach stały wazy ponczu, butelki i szklanki. Dym tytuniowy wraz z parą ponczową unosiły się w powietrzu.

— Szkoda, żeś wcześniej nie przyszedł; Kubuś dokazuje cudów! Dwa razy zerwał bank! Jeżeli ty go swoim znanem szczęściem nie poskromisz, puści nas wszystkich z torbami. No — Kubuś, — ja poniteruję na szczęście Wapowskiego.

Gra zaczęła się na nowo. Kazimierz usiadł na stronie zły i zgryziony. Na pięknej jego twarzy malowało się zniechęcenie i żal. Zaczął napełniać sobie szklanki i wychylał je jedną po drugiej. Grający zapomnieli o nim zajęci sobą — on zdawał się zapominać o całym świecie — i pił, pił bez końca.

Tak przeszło sporo czasu. Na dworze szalała jesienna zawierucha i wiatr z szyderczym poświstem uderzał w okna pokoju. Na kominku dogorywały resztki drzewa i błyskały gas-

nące w powietrzu iskry, przed wzrokiem wpatzonego bezmyślnie Kazimierza.

— Ale cóż to? Wapowski! Kaziu! — ty nie grasz?

— Kaziu! pójźże do nas! — co u licha ciekawego znalazłeś w tem dogasającym ognisku?

— Ba! on chyba zasnął! Kaziu! Wapowski — zaczęto walczyć nań ze wszystkich stron.

Ocknął się wreszcie i spojrzął na nich osłupiałym wzrokiem.

— Czego chcecie

— Chodź grać — nie udawaj świętoszka!

— Dobrze! oczy mu się zaiskrzyły i niepewnym gwałtownym krokiem zbliżył się do stołu.

Kto trzyma bank?

— A ktoż jak nie Kubuś! Oho! teraz zobaczymy! Kubuś padnie trupem — jak a m e n w pacierzu.

Wapowski położył przed sobą paczkę papierowych pieniędzy. Wziął pierwszą lepszą kartę, położył na niej kilkanaście rubli i wyciągnął rękę.

Kubuś ciągnął bank — wszyscy patrzyli z uwagą.

— Jest! — wygrał Kazio!

— Parol! — krzyknął Wapowski, zgarniając na tę samą kartę wygrane pieniądze.

— Jest znowu! — zawołano po chwili chórem. Kubuś dostaniesz w skórę!

— Szalone szczęście!

— Fenomenalne! — nigdy nie przegrywa!

— Va banque! — zawołał Kazimierz, nie zmieniając karty.

Kubuś się zmieszał, ale ciągnął dalej.

— Bravo! bravo — Kaziu! pomścicieś nas!

— To szczególnie! na jedną i tę samą kartę!

— No cóż, Kubusiu? bank dyabli wzięli? co?

— Pokazuje się, że masz względy u dam, Kaziu. Żeby dama trzy razy komu dopisała — to niesłychane!

— Każ ją sobie w ramki oprawić — przyniosła ci sporą sumę.

— Czemu się dziwicie? toż przecie dama karowa, nikt inny tylko piękna baronowa Julia! a któż o tem nie wie, że Kazio ma u niej szczególne względy.

Kazimierz gwałtownie zmiął kartę w rękę i pod stół ją rzucił.

— Otóż wdzięczność! — Nie! Kaziu, to się nie godzi! cóż ci baronowa zawiniła?

Tymczasem Kubuś przygotowywał się do nowej walki.

— Patrzcie no! Kubuś nie daje za wygranę! wykłada pieniądze! — Cóż to? ciągniesz znowu?

— Jeżeli chcecie — służę.

— Gram! — krzyknął Kazimierz, wyciągając kartę.

— Ja trzymam za Kaziem.

— I ja.

— I ja.

Kubuś się dobrotliwie uśmiechnął.

— Jestem gotów.

— Sto rubli! — wołał rozgorączkowany Kazio.

— Moje — szepnął po chwili Kubuś.

Kazimierz zmienił kartę.

— Dwieście!

— I te — powtórzył Kubuś.

— A fe!—Kaziu! cóż to znaczy? Przegrywasz? My trzymamy za tobą — bój się Boga!

— Czterysta! — zagrzmiął głos znowu.

Nadeszła chwila milczenia. Słychać było tylko szelest przedkładanych kart.

Nikt się nie odzywał, jakby się lękano spłoszyć wracające może Kazimierzowi szczęście.

Kazio był dobrym kolegą — lubili go, podczas gdy Kubuś żył ich kosztem i pocichu z nich sztydził. Podejrzowano go nawet, że gra nieuczciwie, ale to mogło nie być prawdą. Kubuś skarżył się na ludzką obmowę.

— Że gram lepiej od nich, radziby mnie zrobić szulerem! Fałsz wierutny! Klnę się na mój Jastrzębiec! Zresztą nie zmuszam ich do grania, a że się sami proszą — nie moja wina! Każdy pracuje jak może! Walka o byt, trudna rada! — walką o byt!

Tym razem Kubuś musiałby być chyba niezmiernie zęcym, gdyby potrafił sztucznie zwabić do siebie szczęście. Wszyscy bowiem patrzyli w jego ręce z natężoną uwagą. Kazio jeden był obojętnym.

— Moje! — przemówił wreszcie z tryumfem Kubuś.

Wszyscy krzyknęli chórem.

— Któż tak gra! Kaziu — pojęcia nie masz o grze! — wiedziałeś, że mu się szczęści — po cóż było tak ryzykować?

Kazimierz milczał — przegrana ta otrzeźwiła go nieco — poznał, że stracił prawie wszystko i zostało mu zaledwo kilkanaście rubli w kieszeni. Ale spojrzawszy przed siebie dojrzał złośliwy uśmiech Kubusia — i to go zapaliło na nowo.

— Reszta! — zawołał, kładnąc całą portmonetkę na stole.

I tym razem szczęście mu nie dopisało.

Powstał bez grosza.

Kubuś śmiał się coraz serdeczniej.

Gwałtownym ruchem wyrwał więc złoty zegarek z kieszeni i postawił na kartę.

— Dajże pokój! — odezwały się głosy.

— Czemu nie? czemu nie? — śmiał się Kubuś. Pan Wapowski może się odegrać.

— To przynajmniej powróć do pierwszej karty — postaw na damę karową. Ot ją masz — stawiaj!

Kazimierz położył na tej karcie zegarek. Była to pamiątka po ojcu.

I znowu przeszła chwila ciszy, i tym razem zdradziła dama karowa.

Kubuś zabrał zegarek.

— No — teraz z nami kwita, — dodał szydérczo.

Wapowski zbladł.

— Za pozwoleniem! jeszcze nie koniec — krzyknął gwałto-

wnie, ale po chwili, jakby mu myśl nowa przysłała do głowy. wstał i porwawszy za kapelusz wybiegł z pokoju.

— Za chwilę panu służę — rzekł drżącym głosem.

Rozgorączkowany, drżący, z rozpaloną głową, ze ściśniętem sercem znalazł się na ulicy. Noc była ciemna, deszcz padał, — wiatr niósł mu w twarz wielkie, chłodne krople. Przytomność powracała, a z nią i pamięć. Prawą ręką przyciskał do piersi złoty krzyżyk z brylantami, pamiątkę od matki, pomimo ogarniającego go szału, nie ośmielił się rzucić go na stół, postawić na kartę.

Niedaleko mieszkał lichwiarz, pod zastaw tego krzyżyka dostanie pieniędzy, z tą myślą śpieszył do znajomego sobie domu.

Znalazł go pomimo ciemności, deszczu i niezupełnie odzyskanej pamięci. Znalazł i mocno zapukał do drzwi.

— Zaraz, zaraz, dał się słyszeć głos, i po niedługiej chwili drzwi się otworzyły i pokazał się mężczyzna w sile wieku, w eleganckim szlafroku, przypominający Anglika z wypuszczonych rudawych faworytów i flegmatycznej ministryalnej miny.

Pan Rudolf Szuja miał się za bardzo porządnego i poważnego obywatela. Interesantów swoich zwykł traktować z góry, dając im do poznania, że dziesiąty procent na miesiąc pobierany przez niego, był tylko prostą grzecznością, łaską z jego strony, za którą należało być wdzięcznym. I miał słuszność, bo przecież, gdyby on — pan Szuja, nie szedł z pomocą swojego grosza potrzebującej ludzkości, to ludzkość owa musiałaby się udać do żydów, którzy mogliby wziąć więcej jeszcze, a co najważniejsza, nie miałyby się do czynienia z człowiekiem tak przyzwoitym i porządnym.

Pan Rudolf, wyższy nad przestarzałe przesady, nie tał się nawet ze swoim rzemiosłem, o ile oczywiście nie narażało go to na przykrości ze strony przesądnego prawa. Lichwa jego zdaniem była rzeczą względną i bynajmniej nie tak ohydną, jak się niektórym idealistom zdaje. Trudno loicznie oznaczyć gdzie mianowicie kończy się procent, a gdzie się zaczyna lichwa. Zresztą, przecież on nikogo nie zmusza, rzecz cała wynika z dobrej

woli stron, a jeżeli na niej jedna strona traci — ha! to trudno! — to walka o byt!

— Czego pan sobie życzysz? — zapytał grzecznie, ale chłodno. Wapowski w milczeniu podał mu zdjęty z szyi krzyżyk.

— Niech pan spocznie — za chwilę będę mu służył.

To powiedziawszy, pan Rudolf wyszedł poważnie do drugiego pokoju, zamykając za sobą drzwi, a Kazimierz padł na kanapę znużony i rozdrażniony.

Owładnęło nim uczucie niewysłowionego niesmaku moralnego, radby uciec na koniec świata od ludzi, od życia, od samego siebie. Zdrada pięknej baronowej, o której miał podejrzenie, a która teraz stała się niezaprzeczonym faktem, fatalna gra, która go pozbawiła ostatniego grosza, towarzysze, uwielbiający go w powodzeniu a potępiający w niedoli, Kubuś ze swoim herbowym sygnetem, spoconą wiecznie twarzą i tytułem porządnego człowieka... lichwiarz angłoman z ministeryalną miną, — całe życie bez jutra, bez celu i barwy, wszystko to razem przygniatało go, napełniło wstrętem do samego siebie i powoli odzierało duszę ze wszystkich dotychczasowych marzeń i złudzeń.

Wszystko, co mu się dotychczas uśmiechało, co pociągało go do siebie siłą nieprzewycięzonego uroku, stało teraz przed nim nagie, nędzne, ohydne. Wstrętne obrzydliwe twarze otoczyły go dokoła i śmiały się i wykrzywiały szyderczo i wytykały go palcami.

Był to rodzaj gorączki czy jasnowiedzenia, walka duszy ze zgnębnym ciałem, — pół sen, pół jawa...

Kazimierz spał z otworzonymi oczyma, jak ujęci snem magnetycznym, a wyobraźnia, górując nad innymi władzami, objęła nad nim rządy despotyczne.

W pokoju było ciemno, słabo go rozjaśniała stojąca na stole świeca, której płomykiem wiatr, wdzierający się szczelinami okien, chwiał na wszystkie strony.

Z mroku, zalegającego kąty pokoju, występowały niewyraźnie rozmaite przedmioty... Staroświecki zegar z bronzowymi ozdobami, wielki, zczerniały, milczący... Rozbite wazy i urny

z saskiej porcelany, kilka starych portretów o ciemnych groźnych twarzach — lśniących zbrojach i splowiałych karmazynach, kilka kawałków zardzewiałego żelaza i karabela z kosztowną rękojeścią, w pochwie, w jaszczór oprawnej...

Pan Rudolf chętnie przyjmował podobne fanty, bo je następnie sprzedawał znawcom i amatorom z olbrzymim dla siebie zyskiem.

Migotliwe światło świecy padało chwilami na te przedmioty, to znowu pogrążało je w ciemności.

Rozgorączkowana wyobraźnia Kazimierza obdarzyła je życiem — ciche szmery zaczęły powstawać z szarego kąta, szcęk mieczów, chrząst zbroi, brzęk puharów, gwar starego zegara — wszystko razem mięszało się w chaotycznym nieładzie, odzywając się ludzką mową...

Z ulicy dochodził odgłos szalejącego wiatru, żałobne jęki rozlegały się w kominie, a jednak tajemnicze szmery szarego kąta wyraźnie dochodziły do uszu zdumionego młodzieńca. Nie śmiejąc poruszyć się z miejsca, siedział i — słuchał.

Oto co mu mówiły te głosy.

— Byłam własnością prapradziada jednego z tobie równych praprawnuków... — zaczęła karabela, zdobył mnie pod Chocimem i krwią okupił. Stworzona dla użytku Bisurmanów — grałam potem na ich czaszkach... Pamiętam Wiedeń, Parkany, Gran, Lwów, Multany... pamiętam długą przerwę, jaka nadeszła po przebytych burzach. Syn mnie odbierał po ojcu, jako najdroższą pamiątkę, jako godło swego powołania, wyjmował do połowy z pochwy podczas czytania ewangelii w kościele, bo i ja byłam ochrzczonej — podwójnym chrztem... krzyż świeci na mej klindze tuż obok dawnego półksiężycyca i mam szczerb kilkanaście — ślady krwawego chrztu...

Byłam tam, gdzie się roztrzygały losy kraju! Pamiętam Raclawice, Szczekociny, Maciejowice... Pamiętam dużo złych i dobrych chwil, ale nie doznałam nigdy hańby, w jakiej dziś zostaje. Potomek bohaterów zgnuśniały, niewieściuch zrodzony z krwi rycerskiej rzucił mnie jak niepotrzebne żelaztwo w ob-

mierźle ręce lichwiarza. Targował się o lichy datek, jak przodkowie jego wiedli z wrogami: spory o cześć i życie! — targował się, bo mu trzeba było pieniędzy na hulanki, bo mu przedajna kochanka odmówiła uścisków swoich, bo go bolało, że prawnuk senatorów nie miał ich złota... Pierwszy raz w jassyr mnie wzięto, sprzedano raczej ohydnie, Czemuż nie jestem w grobie którego z moich dawnych panów... czemu? kiedy lepiej zginąć, niż żyć nikiemnie?

A ty, po coś tu przyszedł? czyli także ciążyła jaka pamiątka dawnej świetności, czy cię także paliło jakie godło szlachectwa?... Za ciężki to honor na wasze skalane piersi — rzućcie go! Wasz płaszcz rycerski podarty, byłby jeszcze świetną purpurą, ale splamiony jest hańbą!

Hańba tym, co otrzymali namaszczenie apostołstwa, a żyją jak handlarze świętości! hańba tym, co w gnieździe uczciwem zrodzeni, kalają go bezwstydnie! hańba tym, co zamiast mieczem, głową i sercem mierzyć dane im życie, mierzą je łokciem i wagą! Już wy straciliście swoje szlachectwo, bo ono służy tylko szlachetnym. Wróble w orlem gnieździe zrodzone, gniazdo to plugawicie! — Precz z niego! orle skrzydła mieć trzeba, żeby się orłem nazywać!

Głos zamilkł... Kazimierz słuchał jeszcze, głowa mu płonęła, serce ścisnęło się w piersi, drżał całym ciałem i łzy zimne spływały mu po twarzy. Twarz go paliła, jakby dotknięta zniewagą, a usta drgały febrycznie, jakby o litość prosiły...

Odezwał się głos nowy, pochodził on z głębi stalowego pancerza.

Jak człowiek dręczony przykrymi snami, rzucił się Kazimierz, jakby chciał powstać i iść, ale go zmora senna gniołła i upadł znowu na siedzenie bezwładnie. Pot kroplami ściekał mu z twarzy.

Tymczasem nowy głos odezwał się w szarym kącie... pochodził on z kryształowego, olbrzymiego puharu. Głos ten mówił:

— I ja pamiętam dawne czasy, i ja miewałem świetne chwile, nim smutną koleją przyszło mi spocząć na tem miejscu. Pamiętam wspaniałe uczyty, tłumy biesiadników w kosztownych szatach, o twarzach męzkich, ogorzałych, zdrowych, twarzach, które umiały się śmiać wesoło, odbijając na sobie całe wnętrze natury dobroduszej, otwartej, serdecznej i hulaszczcej. Noszę na sobie napis *Gość w dom — Bóg w dom!* — a napis ten nie kłamie. Jak piwnice otwierały się na jego przyjęcie, tak otwierało się i serce gospodarza, — a ile w pierwszych było wytrawnego miodu, tyle w drugim serdecznej i stałej przyjaźni. Słyszałem rozmowy statystów, troszczących się o dobro publiczne, wspomnienia przebyłych bojów z ust starca, gwarzącego zimowym wieczorem, słyszałem głośnie wiwaty przy ucztach, mowy przygodne, gwary ucztujących, spory podchmielonych, chrzęst ścierających się ze sobą karabeli, dobytých w gorącym uniesieniu.

Tobie, co patrzysz na mnie zdaje się może, żem był jedynie świadkiem burd, pijatyk i zwad karczemnych! Mylisz się, choć i to bywało.

Krew lawą gorącą grała w żyłach tamtych ludzi — od kielicha do korda było niedaleko, ale to nie pojedynki dzisiejsze! to nie były ataki rozdrażnionych nerwów! Żyło się życiem pełnem, niepołowicznym, życiem, co niekiedy jak wino z przepelnionego kielicha rozlewało się z pianą i szumem.

Burdy, bijatki przejmują was dziś wstrętem! — a wasze hulanki i wasza rozpusta czy więcej warte?

Tamte były nadmiarem sił, krwi i ognia — a wasze namiętności ślimacze, które jednakże pochłaniają wam życie, czyż nie dowodzą wyuzdania chuci przy braku siły? O! przyjdzie czas, że w puharze, z którego pradziad pił — prawnuk kąpać się będzie!

Śmiech szydrczy zakończył te słowa...

Kazimierz cierpiał okropnie — zmora senna nie ustępowała mu z piersi — czuł wszystko, a poruszyć się nie mógł, — chciał krzyknąć — głos mu konał w gardzieli...

Z kolei odezwał się głos starego zegara. Cichy, chrapliwy, smutny, słuchającego drażnił boleśnie.

— Jestem także pamiątką dawnych czasów... Liczyłem godziny, dni i lata twoich może przodków—miano mnie za członka rodziny, bom dzwonił na chrzciny, na ślub i na pogrzeb, dzieci przynęcał memi kurantami, starym liczył powoli upływające chwile życia. Widziałem, jak ojciec, leżący na śmiertelnej pościeli, błogosławił syna i zaklinał go na pamięć o sobie, na cześć rodziny niepokalaną, aby ją również czystą zachował... Widziałem matkę, jak marzyła słodko nad głową ukochanego dziecka, kiedy je sen ujął w swoje ramiona... Widziałem, jak roiała dla niego przyszłość świetną, życie pełne czci i zasługi, a sobie dumę radosną i szczęście... Widziałem, jak mu krzyżyk zawiesiła na piersi, aby go strzegł od wszystkiego złego i zachował w cności i zdrowiu...

Niestety! czekałem niedługo... syn ów ledwo z objęcia matczynego wyszedł, wzgardził tem wszystkim i ojca błogosławieństwem i matki łzami i jej rojeniem o szczęściu. Zamilkłem z żalu, bo i ja mam serce, — serce to we mnie bić przestało, stałem się niepotrzebnym gratem — znalazłem się tutaj.

I słusznie! Mój wychowaniec mnie już nie potrzebuje! Na co wam czas? na co wam jego miara?

Chwili obecnej nie cenicie — jutra nie macie, ludzie bez jutra i bez czasu, dla was wszystko jedno! Kto życie ceni, kto je mierzy wielkością obowiązków i pracy, kto dla jutra pracuje — ten z czasem liczyć się musi... Ale wy! na co wam czas! Dla was dzisiaj — nic, jutro — nic i za grobem — nic! Gdybyż to czas ten niepotrzebny oddać na lichwę? Nie wiecie, że lichwiarz zawsze jest z wami — lichwiarzem tym — życie! Ono was odziera z kapitałów siły i zdrowia, aż w końcu przyśle wam komornika — śmierć. Hulaj dusza bez kontusza, a grób wcześniej czy później — jednakowo pusty!

Zerwał się Kazimierz z miejsca — przetaił oczy — otaczała go ciemność grobowa i cisza.

Gwałtownym krokiem rzucił się do drzwi lichwiarza, krzyząc: Oдай mi mój krzyżyk! oddaj mi! ja nie chcę pieniędzy!

W drugim pokoju Szuja przywitał swego gościa zdziwieniem.

— Co panu jest? kiedy przyniosłem mu na żądanie pieniądze — spałeś, nie chciałem cię budzić. Oto są.

Krzyżyk mi oddaj! krzyknął młodzieciec i porwawszy go z rąk zdumionego Rudolfa, wypadł szybko z pokoju. Miał oczy pełne łez i spazmatyczne jęki wyrywały mu się z piersi.

III.

Noc burzliwa i ciemna całe miasto całunami okryła, a wicher wył mu złowrogo jakąś cmentarną melodyę i ciskał kroplami deszczu, jakby święconą wodą co na wieko trumny upada.

Okropny był czas — nie dziw, że i w ulicach pusto, a zresztą już po północy. Zegar ratuszowy dawno wyjącał dwunastą.

Lud nasz mniema, że w takie noce piekło się raduje z przybycia nowego potępieńca, że te szalone wichry, wyprawiające złowieszczą w powietrzu wrzawę — to złe duchy tańczące w okóło jakiegoś wisielca....

W samej rzeczy wściekle wichry jesienne mają naprawdę demoniczny charakter i przykro na każdego oddziaływać muszą.

Może to przypomnienie tych lat, w których niezdolni jeszcze do tłumaczenia sobie zjawisk natury i analizowania własnych wrażeń, tulili się trwożnie do piersi matczynej, albo chowali głowę pod poduszkę, by tylko niesłyszeć przeraźliwego jęczenia, przejmującego dreszczem zabobonnej trwogi....

Bądź co bądź szczęśliwy, kto w takie wieczory i noce może się przy rodzinnem ogrzać ognisku, komu melodya wichrów

nie budzi żadnego w piersi echa, kto może jej słuchać spokojnie, jakby odgłosów harfy eolskiej, nakłaniających go do fantastycznych marzeń....

Biedny — kto w noc taką niema ducha nad głową, biedny, kto jak liść burzą od rodzinnego oderwany drzewa nie może sobie znaleźć oparcia, — najbiedniejszy, w kim walka żywiołów znajduje odgłos pokrewny i budzi stokroć straszniejszą — wewnętrzną burzę....

W tem usposobieniu zostawał Kazimierz po wyjściu z mieszkania Rudolfa, tajemnicze głosy sumienia, które rozgorączkowana wyobraźnia upostaciowała, brzmiały mu nieustannie w uszach przytłaczając go ciężarem wstydu i poniżenia. Czuł całą nicość swojego życia, jego bezcelowość i nędzę moralną. Gardził sobą za tę lekkomyślną słabość, z jaką dał się pociągnąć prądowi, oszukać pozorom, zachwycić blichtrzem, Cała powabna strona tego życia, to, co go dotąd pociągało, upadło naraz, niby mary senne po przebudzeniu. Natomiast wszystko, co tylko w niem było cierpkiego, bójącego, ujemnego — wystąpiło na jaw.

Kazimierz przepędził kilka lat po wyjściu ze szkół w sferach wielkiego świata. Dało mu do nich wstęp — nazwisko, młodość, uroda i piękne ułożenie. Z razu chwymano go sobie nawzajem, kobiety kochały się w nim na zabój *le bean Casimie* był w modzie — zawróciło mu to głowę zupełnie. Pieszczony, chwਾਲony, kochany, przedmiot zazdrości i uwielbień, nie mógł oczywiście pomyśleć nawet o wycofaniu się z tego świata, choć błagała go o to matka, upominał dziadek i choć czuł to sam, że nie posiada w niezbędnej w salonowym świecie kwalifikacji — majątku.

Wprawdzie oprócz niego nikt o tem nie wiedział, owszem, chodziły wieści o wielkiem Wapowskich bogactwie, a Kazimierz, chcąc się utrzymać na wysokości tej opinii, żył, jak na wielkiego pana przystało.

Żył—ale jakim kosztem? To, co mu nadsyłało z domu nie mogło w żaden sposób wystarczyć, a i to ustało zupełnie z chwi-

lą, w której przekonano się, że Kazio pracować nie myśli i pieniądze trwoni.

Nie miał więc nic — a trzeba było bądź co bądź żyć na raz obranej stopie. Młody chłopak spróbował szczęścia przy zielonym stole — dopisało mu nadspodziewanie. W kilku szczęśliwych wieczorach wygrał tyle, że mu starczyło na długo. A zresztą — stosunki rozgałęzione z bogatą młodzieżą, opinija bogacza i wybrańca fortuny nastęrczały mu nie mało źródeł dochodu. Żydzi czekali tylko na jego skinienie, wszędzie miał kredyt otwarty i łatwy. W tym czasie stosunek zawiązany z nadobną Baronową, o którym wkrótce mówiono powszechnie, stał się jednym więcej węzłem, wiążącym go do życia, które lekkomyślnie rozpoczął. Zapomniał więc o całym świecie, o rodzinie, o przyszłości, i żył tylko dniem dzisiejszym upojony — szczęśliwy.

Upajały go wonie tajemniczych budoarów, wytworność i bogactwo, atmosfera zbytku i rozkoszy. Pieściły miękkie dłonie salonowych piękności, paliły nęcące wejrzenia, uszczęśliwiała miłość najpiękniejszej kobiety pił całą duszą z kielicha zdradliwych słodyczy.

Tak przeminęło półtora roku, kiedy naraz rozbiegła się wieść, że Wapowscy zostali wyzuci z majątku, że *le beau Casimie* nie miał nic, prócz piękności. Wieść tę puścił w kurs Franciszek Srodkowski i niedługo trzeba było czekać na jej skutki. Piękny Kazio wyszedł z mody, coraz mniej zwracano na niego uwagi, zwłaszcza, gdy przybył z zagranicy piękny również, ale *nowy*, hrabia Karol.

Zaczęto zlekka pomiatać dawnym bożkiem salonów tu i owdzie przebąkiwano z szyderstwem o źródłach jego dochodów, — niechętni mścili się za to, że ich tak długo zaćmiewał swym blaskiem, bogaci dawali mu poznać, że żyli z nim jedynie przez grzeczność, zostało mu wiernem kółko rycerzy zielonego stolika i — Baronowa Julja.

Odczuwał powoli Kazio zmianę swojej pozycji, postanowił ratować się, jak tylko można. Trzy pojedynki zamknęły zbyt głośne usta i naprawiły <http://www.war.org.pl> jego w tym świecie, ale

do dawnej świetności, do dawnego wzięcia powrócić już było niepodobieństwem. Karty stały się więc jedynym środkiem utrzymania, a baronowa jedynem wspomnieniem przeszłości — tak jeszcze świeżej.

Ale — czyż mało mówiono o zmienności fortuny i — kobiety? Jedna i druga zdradziły swego ulubieńca. Kubuś i hr. Karol zwyciężyli.

Taki był krótki przebieg dziejów Kazimierza. W tej chwili otworzyły mu się oczy zupełnie, — poznał, że to co miał za chlubę, było upodleniem, to co za szczęście — blichтром, a ów świat cały piękny, woniejący, wspaniały, zasługiwał tyleż na miłość, co i piękna baronowa Julia, wiarołomna żona, pusta lalka salonowa, bez serca i sumienia.

Żal zmarnowanego czasu, wstyd doznanych upokorzeń, ból zyskanej obelgi, głos skrzywdzonej, zdeptanej godności osobistej — wszystko to powstało teraz z uspienia i paliło go, gniotło bolało, szarpało bez litości.

Radby był uciec od samego siebie, od swej przeszłości radby wymazać na wieki wieków pamięć mniemanych tryumfów, zapomnieć o tem wszystkim — napróżno!

Jesienna noc objęła go w swoje ramiona, szeptem wichrów rzucała mu czarnerady do głowy, a do serca rozpacz i zwątpienie. Zdało mu się, że nie ma innej rady, jak odebrać sobie obmierzłe życie. Tym jedynie sposobem pozyska zapomnienie przeszłości, wieczystą ciszę, której mąć nie przyjdzie okrutne widmo pamiętek...

— Tak jest! — mówił do siebie, — nie ma innej rady — gdyby można było zacząć inne życie, naprawić, wynagrodzić to, co się stało... ale jak? to niepodobieństwo! Przodkowie moi, wzory wasze są dla mnie niedostępne... wstępować w wasze ślady czyliż mogę? Prawda! wyście mieli więcej siły moralnej, więcej hartu duszy, — olbrzymami jesteście w porównaniu z naszym nędznym pokoleniem, ale czyż to wyłącznie nasza wina? Niech wstanie dzień Cecorski, a potrafię zginać, jak wyście zginęli! Niech kraj zażąda ofiary ostatniej kropli mej krwi — a nie za-

waham się ani chwili! Ale dziś... cóż pocznę, aby się was okazać godnym? co zdołam uczynić, aby zmyć piętno upokorzenia, na mem czole ciążące? cóż innego mi zostaje, jak umrzeć, gdy żyć uczciwie nie można... Umiałem żyć bez oglądania się na jutro — potrafię umrzeć, nie żałując dnia wczorajszego! Nie pójdę prosić nikogo o litość, nie wyciągnę dłoni po tę jałmużnę, z której żyją ludzie mnie podobni! Krwią własną zmyję plamę na mojem czole — okażę się was godnym w śmierci, jeśli nie można w życiu.... Potrafię umrzeć spokojnie...

I szedł dalej, upajając się myślą samobójczą, jakby zatrutym kwiatem, zdawało mu się, że bohaterstwem będzie śmierć z własnej ręki.

W miarę jak zbliżał się do swego domu, głowa mu płonęła coraz więcej, gorączka wzmagała się, potężniała, widmo samobójstwa stroiło się w tęczowe szaty i uśmiechało się do swej ofiary coraz ponętniej...

Stawało się to rodzajem manii, wszystkie myśli i wyobrażenia skierowały się ku temu jednemu celowi...

Dostał się wreszcie do swojej bramy i zadzwonił.

Po chwili dały się słyszeć ociężałe kroki, klucz dwa razy obrócił się w zamku, drzwi skrzypnęły na zawiasach, — zaspany stróż z latarką w ręku otworzył.

— Jakaś tu pani trzy razy dowiadywała się do Wielmożnego Pana.

— Pani? — zapytał zdziwiony Kazimierz, nie rozumiejąc, coby to znaczyć mogło. Chyba baronowa, pomyślał zrazu, ale przypuszczenie to było mało podobnem do prawdy.

— Czy nie zostawiła nic? dodał po chwili.

— Zostawiła oto tę kartkę — a nakazywała, żebym koniecznie dziś jeszcze Wielmożnemu Panu ją oddał.

Kazimierz wziął kartkę z rąk stróża, pobiegł na piętro i za chwilę zapalał już lampę w swoim gabinecie, zaciekawiony wieścią o owej tajemniczej pani.

Kartka skreślona na prędce zawierała tych kilka słów:

— „Drogi braciszku! Od kilku godzin jesteśmy wszyscy

w mieście, zatrzymaliśmy się u Tadzia. Dowiedziawszy się, gdzie mieszkasz, pobiegłam, nikomu nic nie mówiąc, aby ciebie uściskać. Przyjdź zaraz, — biedna mama spragniona twego widoku, — jeżeli nas choć odrobinę kochasz — spiesz się. Twoja wierna i szczerze kochająca

Zofia.“

Kazio zadrzał, łzy mu się zakręciły w oczach i list siostry do ust przycisnął.

— *Twoja wierna i szczerze kochająca...* szepnął rozrzuwniony... Prawda! ona mnie zawsze kochała!...

Zaczął chodzić szybkimi krokami po pokoju, a serce mu biło i pierś się wzdymała gwałtownem wzruszeniem.

Pogrążony w rozpamiętywaniu świeżych wypadków, zapomniał zupełnie o rodzinie i dziejach lat dziecińczych, które zwykle tak głęboko zapisują się w naszym sercu...

Teraz cała ta przeszłość zbudziła się w jego wyobraźni i pociągnęła całą jego duszę w swoją zaczarowaną krainę. Im więcej światowych wrażeń i pamiątek legło grubą warstwą kurzu na promiennych barw obrazie, im bardziej zgiełk życia zagłuszył w nim głosy uczuć rodzinnych, tem gwałtowniej, tem potężniej odezwały się one teraz, zagłuszając z kolei wszystkie inne.

Kazio kochał rodzinę, ale po swojemu, tak jak kochają ludzie wrażliwego, gwałtownego usposobienia.

Dwa uczucia naraz, dwa przywiązania, nie mogły się w sercu jego zmieścić. Co tylko kochał — kochał z całą zapamiętałością i wyłącznością uczucia, niepodzielnie, całkowicie, zupełnie rzucał się w objęcia swojej miłości. Raz porwany prądem szalonego życia, raz rozmiłowawszy się w otoczeniu ukochanej przez siebie kobiety, — zapomniał o wszystkim na świecie, żył cały jednym ukochaniem, aż dopóki go to wszystko nie zawiodło. Teraz więc głos innego przywiązania, głos serca i sumienia odezwał się tak głośno, głośniejszy może, niż kiedykolwiek i serce zbolełe, zranione stratą jednego uczucia, zapłonęło gwałtownie uczuciem dawnym, dawną miłością, spotężniała, nieograniczona.

Każdy z nas, wychodząc z pod ojczystej strzechy na tułaczkę po szerokim świecie, wynosi z sobą na dnie podróżnej sakwy ten zaklęty pieniądz, o którym mówią bajki, że się nie traci nigdy.

Ten pieniądz zaczarowany, to uczucie rodzinne, to wspomnienia lat dziecinnych, te łzy matczyne, błogosławieństwo ojcowskie, siwy włos dziadka i babki, uściski i pieśczoty siostry, to promienny sen miłości, wiary i nadziei, na wstępie do życia...

Potem przybywają do tej sakwy podróżnej przeróżne skarby: miłość, przyjaźń, rozkosz, upojenie, nadzieje, zachwyty — przepełnia się ona czasem aż po brzegi i zapomina wędrowiec o tym groszu na dnie leżącym, a przytłoczonym tyloma skarbami.

Ale życiu opłacać się trzeba — oto z każdym krokiem ubywa coś z bogatej sakwy, co chwila mniej jedną nadzieją, jednym marzeniem, jednym przywiązaniem... i powoli, jeżeli nie nagle, wypada z niej wszystko, cośmy pozbiali, prócz tego grosza wyniesionego z domu, prócz tej iskierki z rodzinnego ogniska, która nie gaśnie nigdy.

I ów bogacz zbankrutowany poznaje wartość owego grosza, poznaje, że stanowi on więcej, niż wszystkie zatracone skarby...

To też nie ten biedny, komu szczęście się nie uśmiecha, nie ten, komu fortuna nie sprzyja, nie ten, kto wszystko postradał, lecz ten, który nie wyniósł z domu grosza miłości rodzinnej, — grosza, z którego powstają skarby, ale którego za żadne skarby nabyte kupić nie można.

Kazio nie był w tem położeniu, kilka słów skreślonych ręką siostry związały go napowrót z życiem, a myśl samobójcza, jak puszczyk strwożony promieniem światła, odleciała daleko...

Całą noc przepędził bezsennie, płacząc z radości i do ust tułac ów krzyżyk złoty, pamiątkę od matki. Któżby potrafił wyrazić stan duszy człowieka, który z nad krawędzi grobu powraca do życia z całym zasobem żywotnych sił? który czując się zawiedzionym we wszystkich marzeniach i zniemawidziwszy świat cały z tego powodu — znajduje naraz, nieprzebraną kopalnię najmil-

szych wrażeń, odzyskuje to, co w życiu całym jest najtrwalszego, najbliższego sercu.

W takim stanie zostawał Kazio w przeciągu całej nocy. — Jak po długiej i mroźnej zimie, kwiaty wiosenne wykwitają tem piękniejszą i bujniejszą krasą, tak miłość rodzinna po długim śnie — obudziła się z większą siłą, niż kiedykolwiek przedtem.

A ma ona i tę jeszcze własność, że ilekroć poznamy nie-wdzięczność naszą dla tych, którzy nas najszczerzej kochają, tyle razy budzi się w sercu egzaltacja przywiązania, żądająca wynagrodzenia z lichwą, wyrządzonej im krzywdy.

Długa noc jesienna przeszła na tej burzy moralnego przewrotu, do której skłonne bywają natury młode i uczuciowe. Z niecierpliwością i upragnieniem czekał Kazimierz chwili, w której pospieszy paść do nóg matki i dziadka i uściskać siostrę, która utrzymała go przy życiu i nie wiedząc nawet o tem, uchroniła od samobójstwa.

I był ktoś jeszcze, komu także zasnąć nie dało oczekiwanie. Czuwały oczy stęsknionej matki.

W niedoli, jaka ich dotknęła, po wygnaniu z rodzinnego gniazda, jedynem marzeniem jej było, Kazia szczęście. Żyła ona jedynie dla dzieci, one jedne przywiazały ją do życia — a Kazio był tym marnotrawnym synem, który zazwyczaj najbliższym bywa sercu matki.

Zresztą, los jego największe mógł wzbudzać obawy. Zonia posiadała te warunki umysłu i serca, które w każdej pozycji dają możność moralnego zadowolenia i spokoju. — Tadeusz, najstarszy, był artystą pracującym z fanatycznym zamiłowaniem sztuki, w niej jedynie i dla niej żyjącym, choć w sztuce i przez nią, kochał ludzkość całą i żył tą miłością. O tego nie należało się lękać, stał on wysoko ponad poziomem i jego manowcami. Ale Kazio! Kazio żywy, gorący, namiętny, lekkomyślny — co ten z sobą pocnie, zostawiony bez grosza i — bez żadnego stanowiska.

Zonia nie potrafiła zataić przed matką, że spodziewa się brata, że go o przybyciu ich zawiadomiła.

Sędzina ocknęła się jeszcze przed świtem i usiadłszy w oknie z różańcem w ręku — czekała. Przed nią rozciągało się obszerne miasto, że zaś Tadeusz mieszkał na trzeciem piętrze, z okna tego widzieć można było daleko ulice, gmachy i place.

Sędzina patrzyła tęskniami oczyma na to mrowisko ludzkie, które pochłonęło jej dziecię. Widziała, jak powoli miasto zaczęło się budzić, jak się ożywiały ulice, jak dymy z kominów wznosiły w powietrze i rozplywały się w niem, ciemną chmurą.

Każdy przechodzień zwracał na siebie jej uwagę, w każdym spodziewała się syna, choć była to godzina bardzo wczesna...

Nagle — oczy jej się zaśmiały, chciała się podnieść — sił zabrakło, tylko lekki okrzyk radości wyrwał się z matczynej piersi.

Na chodniku po drugiej stronie ulicy pokazał się Kazimierz, pilnie patrzący w okna trzeciego piętra.

Matka i syn ujrzeli się nawzajem, a miłość, złamawszy przeszkodę odległości, zbliżyła ich temi spojrzzeniami, które mówią więcej, niż najwymowniejsze słowa.

Ubiegła krótka chwila — i Kazio leżał już u nóg matki, — i płakali oboje, a słodka pieśczoła matczyzna była pierwszą nagrodą odniesionego nad sobą samym zwycięstwa.

IV.

Rotmistrz bez łyzy w oku, opuścił stare rodu swego gniazdo. Nie znaczyło to wcale, że na tem nie cierpiał. Była to tylko jedna z tych silnych natur, które się pod ciężarem niedoli nie uginają. Zresztą pocieszał się tem przekonaniem, że na sumieniu jego, ani na pamięci syna, nie ciąży najmniejsza skaza. Nie został nikt, coby się na Wapowskich skarżył, owszem — wszyscy żalowali, że ich tracą.

W przeddzień wyjazdu gromada wiejska przysłała do dworu, pragnąc się z państwem zobaczyć. Kiedy się rotmistrz pokazał na ganku, ozwały się płacze bab i dzieci, starcy rękawem ocie-

rali oczy, — wszyscy żegnali go łzami i wspomnieniem doświadczonych dobrodziejstw.

— Któż nam teraz będzie ojcem, kiedy was panie nie stanie!

— Któż pocieszy w nieszczęściu i chorobie, kiedy zabraknie nam pani naszej!

— Któż po wyjeździe panienki będzie naszym aniołem stróżem!

Rotmistrz, sędzina i Zonia żegnali się z ludem serdecznie, każdy dostał jeżeli nie jakiś upominek, to dobre słowo, — a gdy nazajutrz podróżna karetka unosiła starych dziedziców w dalekie strony — przeprowadzała ich gromada cała i głośne okrzyki szły za nimi daleko.

— Niech Bóg wam za wasze łaski zapłaci!

— Niech wam da szczęście i zdrowie!

— Będą się nasze dzieci modlić za was i wspominać przez długie czasy!

Sędzina płakała, Zonia cieszyła się miłością ludu, choć czuła jak jej się serce ściska z żalu i boleści.

Serdecznie, z oznakami najczulszego przywiązania przyjął Tadeusz matkę, dziada i siostrę, w przygotowanym już dla nich skromnym mieszkaniu na trzecim piętrze. Wrócił on niedawno z Włoch, gdzie od skończenia kursów uniwersyteckich przebywał przez lat kilka, krzątając się jako rzeźbiarz na wzorach antycznego świata. Powrót ten nie był dobrowolnym — musiał tak postąpić, gdyż wiedział, że na niego spadł obowiązek służenia zubożałej rodzinie. Ciężki obowiązek dla człowieka, który gdzieindziej miał swój cel i właściwe dla siebie miejsce. Nie wahał się jednak ani chwili, choć na zmianie podobnej stracił dużo.

Różny usposobieniem od brata, Tadeusz, zamknięty był w sobie, milczący i smutny. Trudno było odgadnąć co się kryło pod tą zimną pozornie powłoką — przyjaciół nie miał, choć go szanowali wszyscy, nie zwierzał się nigdy i nikomu, mówił mało, ale mówiły o nim jego prace, w które wlewał całą treść swego ducha.

Mało kto wszakże umiał czytać te posągowe wyznania, mało kto umiał odgadnąć, jakiego ducha wyrazem były jego prace.

Poznał się na nich rotmistrz, choć pozornie myśli dziada i wnuka daleko od siebie odbiegły. Patrząc okiem doświadczenia, widział w nich skamieniałą lawę wulkanu żądź i pragnień młodzieńca.

Marzenia nieziszczone, siły nie mające oparcia, nie wcielone ideały — znalazły swoje odbicie, swój wyraz, ciało swoje, w jego rzeźbach. Przez klasyczną formę pogańskiej sztuki, przez anatomiczną prawdę kształtów, przezierał, przebijał się gwałtownie duch silny, ognisty a skrepowany.

To też siła tych kreacyj, niewysłowiona energia i wyraz przykuwały do nich uwagę widza i pociągały go z sobą w świat tajemniczych walk ducha, ukryty przed ludźmi.

Odczuwał dzieje tych walk sędziwy rotmistrz i wzdychał, przypatrując się tworam Tadeusza, jakby żalując, że tyle siły, tyle ognia młodzieńczej duszy, nie mogły się inaczej, jak tylko w zimnym marmurze wyrazić. Cenił jednak tę hartowną naturę, która umiała mężnie i wytrwale płonąć w ogniu własnych ukrytych cierpień, nie objawiając bólu, ani zniechęcenia.

— Cóż będzie z Kazia! — czy też ten potok wrzący i rozbijały powróci kiedy w swe właściwe granice? da się ująć w karby rzeczywistego życia?

Pytaniem tem kończył zazwyczaj starzec rozmyślania swoje o losie i przyszłości dwóch wnuków, ostatnich latorośli wielkiego drzewa, które im zawdzięczać miało swe życie dalsze — lub z gładę.

Uśmiechnął się rotmistrz ujrawszy Kazia u stóp matki upojonego dawno niedoznaną pieśczętą, — objął go silnem ramieniem, do piersi swej przycisnął i gorący pocałunek złożył na jego czole.

— Więc nie zapomniałeś o nas, Kazimierzu?

— Przyszedłem paść wam do nóg i prosić, abyście wy naj

drożsi moi, przyjęli mnie napowrót do serca swego—i zapomnieli o przeszłości! Nie odpychajcie mnie, choć wiem, że na to zasłużyłem...

— Nie odpycha się synów marnotrawnych, Kaziu—przemówił starzec i dodał, zwracając się do synowej. Wyszumiało nakońiec młode piwko, — wiedziałem że tak będzie.

— Ale matka powinna spocząć, — silne wzruszenia wyczerpują nasze siły. My pójdziemy z Kazimierzem pomówić o wielu rzeczach—dawnośmy się nie widzieli z sobą—wiele mamy sobie do powiedzenia. Nieprawdaż?

— Będę wam posłuszny, dziadku, — choć serce moje nie oswoiło się jeszcze ze swoim szczęściem.

I jeszcze raz uściskawszy ręce i nogi matki, — wyszedł za rotmistrzem do pracowni Tadeusza.

Kiedy znaleźli się sam na sam, starzec spojrzał wnukowi w oczy.

— Cóż myślisz począć z sobą? jakie twoje na przyszłość zamiary?

— Dziadku! — nie wiem sam... Życie, jakie dotychczas wiodłem, obmierzło mi! do niego więcej nie wrócę... Jestem gotów na wszystko, bylebym w oczach waszych i swoich własnych oczyścił się z błędów i mógł być wam pomocnym, mógł dla was pracować. Jestem, jak dziecko, — potrzebuję przewodnika, doradcy — radzcie mi, dziadku, ja na wasze słowo uczynię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy...

— Radzić? — nie wiem, czy rada moja przyda ci się na co! Jeżeli chodzi o praktykę życia, o to, co w niem najłatwiej da kawałek chleba — w takim razie, ja, co na życie dzisiejsze patrzę z daleka, — nie jestem doświadczoneym doradcą. Jeżeli zaś chcesz rady, opartej na starem doświadczeniu, powiem ci jakie są twe obowiązki i co powinieneś mieć na celu.

Kazimierz słuchał z tak natężoną uwagą, jak gdyby chciał wyraz każdy w pamięci zachować.

— Pierwszym twym obowiązkiem — jest praca. Praca robi każdego z nas człowiekiem — próżniactwo zbydłęca i poniża.

Powinieneś więc wziąć się do pracy, wprządz się do jakiegoś zawodu i zdwojoną usilnością opłacić marnie stracone lata.

— Wiem to, pragnę pracować, potrzebuję pracy, ale jakiej? Nie czuję w sobie żadnych zdolności, nie wiem na co się przydać mogę. W salonie podziwiano moje talenta i wyształcenie, — ja czuję, że nie umiem nic...

— A gdybyś rozpoczął nauki na nowo? Byłeś na uniwersytecie, mógłbyś znowu powrócić do niego, a zdolności twoje rozwiną się i studia doprowadzisz do końca.

— Studya? szepnął Kazimierz, — chcę być szczerym i odkryć dziadkowi całą prawdę. Do pracy naukowej nie czuję w sobie ani usposobienia, ani zdolności. Na tem polu wyprzedzi mnie pierwszy lepszy, każda trudność stanie się dla mnie szkopułem — lecz, co najgorsza, nauka, którejbym poświęcić musiał wiele czasu, pozbawiłaby mnie na długo możności pracowania dla was, a postawiłaby mnie znowu w konieczności obierania sobie drogi specjalnej. Ja nie mam prawa marzyć o nauce! Kilka lat spędzonych bezmyślnie pozbawiło mnie wszystkiego, com ze szkół wyniósł. Czuję, że nie umiem nic, że umysł mój zjałowiał, że odzwyczaiłem się myśleć poważnie! — Zdolności moje poszły na marne, musiałbym pracę zaczynać od początku, a czuję, że musi być coś, na coby się siły moje natychmiast przydać mogły.

Starzec słuchał, kiwając głową.

— Może masz słuszność, — praca naukowa potrzebuje, wymaga nawet powołania... Bez niego można być tylko miernością, a mierność naukowa gorszą niekiedy bywa od nieuctwa...

Kazimierz milczał.

— Posłuchaj mnie, — nie potrafię wskazać ci wyraźnie jakiej masz sięjąć pracy, bo to zależy od ciebie, bo wreszcie nie mogę być doświadczonym doradcą w tem życiu, którego zbliżka nie znam. Ale mogę i powinienem wytknąć ci kierunek, w jakim iść możesz do celu. A cel dla wszystkich jest jeden: stać się pożytecznym członkiem swego społeczeństwa. Przedewszystkiem jednak obudzić w sobie wiarę we własne siły. Przeceniać je — jest rzeczą zdrożną i szkodliwą, ale nie wierzyć w siebie

jest może gorzej jeszcze. Bo ten, co się ma za silniejszego niż nim jest rzeczywiście — może czasem zdziałać rzecz niepospolitą, — ale ten co w siebie nie wierzy — nie robi nic. Potrzeba zachować miarę właściwą, a pamiętać i o tem, że zapal tworzy cuda — a apatya staje się zgnilizną.

Obmawiasz siebie, pod wrażeniem chwilowego żalu. Być może, że jest w tem część prawdy, ale daleko więcej przesady. Może nie posiadasz gruntownie żadnej rzeczy, ale masz głowę otwartą, zdolności wielkie, choć może nieczynnością osłabłe. — Uwierz w siebie, chciej być człowiekiem a będziesz nim! Nie zawsze możemy to co chcemy, ale aby *móść* co zrobić — potrzeba koniecznie *chcieć*. A ja ci ręczę, że gdy zechcesz być dzielnym, pożytecznym, czynnym człowiekiem to nim zostaniesz.

Kazimierz rozrzewniony uściskał dłonie starca.

— Nie jest to jeszcze wszystko, com ci miał do powiedzenia. Com powiedział — to się odnosiło do ciebie, jako do młodego człowieka, ale oprócz obowiązków ogólnie ludzkich, na tobie ciążyą jeszcze szczególne obowiązki — jesteś szlachcicem. Nikt by ci może na to nie zwrócił uwagi, bo szlachectwo dla wielu, dla wszystkich prawie pozostało dziś pustym tylko tytułem, a jeżeli nawet kto uważa je za rzecz nie błachą, to robi sobie z niego przywilej jedynie, nie obowiązek. I jedni i drudzy są w błędzie.

Szlachectwo nie jest pustym tytułem w zasadzie swojej, w swojej istocie, nie jest również przywilejem samym — jest obowiązkiem przedewszystkiem. Szlachectwo rodu polega na tem, że sukcesyjnie z ojca na syna, przechodzą skarby czci rodzimej, cnot domowych i obywatelskich, wraz z obowiązkiem zachowywania tych skarbów.

Bo czemże była godność szlachecka, jeżeli nie nagrodą cnot obywatelskich, koroną poświęcenia dla dobra kraju. Rzecz więc naturalna, że dzieci człowieka obdarzonego tym klejnotem, jeżeli chciały mieć udział w chwale ojca, musiały nie stronić od udziału w jego zasługach, musiały chwalebnyimi czynami stwierdzać, że w ich żyłach krew jego płynie, bo nagroda bez zasługi niema sensu — jest śmiesznością.

Rozumiało to nasze dawne prawo, kiedy mocą infamii pozbawiało szlacheckiego klejnotu człowieka, który okazał się go niegodnym.

Skoro więc tradycje rodu szlacheckiego wkładały obowiązek na każdego potomka, wstępowania w chwalebne ślady przodków, a zaś wykroczenia przeciwko dobrej sławie rodzinnej piętnowały się najcięższą hańbą, to szlachectwo nie było marnem słowem, ani nadużyciem, ani przesądem, tylko kwiatem narodu, gniazdem czci i cnoty.

Tem szlachectwo było w istocie swojej, tem być musi i dzisiaj, albo nie być wcale. Kto go w ten sposób nie pojmuje, ten go nie ma, kto je na marną tylko chlubę używa, ten go nadużywa! każdy chłop poczciwie uprawiający rolę, każdy wyrobnik zacy, każdy pożyteczny członek społeczeństwa więcej wart od takiego szlachcica.

Żyłeś w tym świecie, gdzie to klejnot szlachecki służy za blichtr, za firmę, za znak odróżniający człowieka od człowieka. Widziałeś tarcze herbowe na powozach, szorach, liberyach, porcelanach... taki herb jest śmiesznością, lekkomyślną profanacją.

— Kto szlachectwa nie nosi w sercu — ten go nie posiada.

W ten sposób ja pojmuje szlachectwo, w ten sposób pojmował je twój ojciec, tak jedynie pojmować je należy w duchu prastarej i poczciwej tradycji.

Mamże ci dodawać, że klejnot szlachecki nie potrzebuje złotej oprawy? że godność, która chodzi w parze jedynie z majątkiem, a bez niego istnieć nie może, jest szlachectwem żydowskim, ale nie naszym?

Ale może zapytasz; cóż w takim razie odróżnia szlachtę od nie-szlachty, bo przecież zacność, szlachetność, cnota jest obowiązkiem ludzi w ogólności, bez różnicy stanów?

Pytanie to arcy-słuszne a w odpowiedzi mojej przypomnę znane fakta, byś poznał o co mi chodzi, i zrozumiał mnie dokładnie.

Za owych czasów, kiedy rodziło się u nas szlachectwo, kraj nasz podlegał nieustannym napadom wrogów. Zagony tatarskie

przebiegały ziemię naszą, krwawy pot rolników, łany kołyszące się obfitem zbożem obracały w niwecz, wsie i grody ogniem niszczyły, wieśniak i mieszczanin uciekał przed krwawą nawałnicą, lub szedł w jasyr sromotny.

Wtedy rycerstwo walczące z najazdem, ludzie piersią własną broniący kraju, ludzie, którzy dla dobra wszystkich, wszystko swoje niesli w ofierze, stali się protoplastami szlachty, krwią własną kupili sobie godło pierwszeństwa w narodzie, poświęceniem zapłacili za przywileje.

I oto różnica tkwiąca w samym początku szlachty, różnica między nią a resztą narodu; poświęcenie, to źródło szlachectwa, to jego hasło.

Poświęcenie dla dobra kraju było po wieczne czasy cnotą wszystkich obywateli, ale tylko szlachta miała je za swój obowiązek. Chłop, który odbiegłszy pługą niósł życie swoje na pole bojów, mieszczanin dający ofiarę swej krwi, stawali się szlachtą i rosła tym sposobem szlachetna drużyna i szlachectwo stawało się udziałem coraz szerszego koła obywateli, jako nagroda za poświęcenie.

Poświęcenie zatem podniesione do wysokości obowiązku — oto cecha kardynalna, odróżniająca szlachtę od nie-szlachty.

Blask szlachectwa się przyćmił z czasem nadużyciem, to co było świętem w istocie swojej stawało się niejednokrotnie błędem i ujemnem. Pycha rozrosła się jak chwast dziki pomiędzy szlachtą, urosli po nad nią magnaci, zerwali równość szlachecką, używając niższych i biedniejszych za narzędzia swoich ambitnych celów, drobniejsza szlachta zaczęła małpować możnych, a jakkolwiek tradycya poświęcenia nie zagasła zupełnie, to wszakże coraz rzadziej o niej pamiętano... To prawda, z rozrodzeniem się szlachty osłabił się do pewnego stopnia jej główny charakter. Ale jak gwiazdy świecą nad ogólnym zamętem imiona Wiśniowieckich, Żółkiewskich, Czarnieckich, Koniecpolskich, Zamoyskich i tylu innych bohaterów szlachectwa, i jak gwiazdy nigdy nie gasnące pokazują potomnym drogę...

Nie myślę i nie mogę przedstawiać ci dziejów całej szlachty, jako wzór nieskalanej czystości i doskonałości. Bywało różnie, i historia zapisała to w swoich księgach, ale nie uwielbiając szlachty, jako *ciała zbiorowego*, nie można nie uwielbiać *szlachectwa*, jako idei, bo ta była wzniosłą i świętą!

A myślą się ci, którym się zdaje, że ona się już przeżyła, że już jego powołanie skończone. Co z ducha pochodzi nieśmiertelnym być musi jak sam duch i szlachectwo jest nieśmiertelne, jak poświęcenie. Zawsze i wszędzie, w każdym czasie i okoliczności pole do poświęcenia stoi otworem, choć forma jego zmieniona, choć cele jego inne.

— Słucham was dziadku całą duszą i czuję prawdę słów waszych, ale mi jeszcze nie dosyć, pragnę znaleźć zastosowanie jej do dzisiejszego życia, bo tu właśnie głowa mi się mąci i nie umiem powiązać zerwanych nici. Co mam począć, aby okazać się godnym was i pamięci ojca mego? Wiem, czuję to, że mój cno zawinił, ale chcę naprawić stratę kilku lat zmarnowanych, chcę być matce pomocą i pociechą oraz zasłużyć na miłość waszą!

— Trudnej rzeczy wymagasz odemnie! Jeżeli, jak ci powiedziałem, poświęcenie jest godłem i powołaniem naszym, to jakże nakreślić drogi temu poświęceniu, które wszędzie się objawić i wszędzie działać może.

Jednakże odpowiem ci na to pytanie, abyś wiedział co myślę o dzisiejszych drogach pracy obywatelskiej.

W ciągu wieków zmieniło się tyle rzeczy, że i praca pokoleń szlacheckich musi się zwrócić w innym kierunku. Przodkowie nasi musieli walczyć na polu bitwy, orężem rozpierać się z wrogami, i to było ich powołaniem i w ten sposób poświęcali się dla kraju. Dziś do takiej walki niema pola, ale do poświęceń pole zawsze otwarte. Kraj nie potrzebując ofiary krwi i życia, potrzebuje przecię ofiary nie mniej drogiej, pracy i mienia swych obywateli. A prawdziwie obywatelska praca polega na poświęceniu, na zła-

niu się sercem z potrzebami ogółu, na postawieniu jego interesów, przed interesem własnym. A jakkolwiek wszyscy bez wyjątku jesteśmy do tej pracy powołani, ten, na kim spoczywa ciężar szlacheckich tradycji powołanym jest do niej przede wszystkim.

Podnieść dobrobyt ludu, stoczyć walkę Grundwaldską na polu oświaty, przemysłu, handlu, rękodzieł, przewodniczyć ogółowi na drodze rozumnego postępu tak, jak przodkowie nasi przewodniczyli mu na polu bitew, — przeniknąć ogół naszą miłością, naszą wiarą, podnieść do góry serca, — sztandar pracy obywatelskiej i poświęcenia zawiesić nad tłumem, zbratać się z nim, podnieść go do siebie — to zadanie godne potomków bohaterów!

A nie wierz tym, co ci powiedzą, że praca jaka uczciwa płami szlachcica! Byleby uczciwą była i dobro ogółu miała na celu — każda mu jest przystępną, nie ma wyłączeń!

Lecz może ci przypomną nieprzyjaciele szlachectwa, lub zwolennicy stron jego ujemnych, naleciałości szkodliwych, że dawne prawo nasze pozbawiało szlacheckiego klejnotu tych, coby mierzyli łokciem lub miarką, — odpowiedz im, że prawo to żyje jeszcze, że i teraz dotyka ono moralnie winnych, lecz nie tych, którzy zajmują się handlem, obrawszy sobie zawód kupiecki, ale takich, którzy kupczą swą cziłą, sumieniem i obowiązkami, tych, którzy życie swoje zrobili straganem i świat cały mierzą łokciem i wagą korzyści własnej, po za nią nie widząc ani ceniąc nic więcej. Takich, jak Chrystus kupczących ze świątyni, wypędza sama konieczność moralna za szranki szlacheckiego koła, bo kto człowiekiem być przestał, kto szlachetności się wyrzekł — ten do szlachectwa praw rościć nie może!

Oto masz mój chłopcze wszystko, com ci miał do powiedzenia. Wejdz w siebie, zbierz siły, — chciej — a pracy nie zbraknie dla nikogo! I przekonasz się skosztowawszy słodczy pracy i moralnego zadowolenia, że potomek senatorów choćby w szewskim fartuchu godniejszym jest przodków swoich od świetnego

panicza trwoniącego czas, zdrowie i pieniądze na życie bez celu i jutra. Masz wóz — i przewóz! idź i pracuj — i niech cię Bóg ojców naszych błogosławi, jak im błogosławił.

Kazimierz rozrzewniony i przejęty schylił się do nóg starca, który go podniósł, uściśnął i rzekł:

— Wyszumiało młode piwko! będzie lepsze!

V.

Było to wkrótce po Nowym Roku. Karnawał zapowiadał się świetnie, już kilka balów publicznych i parę zabaw prywatnych dało hasło zbliżania się króla szalu i pustoty. Śnieg wypadł obfity, sanna była wyborna, ruch miejski wzmagał się ustawicznie.

Pewnego dnia wielka elegancka karetka zatrzymała się przed domem, w którym mieszkali Wapowscy, — z karety wysiadł najpierw jegomość niewielki, pękaty, siwiejący, potem wyskoczyły dwie młode panny, przystojne i strojne, aż w końcu z pomocą małżonka i lokaja w granatowej liberyi, wywindowała się jejmość, niesłychanej tuszy, w jedwabiach i okazałem futrze, które powiększało jeszcze niezwykłą jej objętość. Panny ubrane były według najostatniejszej mody — i najskromniej z całej rodziny wyglądała jej głowa, ojciec i małżonek w krótkim miejskim paletocie, nawet bez futrzanego kołnierza.

Rodzina ta zaczęła wstępować na górę, po schodach, co przedstawiało niemałą trudność dla samej zwłaszcza pani, która też powtarzała co chwila:

— No, to dowodzi prawdziwego poświęcenia z naszej strony... żeśmy się odważyli... gdzieś aż na strych wyłazić... dla odnowienia tej znajomości... Ma foi, nie pojmuje...

— Ma chère, — zgadzam się z tobą zupepełnie, — ale widzisz — dawne sąsiedzkie stosunki, — nie godziło się od nich stronić, gotowiby myśleć, że nas zraża ich strata majątkowa... Musimy się czasem poświęcić, ma mignonne — to trudno!

Mignonne — mająca pięć łokci obwodu, sapiąc i odpoczywając co chwila, posuwała się w górę na podobieństwo działa cięższego wagomiaru. Pot kroplami spływał po jej pulchnej i poważnej twarzy.

— Ale — nie pojmuję prawdziwie jak można mieszkać tak wysoko i mieć pretensyę, aby ich kto odwiedzał!

— Może oni, duszko, nie mają tej pretensyi...

— Mais enfin — ludzie przyzwyczajeni do zamożności... mają córkę... więc dla niej, jeżeli nie dla siebie...

— No, już jesteśmy na trzeciem piętrze, Bogu dzięki!

Na tem rozmowa się skończyła. Zadzwoniono, po chwili otworzyła sama sędzina. Zaczęły się powitania, uściski i rozmowa przeplatana wspomnieniami.

— Gdzież jest panna Zofia? — pytała otyła pani, rozglądając się po pokoju, którego skromne urządzenie dziwnie ją żenowało.

— Zonia jest na lekcyi...

Obie panny spojrzały zdumione... Według nich Zonia, mając lat ośmnaście i długą suknię, uczyć się nie miała już czego, a zaś nie przypuszczały, aby córka niegdyś zamożnych obywateli mogła dawać lekcyę, *służyć za guwernantkę*. Matka nie mniej od nich była ciekawą.

— Więc... bierze jeszcze lekcyę?...

— Tak jest, uczy się kroju.

— A... a... odezwały się matka i córki, nie rozumiejąc jeszcze o co chodzi. Bo po cóż uczyć się kroju w mieście, gdzie tylu krawców.

— Że też nigdzie nie mieliśmy szczęścia spotkać się z paniami — przemówił ojciec, tyle zabaw, tak się wesoło miasto bawi, przecież pani sędzina dobrodziejka nie będzie ukrywała przed światem tak nadobnej córki...

Sędzina smutno się uśmiechnęła.

— Zabawy miejskie i bale są rzeczą kosztowną, a przytem, nie mamy wcale znajomych i Zonia nie tęskni za zabawami. Znasz ją, panie marszałku, jej największą przyjemnością książka i praca,

czasem fortepian zabiera mi ją na jaką godzinę, jeżeli się znajdzie wolna.

— Czemże panie czas sobie zajmują — odezwała się marszałkowa, bo moje panienki mają go prawdziwie za dużo i gdyby nie odwiedziny naszych przyjaciół...

— Mama nie pojmuje jak się można nudzić, przerwała nawiśnie uśmiechnięta Klocia, starsza z marszałkówien.

— Nie pojmuję naprawdę, bo miasto tyle nastrecza zajęć przeróżnych... Nieprawdaż pani? trudno wydołać. Teraz szczególnie, karnawał się zbliża, konferuję z krawcami, modniarkami, obmyśląm jaknajgustowniejsze stroje dla moich panienek, vous comprenez, że to dla matki największa troska. A ile to wszystko kosztuje! jak trudno o coś oryginalnego! Mais, enfin — kochana pani musi o tem wiedzieć, bo przecież to niepodobieństwo, ażeby jedyną córkę chować przed ludźmi, a zwłaszcza taką... No, ale kiedy Zonia uczy się kroju, zapewne sama sobie musi przygotowywać stroje... n'est-ce pas?

— Nie, pani, biedne dziecko o własnej zabawie bynajmniej nie myśli. Krawiec, u którego się uczy, przyrzekł nam dawać do roboty sukienki balowe, karnawał spędzimy spokojnie, zajęte pracą, nie zabawą...

— No, pani sędzina dobrodziejka żartuje sobie! — zawołał marszałek... gdzieżby panie...

— Ma foi, nie biorę tego na seryo — dodała marszałkowa. Panny uśmiechnęły się.

— Przeciwnie, upewniam państwa, że mówię najpoważniej. Jesteśmy biedni — musimy sobie radzić jak można...

Zakłopotanie całego towarzystwa przerwało wejście rotmistrza. Zwrócono się do niego z okrzykami powitania, starzec ze zwykłą swoją powagą i uprzejmością przyjął gości — i rozmowa przeszedłszy na inne przedmioty, ożywiła się nieco i popłynęła swobodniej.

Szczególniej marszałkowa, której się przez chwile zdawało że złożyła wizytę szwaczkom, teraz, na widok niezmienionego

wcale rotmistrza, przypomniła sobie dawną świetność domu Wapowskich i wiele chwil mile w nim spędzonych.

To jej pozwoliło powrócić do zwykłej werwy w opowiadaniu dziejów swego familijnego życia, swoich nadziei na przyszłość córek i kłopotów czułego macierzyństwa.

Tymczasem nadeszła Zonia i z radośnym uśmiechem rzuciła się na powitanie dawnych znajomych. Tylko jej skromna, ciemna sukienka, prześlicznie osłaniająca wdzięczną, uroczą kibić, tak jakoś dziwnie podziałała na marszałkówny, że się zarumieniły spoglądając na siebie nawzajem.

Marszałek rozplątał się w komplementach dla pięknej sędzianki, którą, jak mówił, na ręku kiedyś nosił, a dziś podziwiać musi. Zonia uradowana ze spotkania się z ludźmi, którzy jej tak drogie a dziś opuszczone przypominali gniazdo, wydawała się jeszcze piękniejszą.

Zawiązała się żywa rozmowa, w której jednakże mężczyźni nie przyjmowali prawie udziału. Marszałkowa i jej córki poruszyły kwestyę najmodniejszych strojów, Zonia, jako z przedmiotem tym oznajmiona, udzielała im szczegółowych instrukcyj, korzystając więc z tego marszałek, któremu chodziło o bliższe wybadanie rotmistrza, przymówił się do fajki i gospodarz poprosił go do swojej izdebki.

Był to pokój niewielki, o jednym oknie, ale świecący tą niepokalaną czystością i porządkiem, które zdradzają opiekę ręki kobiecej. Kilka kosztowniejszych mebli przypominało dawną zażyłość, poznał je marszałek i uśmiechnął się jako do starych znajomych. Tuż jednak obok łóżka stało coś, czego się gość domyśleć nie mógł, był to przedmiot jakiś wyglądający na warsztat rzemieślnika.

— Co to jest? — zapytał wręcz, nie mogąc pohamować swej ciekawości.

Rotmistrz uśmiechnął się.

— To mój warsztat, jestem tokarzem, kochany marszałku.

— Ależ to chyba żarty! — co chwila spotykają mnie dziś

u was niespodzianki, którym trudno dać wiary. Tyleśmy się lat znali z sobą, nie miałeś nigdy żadnej manii, szanowny sąsiedzie.

— Tak, oprócz manii pracy! — zaśmiał się dobrotliwie rotmistrz. Naprawdę, bezczynności nigdy znieść nie mogłem.

— Ale zkądże to tokarstwo... rozumiem—kaprys chwilowy...

— O nie! przecież kaprysy dozwolone są jedynie kobietom, choć i one, nie wszystkie z przywileju tego korzystają. Co do mnie, kiedyś, dzieckiem jeszcze, miałem upodobanie do tokarstwa i uczyłem się trochę, chodząc do szkół. Potem, kursa uniwersyteckie w Wilnie oderwały mnie od warsztatu, dalej wojaczka odpędziła mnie od niego daleko, jeszcze później, ożeniłem się, zacząłem gospodarować i o upodobaniu mojem zapomniałem zupełnie. Teraz powróciłem do warsztatu i zostałem tokarzem prawdziwym, zarabiam sobie nietylko na utrzymanie własne, ale mi jeszcze stać na dopomaganie sędziny i Zoni, tem bardziej, że dla siebie potrzebuję bardzo mało. Najwięcej może pochłania moja fajka, ale od starego nałogu trudno odwyknąć.

Marszałek słuchał ze zdumieniem.

— Darujesz, rotmistrzu, ale zapytam, czyż wam nic z majątku nie zostało?

— Zupełnie nic. Oddaliśmy wszystko na zaspokojenie reszty długów.

— A klejnoty sędziny? te piękne, bogate kolje, pierścienie, brylanty? Nie wiem, czy gdzie u szlachty dzisiejszej znajdują się podobne skarby.

— Klejnoty swoje prawie wszystkie sędzina sprzedała dla zapewnienia losu starych sług i domowników naszych. Niewielka sumka została na czarną godzinę...

Marszałek w dłonie uderzył z podziwu i żalu.

— Czyż się godziło! — czyż się godziło! powtarzał nie mogąc się pohamować, takie klejnoty! takie brylanty!...

— I cóżby nam z nich przybyło! Być bez grosza a chować klejnoty, toż to śmieszność prawdziwa. Drogie kamienie, choćby najpiękniejsze, pozostaną zawsze tylko kamieniami. Gdzie cho-
dziło o łyzy ludzkie i sumienie własne, należało o tem pamiętać.

— Ależ tradycya — kochany rotmistrzu, nasza szlachecka, złota tradycya, te klejnoty były jej skarbem, czemże będziemy, pozbywszy się naszej tradycyi.

— Tradycya, marszałku, w sercu się chowa nie w kieszeni. A zresztą klejnoty pochodzące z epoki Stanisława, smutną są dla nas wszystkich pamiątką. Lepiej, że poszły na otarcie łez, na pocieszenie cierpiących — to je uzacniło.

Obaj zamyślili się — otoczyły ich kłęby tytuniowego dymu. Przez chwilę trwała cisza. Marszałek nie mógł w żaden sposób pogodzić się z tem, co słyszał i widział.

— A cóż pan Tadeusz? wszyscy sądzą, że to on całą rodzinę utrzymuje.

— I owszem, niech tak myślą, byłoby to z jego strony świętym obowiązkiem wypełnionym. Ale Tadeusz nie jest w tej ostateczności. Pracuje chłopak dzielnie, choć mu się praca jego źle opłaca, ofiarował zrazu nam wszystko, aleśmy tylko w części ofiarę tę przyjęli, gdyż możemy sami przyczynić się do utrzymania domu. To mu nie przeszkadza do tysiąca drobnych i tajemnych najczęściej ofiar, któremi byt matki i siostry stara się uprzyjemnić i polepszyć.

Ten chłopak ma głowę i serce.

— I sławę — dodał marszałek, wszędzie o nim mówią, jego prace, jego talent wychwalają znawcy, gdyby chciał mógłby zrobić najświetniejszą partję... Sława — to tyle co majątek.

— To zależy, kochany panie — to zależy. Dobra i zasłużona sława — to więcej niż majątek, blichtr zaś i marny rozgłos bez zasługi, nie warte nic.

— A pan Kazimierz? co się z nim dzieje? Dawniej spotykaliśmy się z sobą częściej, ale oto od paru miesięcy znikł bez śladu. Mówią o tem nagłym zniknięciu dziwy. Słyszałem nawet, że wstąpił do klasztoru.

— A tymczasem on wstąpił do fabryki.

— Jak to? — zawołał marszałek.

— Naprawdę, — wziął się do pracy, że zaś nie czuł w so-

bie usposobienia do nauk wyższych i uniwersytetu kończyć nie chciał — wstąpił do fabryki wyrobów żelaznych...

— Syn nieboszczyka sędziego Wapowskiego fabrykantem, — nie! to już przechodzi wszelkie granice — nie uwierzyłbym temu, gdyby mi powiedział kto inny!

Marszałek nie umiał się już powstrzymać od zamanifestowania się ze swem oburzeniem.

Rotmistrz spoważniał.

— Dodaj pan — wnuk rotmistrza Wapowskiego, — a przecież oto — jak widzicie, nie wypieram się go, owszem — pochlubię się nim kiedyś.

— Koniec świata! szepnął z westchnieniem marszałek, — nie miałbym już teraz komu marszałkować! — szlachty nie ma sami fabrykanci, rzemieślnicy; przedsiębiorcy, kupcy! koniec już naszego szlachectwa!

— Nie koniec — tylko odrodzenie.

— Piękne odrodzenie! Przodkowie walczyli żelazem, — a wnuki...

— A wnuki, nie mając pola do walki, kują żelazo dla nowych, przyszłych pokoleń.

Marszałek wzruszył ramionami.

— Czy przynajmniej płacą mu grubo? Musi mieć wielkie pieniądze!

— A gdyby tak było, czy nie rzucilibyście kamieniem na Kazimierza?

— No, — źle jest zawsze, ale jeżeli korzyści wielkie... mógłbym zrozumieć.

— Za pozwoleniem! Gdybym jak wy, panie marszałku, miał coś za złe, tobym mu nie przebaczył za żadne pieniądze. Gdybym uważał, że praca fabryczna szlachcicowi ubliża, — nie zgodziłbym się na nią, choćby płacono milionami. — Ale ja tak nie sędzę — i dla tego cieszę się z mego Kazia, choć prawie nic nie bierze, bo jest dopiero uczniem i choć chodzi w fartuchu, z rękami zasmolonymi i ogorzałą twarzą.

— Gwałtu co się dzieje! — ten Kazio — elegancki, szy-

kowny, uwielbiany przez najpiękniejsze gwiazdy salonu Kazio — w fartuchu i osmolony!

— Teraz go cenię — dawniej go żałowałem.

— Och! panie rotmistrzu dobrodzieju! — daruj! przepaść jakaś pomiędzy nami — my się z sobą zrozumieć nie potrafimy! Takie zmiany! takie zmiany! ktoby się spodziewał!

— Wszystkiego się spodziewać trzeba — i na wszystko być przygotowanym, kochany marszałku. Inaczej — źle z nami!

— Ale powiedźże mi co o sobie, dodał rotmistrz, odwracając umyślnie rozmowę, która tak dotknęła marszałka, że jeszcze przyjść do siebie nie umiał.

— Jakże wam się powodzi?

— Fatalnie! fatalnie, — kochany sąsiedzie. Żydzi siedzą na wszystkim, kredytu brak, — bieda! Przyjdzie pójść z torbami! Ciężkie! djabelnie ciężkie czasy!

— — I cóż zamysłasz? jakie środki ratunku?

— Jeden tylko! — jeden jedyny. Słuchaj, sąsiedzie, dodał zbliżając się do ucha rotmistrza, a oczy zachodziły łzami, — jeżeli w czasie tych zapust nie wydam której córki — ma się rozumieć — bogato — zginęliśmy z kretesem! Jestem bankrut.

Rotmistrz westchnął i zamilkł.

— To też dostaję zkąd mogę, — wożę na bale, bywamy wszędzie, przyjmuję wszystkich, wydaję wieczory, — stroję, mebluję, traktuję, rujnuję się ostatecznie! Bóg świadkiem co to znaczy! ile cierpię, — ale cóż! trzeba się poświęcić! Nas dwoje — potrzebujemy niewiele! — ale dzieci! dzieci! Dla nich zdejmę ostatnią koszulę, byleby im los zapewnić! Trzeba się poświęcić... toż to nasze jedyne dzieci — sześcioro mieliśmy, troje pozostało! A żona moja! — żebyś wiedział, szanowny rotmistrzu, co to za godna, za poświęcająca się matka! Ani godziny spoczynku i wytchnienia! Z wizyty na wizytę, z teatru na wieczór, z wieczora na bal, od sklepu do sklepu, bez końca, bez miary! Męczy się biedna, trzodzi — a poświęca się dla tych biednych dziewczątek, byleby to tylko znalazło mężów i szczęście! I wyobraź sobie — do jakiego stopnia posuwa się ta troskliwość macierzyńska!

Biedne dziewczęta ani przeczuwają, ani się domyślają, w jakiej jesteście pozycji, aniby uwierzyły, że posagu nie ma ani grosza! Biedne, kochane moje dzieci!

Tu marszałek otarł zażawione oczy.

Rotmistrz słuchał i milczał, wiedział nadto dobrze, że wszelkie uwagi i rady będą zbyt bezużyteczne.

Milczenie to jednak sprawiało mu taką przykrość, że musiał je przerwać w jakibądź sposób.

— No, a Zygmunt, syn wasz — co robi?

— Na tym także pokładamy nadzieję! Dobry chłopak, stara się teraz o hrabiankę M. i kto wie czy mu się nie uda. Smaczny kąsek! Czysta wieś jak bursztyn i kapitał w dodatku...

— Ale czemże się zajmuje? był podobno na uniwersytecie.

— Był, ale mu się kończyć nie chciało, no i ja nie nagliłem go o to. On taki słabowity, wątpy... Ale panie się w nim kochają! Nie uwierzysz sąsiedzie co to za chłopiec złoty! Jak tańczy! jak mówi po francuzku, jaki bałamut — a nadewszystko jak prowadzi kotyliona!

— Dobrze i to! — przemówił rotmistrz z ukrytą gorzką ironią. Przodkowie prowadzili na pole bojów zbrojne szyki — szkodny prawnuk prowadzi kotyliona... Jaki czas, taki taniec.

Marszałek zrazu się śmiać zaczął, potem pomiarkowawszy się, spojrzął na mówiącego badawczo.

W tej samej chwili dał się słyszeć głos marszałkowej.

— Mon ami! trzeba się nam śpieszyć — krawcowa Klocie czeka.

— Ach! krawcowa! Zapomniałem zupełnie! — Widzisz, kochany rotmistrzu, to tak zawsze, ani chwili wolnej! Trudno, trzeba się poświęcić!

Po długich i gorących uściskach i pożegnaniach, goście wyszli, zapraszając do siebie koniecznie dawnych sąsiadów.

— Pauvres! malheureux! — powiedziała ze współczuciem marszałkowa, siadając przy mężu w karecie.

— Biedni! nieszczęśliwi, — wyrzekł ze smutkiem rotmistrz, patrząc przez okno na błyszczące szory i granatową marszałkowską a liberyę.

VI.

Towarzystwo domowe Wapowskich powiększyło się niespodzianie o jedną osobę. Sędzina otrzymała list od dalekiej krewnej, która bliską będąc grobu, błagała ją na wszystko, aby ze chciała wziąć do siebie sierotkę jej, czternastoletnią Emilkę. Zwyczaj to chrześcijański, że się nie odmawia prośbom umierających, Sędzina odpisała natychmiast, że opiekę przyjmuje i słowem serdecznem pocieszyła zrozpaczoną matkę. Stało się to wkrótce po przyjeździe Wapowskich do miasta.

Nie mając w niem wcale znajomych, Sędzina i Zonia zostawały prawie ciągle w domu i kościół najbliższy jedynem był miejscem, do którego udawały się regularnie w święta i Niedzielę. Czasem towarzyszył im Rotmistrz, czasem Tadeusz lub Kazimierz, a zdarzało się i tak, że Zonia wychodziła sama jedna gdy wąż zdrowie zatrzymało niekiedy matkę w domu.

Bywając ciągle w jednym miejscu, robi się z czasem znajomości z widzenia, znajduje się ludzi, których twarze stają się tak nam znane, że uśmiechamy się w myśli do nich, jakby do blizkich znajomych. Rzecz naturalna, że w takich razach owe bezwiedne, mimowolne uczucia sympaty i antypaty kierują nami w wyborze tych ludzi i wytwarzają pewne pojęcia o ich wewnętrznej wartości.

Z pomiędzy wielu takich znajomych twarzy, które Zonia widywała w kościele, jedna szczególnie zwracała na siebie jej uwagę. Był to młody człowiek, powierzchowności skromnej i niepokażnej, którego jednak ciemne, piękne oczy — miały tyle głębokiego wyrazu, a twarz cała nosiła tak wyraźne piętno zadumy, tęsknoty i szlachetności że był w przekonaniu Zoni najpiękniejszym z mężczyzn, których znała.

Niezajomy odczuł widocznie tę sympatyę, bo prześladował ją swem wejrzeniem, a patrzył na nią z uczuciem tak szczerzej przyjaźni, jakby się znali dawno i dobrze.

Nie wiedziała Zonia kto to taki, ale młodzieniec wiedział kim jest ona, wiedział i wymyślił plan takiej kampanii, któraby ich zbliżyć do siebie mogła.

Kiedy w następstwie odpowiedzi Sędziny, zawiadomiono ją wkrótce, że krewna umarła, zostawiając czternastoletnią sierotę powierzoną jej opiece i w kilka dni potem jasnowłosa Emilka w czarnej żałobnej sukience stanęła u drzwi mieszkania Wapowskich, towarzyszył jej, ów niezajomy młodzieniec z kościoła, który się przedstawił Sędzinie, jako brat Emilki.

Tym sposobem sympatyczna znajomość dwojga młodych ludzi, stała się znajomością osobistą a Antoni Czerski został codziennym prawie gościem Wapowskich.

Opieka, której się bezinteresownie i chętnie podjęła Sędzina była wszakże z jej strony ofiarą prawdziwą. Sierotka oprócz ubogiej żałobnej sukienki i odrobiny bielizny w kuferku nie miała ani grosza, a potrzebowała przecię więcej, niż małe dziecko. Potrzeba było ją karmić, ubierać, łożyć na jej wychowanie— a w skromnem, ubożem prawie gospodarstwie trudno było o to, każdy grosz miał swe przeznaczenie.

Nikt jednak o tem nie pomyślał, przyjęto dziewczynkę do swego grona z miłością i chęcią ulżenia jej smutnej doli,—każde z rodziny gotowało się coś poświęcić jej od siebie, a Zonia ucieszyła się z niej, jakby z najbliższej sobie istoty.

Antoni, który poprzednio nie miał dokładnego pojęcia o za-
możności Wapowskich, zawstydził się, ujrawszy ich rzeczywistą
pozycyę. — Sam on podał myśl schorzałej matce udania się do
rodziny, którą tradycyjnie i instynktownie czcił i poważał, cieszył
się, że jedyna jego siostra, nie mająca oprócz niego opiekunów, —
dostanie się do domu, który rozjaśniała blaskiem swój dobroci
wdzięków Zonia, — ale teraz, lękał się, by narzucony im ciężar

opieki nad sierotą nie był zbyt wielkim dla ludzi, którzy żyli z własnej pracy i oszczędzali się we wszystkim.

By mimowolny swój błąd naprawić, prosił Sędzinę o pozwolenie zajęcia się osobiście kształceniem Emilki, oraz pokrycia kosztów jęj utrzymania.

Tym sposobem nie jedna, lecz dwie osoby powiększyły grono rodziny Wapowskich, gdyż Antoni przychodził co dzień i w krótkim czasie miano go za domowego prawie, do czego usposobienie jego znacznie się przyczyniło. Lubił go Rotmistrz, lubiła Sędzina, Zonia traktowała go jako blizkiego kuzynka, Tadeusz go cenił, Kazimierz szukał jego towarzystwa, — przybył nowy ton do dawnej harmonii, ton pokrewny i zgodny.

Czerski miał lat dwadzieścia siedm, dyplom uniwersytecki, głowę otwartą, nauki dużo a zapału więcej jeszcze.

Zamiłowany w studyach historycznych, oddawał się im z chciwością wiedzy i wytrwałością w badaniach, jakie zwykły prowadzić do skrytych tajników nauki i odkrywać przed okiem badacza nowe, nieznanne innym światy. Kilka prac w tym rodzaju, umieszczonych w pismach czasowych, zrobiły młodemu uczoneму imię zdolnego pracownika na polu historycznym, — ale nie dały mu wcale środków utrzymania, o które należało się jeszcze starać.

Musiał tedy doktor filozofii zostać potrosze dziennikarzem, a obok tego dopomagać sobie udzielaniem lekcyi prywatnych co mu zabierało wiele czasu, odrywając go od ulubionych zajęć. Niepodobna wszakże było ograniczyć się na mniejszym zarobku bo utrzymywał on matkę i siostrę, którym oddając wszystko prawie co zdobył, wymawiał sobie ciągle, że daje za mało.

Teraz, po stracie ukochanej matki, całe jego przywiązanie zwróciło się do siostry. To też trudno było o więcej kochające się rodzeństwo, — Emilka czciła brata jak ojca, a kochała go z tą zapamiętałością uczucia, jaka cechuje dusze młode, czyste i gorące.

Gdy się to dzieje, tymczasem Kazimierz szybko przechodził stopnie technicznego uzdolnienia. Zarówno właściciel fabryki,

jak i jej rządcą i starsi mechanicy podziwiali łatwość, z jaką nabierał on wprawy i doświadczenia w świeżo obranym zawodzie. Ani się spostrzeżono, jak stał się już im potrzebnym i pożytecznym a pracując z ciągle wzrastającym zapalem, zdobywał sobie nie tylko opinią zdolnego mechanika, ale i coraz lepsze widoki materialne, odpowiadające ustawicznemu postępowi.

Natura Kazimierza nie znała połowicznego zamiłowania, — czemu się oddał, oddał się cały, bez podziału. Jak go niedawno pochłaniał świat salonowy i jego przyjemności, — tak teraz żywiołem jego została fabryka. Zamienił wonną i pełną melodyjnych dźwięków atmosferę buduarów — na dym węglowy i łośkot młotów — z taką łatwością, z jakąby kto inny zmieniał rękawiczki. Ale w tem nowem otoczeniu znajdował nierównie więcej zadowolenia. Duch jego się krzepił, siły fizyczne i umysłowe rosły, pierś wznosiła się szerszym, zdrowszym oddechem — czuł się silnym i coraz silniejszym — a to go upajało więcej może, niż miłość pięknej baronowej i względy podobnych jej piękności.

A oprócz spokoju sumienia, zadowolenia moralnego, zdrowia siły, a wre szcie i widoków na przyszłość, nadziei dobrego bytu — znalazł Kazimierz w tej fabryce to, co stanowiło również potrzebę moralną jego usposobienia. Jego dość wygórowana ambicya czuła się zadowoloną. Ważny to, choć mniej idealny czynnik natury ludzkiej.

Życie salonowe pociągało go niegdyś do siebie nietylko widokami rozkoszy i upojeń, ale także, a może najwięcej pochlebianiem jego ambicyi.

Być bożkiem salonu, faworytem najpiękniejszych kobiet chwalonym, podziwianym, wzbudzającym zazdrość, poszukiwanym — zaprawdę to nie mała pokusa dla młodego człowieka. To też nie potrafił się jej oprzeć Kazimierz.

I teraz zerwawszy z dawnem życiem, zmieniwszy frak na fartuch kowalski, kto wie, czyby nie zatęsknił jeszcze do aksamitów i atłasów, gdyby go opuściło to, co miłość własną zadowalnia.

Ale było inaczej, — miłość ta mogła się czuć podwójnie zaspokojoną. Ten świat buduarowy zawiódł jego zaufanie, lekceważył go w końcu, a on go odpuścił i wzgardził nim. Ta pamięć wystarczyła za wszystko. Baronowa ubolewała może w duszy nad losem zdradzonego kochanka — a tymczasem on zdobył sobie prawo ubolewania nad nią. Anglezowane lwy salonowe szydziły potrosze z niego, dowiedziawszy się, że został bez grosza, — a teraz on żałował ich może, będąc nie sługą, ale panem swego losu. Dawniej podziwiano jego taniec, ruchy, elegancję, gracyę — teraz ludzie o zasmolonych twarzach dziwią się jego zdolności, pomysłom, sile i wytrwałości.

Cóż to za obfitość darów natury — odznaczającej go w tak rozmaity sposób!

To wszystko szeptała mu uśmiechnięta ambicya i on się uśmiechał i pierś mu rosła z dumy i zapału.

Wreszcie — znalazł przyjaciela. Był to uzdolniony i wykwalifikowany naukowo technik, syn kupca korzennego — Józef Grodek. Pracowali razem, chociaż Grodek, jako starszy w rzemiośle i w wiedzy zajmował oczywiście o wiele wyższe stanowisko i miał piękne utrzymanie, mogące wystarczyć nawet na zbytkowne życie. Przyłgnęli do siebie, poznali się nawzajem, — niechętny zrazu Grodek przekonał się, że karmazynowy szlachcic może być tęgim człowiekiem (o czem wątpił), Kazimierz zaś poznał, że w szlachetności uczuć i charakteru, syn kupca przewyższał wielu karmazynów.

Szybko rosła ich przyjaźń, węzeł tego stosunku zaciskał się coraz bardziej, aż w końcu, po dwumiesięcznej ledwo znajomości, Kazimierz wprowadził go do domu swej matki, Józef zaś nawzajem poznał go ze swymi rodzicami i siostrą.

W Niedzielę po obiedzie zbierano się zwykle w pracowni Tadeusza. Rotmistrz polubił serdecznie i Czerskiego i Grodka, choć pod wielu względami byli oni różni pomiędzy sobą. Oni zarówno przywykli czcić i kochać starca, któremu siwe włosy i wiek sędziwy nie przeszkadzały być młodym, nie odebrały ognia i zapału, które go z młodością łączyły. Gdyby kto wi-

dział, jak swobodnie i miło, chociaż z należnem dla wieku i powagi uszanowaniem, gawędzili ze starcem Tadeusz, Kazimierz, Antoni i Józef, sądziłby, że to są wszystko jego wnuki — i on ich też tak uważał. Młodość, zapał, energia, cześć dla tego co piękne i prawe, marzenia młodzieńcze — wszystko to było tytułem do powinowactwa z Rotmistrzem, który o ile sam odmładzał się w tem towarzystwie, o tyle też powagą swego rozumu, doświadczenia i godności oddziaływał na swych młodych towarzyszy.

Grodek choć wychowany w uprzedzeniach do szlachty — uchylał głowę przed majestatem szlachectwa bijącym z czoła Rotmistrza. Sam się czuł niższym o całą wysokość rodzinnych wkrew przeszłych tradycyj, których nie znał, nie miał — a teraz poznawał ich potęgę i charakter. Czczył starca za tę głęboką jakąś godność, która mu, pozbawionemu majątku, wyzutemu z ojczystego gniazda, nadawała charakter możnowładzcy i pana.

Nie mógł zrozumieć dla czego ten człowiek, który żył teraz jak on z pracy rąk własnych, oddziaływał na niego w ten sposób, ale kochał go za tę jakąś gołębią łagodność i szczeropolską serdeczność, z którą jego — syna kupca podnosił ku sobie i stawiał na równi z dziećmi senatorskich rodów.

Bo nie była to ta obrażająca słodka grzeczność, z jaką czasem ludzie wyżsi niższych traktują, grzeczność, której sama nie-naturalność i przesada zdaje się mówić: patrz — znaj moją łaskę! Przeciwnie, obejście Rotmistrza było nawet nieco szorstkie, żołnierskie — ale to się czuło, że jego żaden uśmiech, żadne spojrzenie nie kłamie, że okazuje się takim, jakim jest w istocie.

Zresztą posiedzenia te, jakkolwiek miały charakter poważny tryskały uieraz humorem i wesołością nieprzymuszoną. Nawet Rotmistrz miewał niekiedy chwile tej staropolskiej jowialnej wesołości, która daleka od zgrzytliwej ironii i sarkazmu oddycha zdrowiem i siłą.

Pracownia Tadeusza zmieniała się często w arenę szczególniejszego widowiska. Rotmistrz stawał z młodzieżą do walki na palcaty. Jeden tylko Czerski miał o tem wyobrażenie, bo się

uczył fechtunku, — wszyscy inni obeznani z bronią palną, siecznej nie mieli nigdy w użyciu. Starzec rąbał się dzielnie na szable i chciał sympatycznej mu młodzieży pokazać, jak się rąbali ojcowie. Młodzież zapalała się do tej nowości, Kazimierz zaczął już wkrótce celować w krzyżowej sztuce, jakby na dowód że nie było dla niego niemożliwej, ani trudnej rzeczy. Nacierało na starca energicznie, a on się tylko uśmiechał i ciosy odbijał, ciesząc się widokiem zaognionych oczu i rozpromienionych zapałem twarzy.

Ale, chociaż te niedzielne pogadanki i zabawy odbywały się najczęściej w pracowni Tadeusza, gospodarz sam najmniej czynny przyjmował w nich udział. Wiecznie w sobie zamknięty, milczący, smutny, Tadeusz najmniej poddawał się wesołości ogólnej, najrzadziej widziano uśmiech na jego twarzy.

Było to do pewnego stopnia wrodzonym jego usposobieniem, — wiedział o tem rotmistrz i tłumaczył je sobie rozmaicie. Ale nie uszło przed jego baczny okiem, że melancholijne to usposobienie wzmagало się ustawicznie. Zauważył, że nawet w rozmowie z matką, którą uwielbiał, z siostrą, którą kochał serdecznie, zmuszał się do wesołości i swobody, grał trudną dlań widocznie i przykrą rolę.

Gdyby Rotmistrz mniej dokładnie znał charakter i serce wnuka, mógłby go posądzić o to, że mu rodzina jest ciężarem. Ale — to nie mogło być prawdą — Tadeusz był jak najlepszym i najczulszym synem i bratem. Musiało być zatem coś innego, — ale co?

Starzec nie chciał go badać wręcz. Lękał się zmuszać go do wykrętnego tłumaczenia, a znowu nie chciał wdzierać się do tajemnic wnuka.

Niepokoilo go to wszakże i starał się dojść wątku nieodgadnionej tajemnicy.

Tadeusz rzadko wychodził z domu. Pracy miał zawsze dużo — choć praca ta nie zawsze odpowiadała jego talentowi. Powierzano mu modele ozdób architektonicznych, medaliony nagrobkowe, — rzadko kiedy jakie dzieła godne jego dłuta. To

też, w chwilach wolnych od uciążliwej, przymusowej pracy na chleb powszedni, oddawał się on z gorączkowym zapałem tworom własnej fantazyi, posągom owym, w których malowała się paląca go walka wewnętrzna, ukryty przed światem ból i tęsknota.

Pewnego razu, w nieobecności wnuka, Rotmistrz wszedł do jego pracowni i usiadłszy, zaczął pytać stojące przed nim postacie z gipsu i marmuru — o przyczynę tajemniczego smutku ich twórcy.

Długo tak siedział, przechodząc kolejno wzrokiem od jednej do drugiej, porównywając je ze sobą, to znowu doszukując się w każdej właściwego jej charakteru.

Posągi milczały uparcie...

Naraz — coś uderzyło go, jakby nowe i niespodziewane odkrycie.

— On kocha, — szepnął do siebie — i dodał, — że się też tego wcześniej nie domyśliłem!

Jakby dla utwierdzenia się w tej myśli, wziął do ręki jeden z albumów leżących na stole i znalazłszy w nim fotografią młodej i pięknej osoby, zaczął porównywać ją do twarzy licznych postaci niewieścich stojących przed nim na kolumnach i rusztowaniach.

Wszędzie były te same rysy — jedna i ta sama twarz — powtórzona kilkanaście razy inaczej...

Więc to ta... Ale któż ona jest? Co za jedna?

Spojrzał na odwrotną stronę fotografii — nie było żadnego podpisu, tylko firma fotograficznego zakładu.

— *Roma* — przeczytał głośno. Więc to jakaś znajomość dawniejsza, wspomnienie z Włoch...

— Czy Polka? — zapytał znowu, wpatrując się bacznie. Nie! to nie Polka... to cudzoziemka... Twarz piękna, ale typ obcy...

Zadumał się i spojrzał bez celu przed siebie. Jakiś napis wpadł mu w oczy... Na podstawie kobiecego biustu stały wyryte słowa:

Lasciate ogni speranza...

Cóż znaczy to zwątpienie — ten brak wszelkiej nadziei?
Na to nie było już odpowiedzi.

VII.

W skutek odnowienia znajomości przez rodzinę Marszałka, zawiązały się z nią znowu stosunki. Sędzina z córką i Rotmistrz oddali im wizytę, Tadeusz zaś i Kazimierz byli parę razy, uproszeni przez matkę i siostrę.

Zdziwił się Kazimierz, kiedy wspomniawszy coś o tych odwiedzinach przyjacielowi, ujrzał nagłe jego zdziwienie i radość.

— Bywasz u Marszałka! zawołał zapłoniony Grodek, — zaprowadź mnie do nich!

Kazimierz spojrział na niego badawczo i ciekawie.

— Nie będę się przed tobą tał, — jesteś przecież moim przyjacielem, odpowiedział Józef. Znam z widzenia młodszą córkę marszałkowstwa, — wielebym dał za to, aby ją poznać.

— Czy ci się tak podobała?

— Bardzo.

Kazimierz zamilkł na chwilę.

— Że ładna, to prawda, ale obowiązek przyjaźni nakazuje mi ostrzedz cię wcześniej. To lalka salonowa — to nie żona dla ciebie. Popsute i rozpieszczone dziecko, zakochane w gałgan-
kach, pusta, próżna — i biedna.

— Że biedna to wiem, chociaż żyją podobno na wielkie stopie.

— Ogromnie! siłą się, bądź co bądź, na okazanie zamożności której niema. Po co ci tam chodzić?

— Daruj mi, — chcę się sam przekonać, chcę ją poznać. Sam mówisz, że to jeszcze dziecko — z dziecka wszystko zrobić można. Zresztą — nie wierzę w to, by niedaleko padało jabłko od jabłoni...

— Ostrzegłem cię. Jeżeli chcesz koniecznie — wprowadzę choćby jutro.

Grodek uścisnął dłoń przyjaciela.

— Bądź o mnie spokojny, dodał, — nie wejdę tam przecie w roli starającego się. Tyle osób przyjmują — i dla mnie miejsce się znajdzie. Poznam pannę, wybadam zręcznie ojca, a jak wszystko mi się złoży po myśli, — wtedy zobaczymy. Wiem kim jestem — i pamiętam o przesądach, z jakimi się spotkam, ale gdzie idzie o szczęście całego życia — należy choć spróbować.

— Jak to? ty szczęście swoje w tem widzisz?

— Kocham ją! — rzekł wzruszonym głosem Grodek. Wiem, że taka miłość nie ma żadnej podstawy, wiem, że za zbliżeniem się do niej — miłość moja zniknąć może. Ale właśnie dla tego chcę ją poznać, bo i po cóż mam się poddawać uczuciu, które może nie ma przed sobą żadnej przyszłości! Potrafię je zwalczyć, skoro się tylko o tem przekonam, ale — inaczej nie.

— Dobrze, — pójdziemy do nich.

Wkrótce po tem, w pierwszą Niedzielę, Kazimierz przedstawi Marszałkowi i jego rodzinie Józefa Grodka, jako swego szczerego przyjaciela.

Tymczasem karnawał zbliżał się już ku końcowi — a długi był niezwykle z powodu spóźnionych świąt Wielkiejnocy. Zostało jeszcze kilka wielkich zabaw, kilka świetnych balów maskowych — czas szybko upływał, a jedyna nadzieja Marszałka omijała go ciągle. Syn dostał odkosza od hrabianki M., córki nadaremnie czekały na konkurentów, Grodek trzymał się zdaleka, choć opinia bogatego człowieka, jaką mu zrobił Kazimierz, zalecała go w oczach rodziców, którzy — pamiętać to należy — nie mieli wcale wiadomości o jego pochodzeniu.

Marszałek krzywił się tylko nieco na fachowe zajęcie, — mówił, że czuć go dymem fabrycznym, ale w braku lepszego — i ten zięćby się przydał, zwłaszcza, że chwila krytyczna się zbliżała, a nadzieje zawodziły.

Przedmiotem pożądanja dla rodziców, a może i dla panien był Franciszek Środkowski, człowiek niezmiernie bogaty, świeży nabywca majątności niegdyś Wapowskich. Bywał on u Marszałka, jak bywał wszędzie, gdyż po to przyjechał do miasta, aby przyjąć udział w zabawach karnawałowych. Zajmowano się nim powszechnie, szczególnie ojcowie i matki panien na wydaniu śledzili każdy krok jego, każde niemal wejrzenie. Uważano, że bywał najczęściej tam, gdzie była pewność znacznego posagu. Nosił się przytem z myślą nowego przedsiębiorstwa na wielką skalę.

Nie tracił nadziei Marszałek, ale z każdą chwilą mniej ona stawała się prawdopodobną.

Pewnego poranku, po przepędzonej bezsennie nocy, gdyż był to przedostatni u niego wieczór w tym karnawale, znużony uciążliwą rolą gospodarza, a może i zgryziony niepewnością, czy ogromne a forsowne wydatki dadzą jaki pomyślny rezultat starań, — Marszałek drzemał, leżąc na szezlongu w eleganckim szlafroku, kiedy rozległ się odgłos dzwonka w przedpokoju i lokaj wszedł po chwili anonsując adwokata, pana Mrożka.

Porwał się Marszałek z kanapy, bo mecenas ten trzymał w swem ręku wszystkie rwące się nici jego interesów, — i poprawiwszy w lustrze siwiejące włosy, kazał gościa prosić.

Wszedł pan Mrozek z twarzą zafrasowaną i chmurną, podziękował za ofiarowane cygaro i usiadł, wyjmując z kieszeni plikę papierów.

— Co słyhać, łaskawy panie? co słyhać?

— Jak najgorzej, — ginie ostatnia nadzieja ratunku.

Marszałek zbladł.

— Cóż takiego? Kredytorowie nie przyjęli ugody?

— Nie, bo przestraszyłeś ich, panie Marszałku zaciągnięciem tytu nowych długów. Czekaliby, gdyby jaka nadzieja uregulowania interesów, ale w takim stanie rzeczy — nic im się pomyślnego nie przedstawia. Wiedzą, że długi dawno już przewyższyły wartość majątku, owszem — jest ich dwa razy tyle, jeżeli nie więcej.

— Któż się najbardziej niecierpliwi? Okropni ludzie! chcą żebym z rodziną został bez kawałka chleba!

— Niektórzy z nich mają tę samą perspektywę... mruknął Mrozek. Bankier Goldhaber zaskarżył nas, majątek lada chwila zostanie wystawionym na licytację.

— Bankier Goldhaber! — Boże łaskawy! — temu już ni dam rady!

Marszałek przeszedł kilka razy po pokoju, chcąc ukryć przed swym gościem łzy, które mu cisnęły się do oczu.

Mrozek milczał.

— Cóż ja poradzę, co ja teraz pocznę nieszczęśliwy! Panie mecenasie! Pan masz dzieci — wiesz co to znaczy być ojcem... zlituj się — radź — powiedz, że jest jeszcze jaka nadzieja!...

— Żadnej nie widzę... odparł zimno, ale z westchnieniem Mrozek.

— Ależ to być nie może! Czy podobna, żebym został na bruku... Mamy przecie stosunki... szlachta nie powinna — nie może ścierpieć, żeby ten co ją reprezentował, został ogłoszony bankrutem, zginął z głodu, albo poszedł służyć gdzieś za ekonomą. Przecież honor szlachecki jeszcze nie zginął, jeszcze są ludzie bogaci, uczciwi...

— Niepodobna na ich pomocy polegać. Szlachta robiła wszelkie ustępstwa przez wzgląd na dawniej zajmowaną przez pana Marszałka godność. Koligaci i krewni stracili już także niemało, — nie chciałeś przyjąć rad moich, łaskawy panie — eraz podobno nie ma już rady. Goldhaber żadnego ustępstwa nie zrobi i czekać nie zechce.

— A gdybym sam poszedł do niego, gdybym go prosił, błagał... przecież to nie o mnie chodzi! tu chodzi o biedne moje dzieci! Ten człowiek możeby się dał ubłagać!

— Nie znasz go jeszcze, panie Marszałku. Człowiek to twardy i zimny, jak skała. Wiele już łez ludzkich spłynęło po jego złocie i więcej jeszcze spłynie, ale prędzej złoto się od nich roztopi, niż zbudzi się jego serce. Znam trzy rodziny wyzute ze

wszystkiego, jeden z ojców zastrzelił się u jego drzwi, nie mogąc doczekać się audyencji.

Żadnego ustępstwa, żadnego względu nie można się od niego spodziewać. On jest nabywcą długów, które staną na pierwszym miejscu, — otrzyma nietylko kapitał, ale i procenta, — inni nie odbiorą nic, albo bardzo mało...

— Czy go pan znasz osobiście? dobrze?

— Tak jest, — miałem z nim niejednen interes.

— Cóż to właściwie za człowiek? co za jeden? zkąd?

— Bogacz dziś — lichwiarz niedawno. Jego ojciec handlował skórami w Berdyczowie, — jego dziad był arędarzem w majątku nieboszczyka ojca pana Marszałka...

— Gwałtu, co się dzieje! Szynekarze wypędzają nas z naszego gniazda! Ginie nieszczęśliwa szlachta, idzie w niewolę żydowską! Imię, herb, uczciwość, wszystko na nic! — pójdziemy z torbami, pójdziemy wszyscy z torbami!...

Marszałek płakał zrozpaczony i łamał ręce. Mrozek westchnął, powstał i zabierał się do wyjścia.

— Nie odchódź Pan! nie odchódź!... zaczął prosić Marszałek i nagle zachwiałwszy się na nogach, upadł na kanapę.

— Co panu jest? — krzyknął Mrozek i w jednej chwili skończył po szklankę wody, stojącą na stole.

Marszałek przytknął do niej spalone wargi, przetarł dłonią sfałdowane czoło i odetchnął. Twarz miał czerwoną, usta mu drgały febrycznie.

— Biegnę po doktora!

— Nie, nie trzeba! — dziękuję panu — to już przeszło, — chwilowy przyływ krwi... Rzecz u mnie zwyczajna... Już przeszło...

Życie moje w takich warunkach ciągle wisi na włosku. Dzieci sieroty zostaną bez kawałka chleba...

Nieszczęście zabije mnie — ja to czuję, ja nie przeżyję takiego ciosu...

Ale ja przecie pójdę do niego! — kto wie? może się co uda... Prawda panie?

— Niech pan Marszałek spróbuje. Tylko przez życzliwość moją dla niego proszę, — przygotować się z góry na odmowę i nie brać jej bardzo do serca. Co się stało, to odmienić trudno — ale zdrowie i życie Pana droższe jego dzieciom, niż majątek...

Marszałek z rozrzewnieniem uściśnął Mrożka.

— Bóg zapłać Panu! — dobry z ciebie człowiek!

Mrozek skłonił się i odszedł.

Marszałek zadzwonił, — kazał sobie podać wody, umył się uczesał starannie, wdział frak i za chwilę wsiadał już do czekającej na niego karety, każąc się wieść do pałacu Goldhabera.

Przez drogę układał sobie co ma mówić, poprawiał krawatkę na szyi, która mu się ciągle wydawała za ciasną i uśmiechał się jakoś dziwnie, jak człowiek miotany niepokojem i niepewnością.

Kareta stanęła, lokaj drzwiczki otworzył, marszałek wszedł na schody. Otoczył go dokoła przepych i zbytek. Schody były żelazne, rzeźbione, lekkie, przykryte na środku suknem pąsowem. Wieloramienne złożone świeczniki błyszcząły przy marmoryzowanych ścianach, wielkie lustra w bogatych złotych ramach pozwalały przejrzeć się od stóp do głowy.

Lokaj we fraku i białym krawacie zapytał przybyłego u drzwi o nazwisko i poszedł zameldować swemu panu.

Marszałek chodził po wielkim jasnym przedpokoju, przeglądając się niekiedy w lustrze i licząc machinalnie czworokąty błyszczącej posadzki.

Tak upłynęła długa chwila. kilku innych lokai podobnie jak pierwszy ustrojonych pokazało się i znikło, — wielki zegar ścienny posunął swoją wskazówkę o całe pół godziny, nim nakoniec otworzyły się przed marszałkiem drzwi i wpuszczono go do recepcyjnej sali Goldhabera.

— Pan zaraz przyjdzie, — sucho i z pewnem lekceważeniem oświadczył lokaj.

Zaczęła się druga faza oczekiwania. Marszałek stawał się coraz niespokojniejszy, — to siadał, to wstawał, błądził bezmyślnym okiem po okazałych meblach i sprzętach, po obrazach wi-

szących na ścianie w szerokich złożonych ramach, po błyszczących złotem fraszkach, których tu było pełno. Bronzowy satyr stojący na granitowej kolumnie wykrzywił mu się szyderczo i zaglądał w oczy.

Nareszcie dały się słyszeć kroki w przyległej sali, uchyliły się ciężkie aksamitne portjery i wszedł bankier. — Okazałej tuzszy figurę jego osłaniał szlafrok bogaty, szyty złotem i pelą i mający na sobie parę plam — niezbyt widocznych. Na nogach były pantofle wytwornej i kosztownej roboty, kapiące złotem i przydeptane. Szczerozłoty łańcuch — arcydzieło swego rodzaju zwieszał się z bocznej na piersiach kieszeni szlafroka, — białe i pulchne, niezbyt czyste ręce świeciły złotymi pierścieniami o wielkich kamieniach. Na jednym z nich było coś nakształt herbu — oku Marszałka zbląkanemu przypadkiem — przywidziała się cebula w koronie. Bankier skłonił się poważnie głową i ręką wskazując gościowi krzesło, usiadł i czekał, co ten mu powie.

Marszałek nie mógł na razie wymówić ani słowa — patrzył na krezusa, jakby chcąc wyczytać z jego oczu wróżbę jakąś dla siebie. Bankier nawzajem patrzył nań swemi wielkimi oczyma i milczał.

Były to oczy ciemne, wypukłe, których wyrazu trudnoby się było domyśleć. Stworzone na to, aby widzieć przedmioty — nie przyjmowały na siebie innych obowiązków.

Patrzyły przytem przez grube szkła szczerozłotych binokli siedzących na wielkim i garbatym nosie. Wąsów nie było na tej twarzy, tylko ciemne, szpakowate nieco faworyty okalały rumiane i pulchne policzki. Usta grube wydatne, wydęte naprzód nadawały charakter całości. Obfity, zlekka fałdujący się podbródek łączył głowę z piersią. Wyłysiała miejscami głowa nosiła na sobie czapczkę ze złotej lamy szytą jedwabiem.

— Masz pan do mnie interes, — odezwał się w końcu bankier, widząc, że zmieszany jego gość nie decyduje się na zaczęcie rozmowy.

— Tak jest, panie — przychodzę do niego z prośbą.

Bankier poprawił się na krześle i podniósł głowę.

— O co chodzi?

— Idzie o los moich dzieci....

— Nie rozumiem pana.

— Jesteś pan moim głównym wierzycielem... czy to prawda, że chcesz majątek mój wystawić na sprzedaż przymusową?

— Prawda — już porobiłem kroki.

— Panie! — cofnij je! zmiłuj się nad ojcem rodziny — dzieci moje zostaną bez kawałka chleba.

— Proszę pana — co to mnie może obchodzić? Nie jestem ich ojcem.

— Ale masz pan własne dzieci, kochasz je, — bo któżby dzieci swych nie kochał! Więc w imię tego przywiązania błagam pana, — chciej zaczekać! Rok choćby zwłoki.

— Na cóż się panu zwłoka przyda?

— Spróbuję się uratować, — użyję wszystkich środków. Bankier pokiwał głową.

— Miałeś pan dosyć czasu, — to się na nic nie zdało.

— Więc pan nie chcesz?

— Nie widzę w tem żadnego interesu. Im prędzej odbiorę moje pieniądze — tem lepiej dla mnie.

— Panie! ależ ja proszę o łaskę... odzywam się do pańskiego serca.

Bankier się uśmiechnął.

— Jakież może mieć znaczenie serce w interesie?

— Ależ pan jesteś miljonerem — summa jaką mu winienem! jest dla niego niczem...

— Więc ztąd wypada, że powinienem rozdać moje pieniądze i pozostać bez grosza — czy tak?

Bankier się zaśmiał — Marszałek zapłonił.

— Ja przecież nie żądam jałmużny... proszę o względność o uczynność, która interesom nie jest obcą.

Chcę skorzystać ze zwłoki dla uregulowania interesów moich, dla poratowania nie tylko siebie, ale i tych wierzycieli moich.

ich, którzy z sumy likwidacyjnej nie mogą nic dostać, którzy zostaną z rodzinami bez kawałka chleba...

— A cóż oni mnie obchodzą? — nie ja od nich pożyczałem!

— Wiem, znam moją winę, ale chcę ją naprawić. Mam nadzieję na interes, który może mi dopomóc. Dostanę pieniędzy, spłacę część długów — reszta za lat kilka da się pokryć także... Cześć moją obronię, nie zawiodę zaufania ludzi, którzy mnie zawierzyli, — uszczuplę sobie może majątku — byleby uspokoić sumienie. Dopomóż mi pan do tego! cofnij swoje żądanie, chciej zaczekać!

— Nie, panie! Ja tego nie zrobię. Nie widzę w tem żadnego interesu.

— Nie chcesz Pan dopełnić dobrego uczynku, którym uratujesz wielu ludzi.

— Jestem bankierem dla pana — filantropem dla siebie. Przejrzyj Pan listę roczną Dobroczynności — znajdziesz tam moje nazwisko... Dzienniki piszą o mych ofiarach — wiedzą ludzie, że nie jestem ludożercą. Ale wszystko ma swoje granice i przede wszystkim szanuję interes własny. Żegnam pana.

Bankier zabierał się do wyjścia. Marszałek był w rozpacz — widział, że o zwłoce nie ma co myśleć, a w takim razie majątek za kilka miesięcy zostanie za bezcen sprzedany. Pod wrażeniem bankierskiego egoizmu, obudziły się w jego sercu znaczne instynkta. Pomyślał, że oprócz biedy — czeka go jeszcze hańba, że mnóstwa rodzin los związany został z jego losem, że ludzie ci wierzyli mu prawie na słowo i — zadrżał na myśl, że teraz każdy z nich może mu obelgą rzucić w oczy. Przypomniał też sobie Wapowskich, którzy chociaż wyzuci z majątku i biedni — żyli jakoś przecież, a otaczał ich szacunek powszechny i głośno mówiono, że wszystko oddali, byleby nie mieć długów na sumieniu.

Myśli te w jednej chwili zrodziły nowe postanowienie.

— Jeszcze jedno słowo! — zawołał, zatrzymując bankiera.

— Słucham, rzekł ten, siadając znowu.

Lokiem i miarką.

— Wchodzę w pobudki, dla których nie chcesz pan pozwolić na zwłokę, — sądzisz, że nie umiałbym jej użyć na korzyść moją i mych wierzycieli. Przyznaję się do winy — jestem niepraktyczny. Ale, jeśli panu idzie o to, mam inną propozycję: Jesteś pan moim głównym wierzycielem — bierz mój majątek i wejdź sam w interesa, jako nabywca. Sprzedaż przymusowa da zaledwo połowę prawdziwej wartości, a pan zapewne nie staniesz do targów.

— Nie, — odrzekł bankier, nie mam tego zamiaru.

— Więc, jeśli tak,—to nic panu na tem nie zależy, by majątek sprzedawano za bezcen. Sprzedając z wolnej ręki, weźmie się dwa razy tyle — może więcej — a to wystarczy na spłacenie oprócz pana — może i innych wierzycieli. Ja godzę się już z losem, pójdę z torbami; — ale niech przynajmniej sumienie moje będzie czyste. A za taką zwłokę w odebraniu pieniędzy, za kłopot zajęcia się tą sprawą — weźmiesz pan sobie z całej sumy — co tylko ci się wyda stosownem.

Marszałek był najmocniej wzruszony i rozrzewniony, łzy płynęły mu po twarzy, — widział siebie w łachmanach, dzieci i żonę w biedzie — i, dziwna rzecz! nie doprowadzało go to do rozpacz. Bankier milczał — i jemu myśl jakaś musiała przyjść do głowy, bo rozważał coś i wargi wydymał.

Przez chwilę trwało milczenie.

— Nie — panie Marszałku, — propozycja ta nie zachęca mnie wcale. Interes zawył, niepewny — nie widzę w nim dla siebie żadnej szansy. Zresztą tu potrzeba administratora, gospodarza, przemysłowca — a ja jestem finansistą: To nie dla mnie.

— Więc w niczem nie chcesz mi pan dopomódz! Myślałem, że się pan zlitujesz nad losem nieszczęśliwego ojca, bo też pan jeden uratować mnie mógłbyś...

— Że mógłbym — to rzecz pewna, ale powiedz mi pan z łaski swojej — na czem opierałeś swoje nadzieje, — z jakiego tytułu ja miałem pana ratować?

Marszałek spotkał wejrzenie szydersko-ciekawe.

To go rozgrzało. <http://rcin.org.pl>

— Sądziłem, że obowiązkiem moralnym obywateli jednego kraju jest — wspomagać siebie wzajemnie.

W czasie, kiedy przewodził szlachcie swojego powiatu — niejedynemu udawał się do mnie z prośbą o pomoc w podobnych jak ja dziś warunkach. Nie usuwałem się nigdy — niosłem pomoc każdemu, bez względu na to czy zależało mi co na tem, czy nie zależało..

— I dzisiaj jesteś pan zrujnowanym i, jak sam mówiłeś, dzieci zostaną bez kawałka chleba... Dziękuję Panu za podobny przykład. — Nie! Panie — każdy powinien pamiętać o sobie i tylko o sobie — jak będzie dobrze każdemu — to i wszystkim będzie dobrze. Poświęcenia nie rozumiem — nie ma tego wyrazu w słowniku moim. Jestem finansistą — mojem jedynym prawem jest interes. Niech każdy zbiera i ma pieniądze — oto najważniejszy obowiązek obywatelski.

Marszałek słuchał tych słów, mówionych flegmatycznie, poważnie i na razie nie znalazł nic do powiedzenia: czuł się zgnębionym, chorym — ostatnia nadzieja znikła przed jego okiem — zapadał w przepaść nędzy i wstydu.

Wstał, potarł dłonią czoło, skłonił się i powoli zwrócił się do wyjścia.

— Chwilkę jeszcze — panie Marszałku, dodał bankier powstając z krzesła.

Marszałek zatrzymał się i spojrział błędnym okiem.

— Teraz na mnie kolej — zrobię panu pewną propozycję.

— Słucham, rzekł gość, zdziwiony nieco niespodziewanym wrotem.

Bankier wskazał mu krzesło i uderzył w srebrny dzwonek. Lokaj wszedł.

— Cygara! — rzekł pan krótko — i po chwili na srebrnej ozłacanej tacce przyniesiono mu kilka cygar i zapaloną w lśnjącym lichtarzu świecę.

Bankier podał cygaro gościowi.

— Proszę, — prawdziwe Hawańskie! kosztuje pół rubla, — myślnie dla mnie sprowadzone z Hamburga. Innych nie palę.

Marszałek ujął podane sobie cygaro, nadciął złoconym nożykiem i machinalnie zapalił.

Kiedy zostali sami, po chwilce milczenia gospodarz puścił z ust wielki kłąb dymu, z miną smakosza delectował się jego wonią, w końcu przemówił:

— Mówiliśmy z sobą dotychczas, panie Marszałku, jako wierzyciel z dłużnikiem, — teraz chcę mówić z panem jako człowiek co więcej — jako ojciec.

Mam troje dzieci. Córkę wydałem zamąż za barona Lichtenfelda — mającego obszerne dobra w Prusach. Syn mój starszy żeni się z hrabianką M...

— Czy być może? — wykrzyknął Marszałek, porywając się z siedzenia.

— Tak jest... wczoraj został jej narzeczonym.

— Wiem... syn pana Marszałka starał się podobno o jej rękę!

— Widzisz pan, — to pouczające.

— Został mi jeszcze syn jeden...

— Pan marszałek masz dwie córki, — wszak prawda?

— Tak jest! — odpowiedział zapytany, nie pojmując do czego to zmierza.

-- Starsza ma na imię...

— Klotylda.

— A młodsza...

— Malwina.

— No — więc tu chodzi o pannę Malwinę...

— O moją córkę?

— Tak. Pytam się pana Marszałka — czy wydasz ją za mego syna?

Wzdrygnął się ojciec. Wspomniany przez Mroźka dziad — arędarz stanął mu w myśli. Ale w tejże chwili patrzyli nań z drugiej strony baron Lichtenfeld i arystokratyczna główka hrabianki M... W głowie mu się mąciło, a słodka upajająca woń cygara i blask zbytowego otoczenia działał na zmysły.

— Czy możemy mówić o tem? — powtórzył poważnie bankier.

— Wola córki mojej... bąknął marszałek... ma wolny wybór... Uśmiechnął się wnuk arędarza i teść hrabianki.

— No — to się rozumie! nie może być dziś nawet mowy o czemś stanowczem, — po prostu chciałbym się z panem porozumieć w rzeczy, która mi już kilka razy na myśl przychodziła.

Z mojej strony robię panu Marszałkowi następujące propozycje. — Majątek pański przejdzie przez licytację, bo interes tego wymaga. Do targów stanie mój syn i kupi go na imię własne. Tym sposobem majątek rodzinny utrzyma się w rodzinie, bo przejdzie w ręce zięcia pańskiego. Wierzyciele wezmą z sumy likwidacyjnej tyle ile będzie, ja zaś ze swojej strony zahipotekuję dla pana na majątku dożywocie — w ilości odpowiedniej potrzebom mojego kuzyna. Córka pańska, z którą się w towarzystwach spotykałem jest tak miła i piękna, że przyszła jej bratowa, hrabianka M. będzie mi wdzięczną za taką kuzynkę.

Oto mój projekt. Nie sędzę, aby różnica wyznania mogła być jaką przeszkodą. Jesteśmy wprawdzie protestantami, ale przypuszczam, że pan marszałek wyrzekł się zastarzałych przesądów. Zresztą, gdyby tego koniecznie potrzeba, syn mój zostałby katolikiem. W każdym razie grożąca panu Marszałkowi i rodzinie jego nędza, — stałaby się niemożliwą.

Marszałek był, jak człowiek zostający w gorączce. Siłił się na jakąś decyzję, ale nie mógł wymówić słowa. Dostrzegł to bankier.

— Zostawiam panu Marszałkowi czas do namysłu, rzekł i powstał z miejsca, dając znać, że audyencya skończona.

Marszałek podał mu rękę i miał znowu wyjść, kiedy do pokoju wszedł młody człowiek, ubrany wytwornie, z przesadną nieco elegancją — prezentujący się jakby figura wycięta z żurnalu. Jedno oko miał przyknięte i krwią zasłte, włosy rude i mocno kędzierzawe, twarz z wyrazem chytrym i złośliwym. Gdyby nie to, że kulał mocno na jedną nogę i cerę miał pantarczego jajka — mógłby się nazwać gentlemanem w całym znaczeniu tego wyrazu.

— Otóż mój syn — Alfons, — rzekł bankier, przedstawiając go Marszałkowi.

Sklonili się sobie nawzajem i gość wyszedł.

— Interes tak jak skończony — odezwał się po chwili ojciec. Jeżeli hrabia Zygmunt i teraz jeszcze powie, że za mało mamy szlachty w rodzinie, to chyba nie ma herbarza! Ród marszałka należy do najstarszych w kraju.

— Więc ojciec dla tego żenisz mnie z tą gołą Marszałkówną! Wiem przynajmniej, jaką gram rolę! Abraham poświęca Izaaka...

— Cicho! cicho — z tym Izaakiem! Zawsze się z czemś głupiem wyrwiesz!

— Ale przecież nikt nie słucha...

— Ściany mają uszy! No, szwagrze hrabianki — podziękujże ojcu.

Alfons skłonił się z przesadną układnością.

— Mille grace, cher papa!

— Słuchajno, — chcę ciebie zrobić człowiekiem, ale dostań mi się jeszcze raz do kozy za swoje spekulacje, to cię wydziedziczę.

Tu bankier uniesiony własną wymową — charakterystycznym ruchem, poprawił sobie rękawy szlafroka i wyszedł. Syn podążył za ojcem.

Lokaj spotkał ich z telegramem na tacce.

Goldhaber odpieczętował i przeczytał głośno te słowa:

„Upraszam pana o zamówienie dla nas odpowiedniego apartamentu w hotelu. Przyjeżdżamy jutro.

Edward Stafford.“

— No, no — przemówił bankier, — karnawał tegoroczny ściąga do nas szczególnych gości!

— Któż to jest ów Stafford? zapytał Alfons.

— Lord Stafford? To wielki człowiek! Zrozumiesz, kiedy ci powiem, że nas obu w garść wzięwszy, włożyłby do swej kieszeni. To magnat, którego szacują na kilka milionów funtów szterlingów...

— Aj waj! krzyknął żartobliwie Alfons.

Bankier tak był zajęty myślą o bogatym angliku, że nie-przyzwoitego żartu nie skarcił.

— I w dodatku — ma jedynaczkę córkę, — dodał z uśmiechem.

— Parbleu! skwitowałbym z dodatku przy takiej pięknej całości. Zwłaszcza, że będę się musiał kontentować samym dodatkiem do golizny mego przyszłego teścia.

— No, no — nie desperuj. Zostaniesz przecie za psie pieniądze obywatelem ziemskim.

VIII.

W ostatni Poniedziałek wielkie po rogach ulic rozlepione afisze ogłosiły wielki bal maskowy i kostiumowy w resursie. Ceny były bardzo podniesione; wymaganie balowej toalety zaznaczone ze szczególnym naciskiem; wszystko słowem dążyło do tego, by ta świetna zabawa zamknęła się o ile możliwości w kole dystyngowanego towarzystwa.

Były głosy za nadaniem temu balowi cechy prywatnej, za udzieleniem biletów wstępu tylko wybranym osobom, ale ogół dam powstał przeciwko temu na tej słusznej zasadzie, że w takim razie zabawa nie byłaby dostatecznie urozmaiconą, że intryga maskaradowa nie miałaby szerszego dla siebie pola i musiałaby się ograniczyć kółkiem ludzi dobrze sobie nawzajem znanych, że, słowem, zabawa nie odpowiadałaby swemu zadaniu.

Poprzestano więc na możliwym zabezpieczeniu się od zbytniego napływu obcych i mniej pożądaných żywiołów.

Grodek, którego miłość do marszałkówny nie osłabła, ale przeciwnie — wzmogła się po osobistem jej poznaniu, wiedząc o tem, że marszałkostwo z pewnością balu nie opuszczą, namówił już z góry Kazimierza, aby się razem wybrali.

Kazimierz nie był temu przeciwny; owszem — uśmiechała mu się myśl, że ukryty pod maską i przebraniem będzie mógł przypatrzeć się dobrze dawniej znanemu towarzystwu i, sam nie będąc poznanym, intrygować łatwe do poznania damy.

W umówionej godzinie, a była to godzina dość już późna, tak, że się można było spodziewać liczego zgromadzenia, udali się przyjaciele do resursy.

Rzeczywiście sale napełnione już były elegancką i doborową publicznością; muzyka grała najmodniejsze sztuki, a w wirze różnobarwnych strojów, w blaskach niezliczonych świateł nie ustawał zmięszany gwar rozmowy, srebrnych śmiechów i dźwięcznych okrzyków.

Pierwszą postacią znajomą, jaka Wapowskiemu wpadła w oko, był baron, mąż baronowej Julii. Był on w zwykłym stroju balowym i tylko czarna jedwabna maska twarz mu zakrywała. W samej rzeczy, baron wróciwszy niespodzianie z wyprawy za granicę, na godzinę przed balem, postanowił przyjąć w nim udział, choćby bez przebrania, co zresztą mężczyzn nie obowiązywało; a może miał w tem i jakie widoki, by, nie dając znać żonie o swoim przybyciu, intrygować ją na sali balowej.

Baron był mężczyzną średniego wzrostu, zwykłego salonowego układu, — nie miał w powierzchowności swej nic takiego, coby go wyróżniać z pomiędzy innych, a tem samem zdradzać mogło.

Maska na twarzy i zmiana głosu utrudniały jeszcze więcej poznanie — przynajmniej tak mu się zdawało.

Wapowski poznał go przecież z łatwością i udał się w ślad za nim, sądząc, że tym sposobem najprędzej znajdzie baronową. Grodek towarzyszył mu, szukając po sali marszałkówny Malwiny.

Jakiś młodzieniec w stroju Mefista zbliżył się do barona i zaczął mu szeptać do ucha, ale tak, że Kazimierz mógł słyszeć.

— Spadłeś nam, kochany baronie z deszczem — i wprost na maskaradę — to lubię! Jest org.pl

przecież nie posądzam ciebie, abyś chciał tu szpiegować żonę — to byłoby z twojej strony za naiwne!

— Co to ma znaczyć? zapytał baron.

— Rzecz jak najprostsza, — mężowie zazdrośni mają własność trafiania kulą w płot... Przysięgnę, że w samej rzeczy nie myślę się, że szukasz tu baronowej...

— A gdyby tak było?

— Taby dowodziło tylko twej nieprzezorności. Baronowej z pewnością tu nie ma.

— Zkąd wiesz o tem?

— Wiem, bo nie widzę hrabiego Karola.

— Jakiż związek ma hrabia Karol...

— Cha! cha! cha! — to wyborne,—to ci się udało! Mnie się o to pytać — to rzecz doskonała! Parbleu! nie wiem! — to przecież należy do jurysdykcji mężowskiej! Cha, cha, cha! konia z rzędem za takie pytanie!

Baron uwolnił się od natręta, kryjąc się przed nim w tłumie, ale znać przeznaczeniem jego było spotykać złośliwych, którzy go wnet poznawali.

— Cóż to? sam przybywasz, Otello? zawołał jakiś arlekin, — czy już zadusiłeś swoją Desdemonę? Na honor — przykładnym jesteś mężem, choć czarną masz twarz. Bądź co bądź, — dodał nachylając się do ucha, — nie zawadzi być cokolwiek murzynem — Desdemona zanadto się afiszuje z tem hrabiątkiem...

— Mylisz się, — przemówił baron, — nie jestem tym, za którego mnie uważasz...

— Czy tak? — Ach! to już jestem w domu! Miałem cię za murzyna — a ty jesteś tylko murzynkiem swojej pani, cha! cha! cha! — to wyśmienite!

I pobiegł dzielić się tą wiadomością z innymi.

Baron porzucił swój zamiar pierwotny odszukania żony i zwrócił się powoli ku wyjściu. Kilka słów jeszcze złapanych po drodze przekonało go, jak dalece romans baronowej był głośnym i znanym powszechnie. Mówiono o tem, jako o rzeczy

starej. Wyszedł na pysznie przystrojone schody, po których wchodziły jeszcze przybywające damy i mężczyźni. Nie było pomiędzy nimi ani baronowej, ani hrabiego Karola...

Znalazłszy się na ulicy, zatrzymał się jeszcze na chwilę, przeglądając okiem stojące opodal karety, poczem powolnym, jakby mierzonym krokiem udał się do domu.

W bramie spotkał szwajcara i zapytał go, czy pani baronowa w domu. Szwajcar poznał go, zmięszał się nieco, ale odpowiedział, że pani w domu i nie wybiera się nigdzie, gdyż jest niezdrową.

Nakazawszy mu milczenie, wszedł na tylne schody, prowadzące do jego mieszkania od strony dziedzińca, dostał się do przedpokoju, gdzie rzucił z siebie wierzchnie odzienie i, nie zatrzymywany przez nikogo, cicho stąpając po rozesłanych na posadzce dywanach, zbliżył się do drzwi buduaru żony i otworzył je.

W pokoju tym panował pół-zmrok, dający wszakże możliwość wyraźnego odróżniania przedmiotów. Na adamaszkowym szeszlunku leżała w koronkowym negliżyku baronowa Julia, obok niej na fotelu, z cygarem w ręku siedział hrabia Karol, wdzięcznie pochylony ku swej pięknej towarzyszce.

Zdawało się, że ona okazywała pewne znużenie, które on chciał rozproszyć jakimś opowiadaniem; a tak byli zajęci — ona myślami swemi, a on swą powieścią, że przez parę chwil nie spostrzegli wcale patrzącego na nich barona.

Temu snąć nie zależało na sprawieniu nagłego wrażenia, gdyż chrząknął z cicha, dla zwrócenia na siebie uwagi i powoli postąpiwszy naprzód, podał rękę żonie i hrabiemu, nie okazując zdziwienia ani gniewu.

Co do nich, to hrabia zmięszał się widocznie i z trudnością mu przyszło ukryć to wrażenie, baronowa uśmiechnęła się uprzejmie na widok męża i, przywitawszy się z nim, pozostała jak wpierw w leżącej pozycji.

— Wracam z balu, przemówił baron, — nie znalazłszy pani, sądziłem, że może niedyspozycja jaka zatrzymała cię w domu.

— Rzeczywiście, jestem nieco cierpiącą, — migrena mi dokucza już od tygodnia. Hrabia był tak uprzejmym, że mi z poświęceniem własnem uprzyjemniał chwile samotności.

— Dziękuję panu, — odrzekł baron, podając hrabiemu końce palców, co miało znaczyć uściśnienie.

Jestem również znużony podróżą, dodał, — bał dzisiejszy zwabił całe towarzystwo, — możeby to było skuteczne lekarstwo na niedyspozycję pani. Jeszcze jest dość wczesnie, abyśmy mogli przyjąć w nim udział.

— Jeżeli baron chcesz poświęcić się dla mnie, — możebym poszła za jego radą. Przyrzekłam nawet księżnie, że się tam spotkamy...

— Eh bien, — przejdźmy, hrabio, do mego gabinetu, a baronowa, która ma zadziwiającą zdolność szybkiego ubierania się, nie każe nam zapewne zbyt długo na siebie czekać.

Hrabia był posłuszny—skłonił się z gracyą pięknej pani i wyszedł, a za nim baron nakazujący po drodze kamerdynerowi podać światło do gabinetu.

Kiedy to się stało i zostali sami, baron wskazawszy gościowi krzesło, przemówił uprzejmym i grzecznym tonem.

— Pozwól, hrabio, bym ci powiedział, że bytność twoją w buduarze baronowej w takich warunkach uważam za — niewłaściwą...

Hrabia poczerwieniał.

— Żądasz pan satysfakcyi? — zapytał, — służę w każdej chwili...

— *Ma foi!* — nie myślę o tem wcale. Nie bierzmy tych rzeczy tak gorąco. *Entre nous soit dit*, spotkanie takie mogłoby kogo innego doprowadzić do podobnych konsekwencyj, ale — my... nie! Nie mam nic przeciwko panu.

Jest w tem tylko pewna nieogłędność, — *mais enfin, ça se comprend...* Zapalisz—hrabio?

I podał gościowi cygaro, które ten przyjął w milczeniu.

— Co pan nazywasz nieogłędnością?

— Postępowanie wasze. Przekonałem się na balu, że wszyscy wiedzą o tem, co w każdym razie *doit être au moins voulu*. Niepodobna, by mi to było obojętnem, jakkolwiek nie należę do zbyt cnie drażliwych.

En tout cas — muszę hrabiemu zrobić pewną propozycję, która wszelkiemu nieporozumieniu kres położy.

Baron zapalił cygare, podał gościowi świecę, a sam pociągnąwszy kilka razy, mówił dalej:

— Jak sądzę, hrabia kochasz moją żonę?

Zapytany zczerwienił się jeszcze więcej. Był to młody człowiek lat dwudziestu dwóch, marzyciel nieco, kawał artysty i poety.

— Tak jest, — skoro pan żądasz mojej otwartości, — przyznaję. Kocham baronowę.

— No, widzisz, hrabio — potrzebowałem tego wyznania, gdyż chcę wam być pomocnym.

— Jak to? zawołał hrabia?

— W najprostszy sposób. Kochając baronowę, pragnąłbyś pan zapewne zostać jej mężem — *n'est ce pas?*

— Ależ, baronie...

— No, tak, — wiem o tem, osoba moja i moje prawa stają temu na przeszkodzie — i właśnie chodzi o to, że ja dla dobra waszego (gdyż wiem, że posiadasz pan wzajemność) — chcę ustąpić wam z drogi. Rozwód nie jest przecież niepodobieństwem.

Hrabia zbladł. W jednej chwili zdało mu się, że już jest mężem baronowej i dziwnie myśl ta wstrząsnęła jego istotę. Była w tem niby trwoga i radość, zachwyt i przerażenie, rozkosz i wstręt zarazem. Bywają takie skomplikowane i niezrozumiałe uczucia, których analizy niepodobna prawie dokonać. Raził przytem młodzieńca baron, raził ten zimny ton w ustach męża; wolałby stokroć największą gwałtowność.

— Pan żartujesz — odrzekł zmieszany.

— Nie! — wcale nie! mówię jak najpoważniej. Tam, gdzie dwoje ludzi — mężczyzna i kobieta, powzięły do siebie nawzajem gorętsze przywiązanie, mąż jest w przykłej pozycji, staje się śmiesznym. Chcąc tego uniknąć, wam zaś dać szczęście — rezygnuję z praw moich — ustępuję panu miejsca.

— Więc to na seryo?

— Najzupełniej. Ażeby zaś pana do reszty o tem przekonać, podaję moje warunki, przy których rzecz tę możemy z pomyslnym dla nas skutkiem skończyć. Wziąłem w posagu sumę stu tysięcy rubli. W razie rozwodu, według dobrowolnie zawartej pomiędzy mną a moją żoną, w przewidywaniu takiego wypadku umowy, połowę sumy posagowej mam niezwłocznie jej zwrócić.

Pieniądze te są w obrocie i niepodobnaby mi było takowe bez szkody dla mych interesów wycofać. Przytem, za odstąpienie od moich praw, jako męża, należy mi się słusznie kompensata, gdyż bezwzględnego poświęcenia nie wymagałbyś odemnie, hrabio!

Jeżeli więc jesteś mego zdania, nie zawahasz się zapewne dać mi pięćdziesiąt tysięcy i podjąć kosztą rozwodowej sprawy. Miłość takiej jak Julia kobiety warta przecież takiej ofiary. Co do mnie, ofiaruję panu w takim wypadku cały mój szacunek i przyjaźń, żadnej urazy do niego mieć nie będę, owszem — ucieszę się waszem szczęściem. W przeciwnym razie, gdybyś na układ taki nie przystał..

Hrabia spojrział baronowi w oczy.

— W przeciwnym razie... przykroby mi było niezmiernie zamknąć przed panem drzwi mego domu na zawsze, czego — wierz mi Hrabio, wymagałoby nie — moje przekonanie, ale względy ludzkie, obowiązki bronienia sławy mojej żony, wystawionej na złe języki. Oto wszystko co miałem do powiedzenia. A teraz sądzę, że Baronowa czeka na nas — więc pójdźmy do niej.

Powstali obaj, ale Hrabia zmieszany widocznie tem co sły-
szął, nie wiedział co ma z sobą począć.

Baron spostrzegł to i uśmiechnął się.

— Nie żądam od pana natychmiastowej decyzji. Daję mu trzy dni do namysłu. Tymczasem—chodźmy.

— Daruj pan,—przemówił Hrabia,—nie mogę państwu towarzyszyć,—muszę się udać do siebie.

— W takim razie, nie zatrzymuję pana, jakkolwiek żałuję, że mu zrobiłem mimowolną przykrość. Nie potrzebuję dodawać, że wszystko cośmy mówili zostanie pomiędzy nami.

— A więc pojutrze?—dodał z uprzejmym uśmiechem.

— Pojutrze, — odparł Hrabia, kłaniając się grzecznie i wybiegł zmieszany i drżący,

Baron udał się do żony.

Piękna Julia była już rzeczywiście ubraną i niedługo potem otworzyły się przed Baronowstwem podwoje balowej sali.

Baronowa ubrana z właściwym sobie nieporównanym gustem i przepychem, wspierała się wdzięcznie i czule na ramieniu męża, a ktoś z gości, widocznie nieobeznanych z towarzystwem wykrzyknął z zachwytem:

— Cóż to za prześliczna dziewczeczka! Do stu kartaczy! macie tu anioły—nie kobiety!

Zabawa udała się nadspodziewanie świetnie—sala zaledwo mogła pomieścić tłumy gości; kosztowne i gustowne stroje dam, oryginalne i piękne kostiumy męskie, mnóstwo światła, kwiatów, wieńców—wszystko to złożyło się na całość pociągającą i uroczą.

Środki, któremi starano się zapobiedz zbyt niemu natłokowi i zbyticznej mieszaninie towarzystwa poskutkowały o tyle, że w samej rzeczy tak zwana *śmietanka* towarzyska znalazła się tu w komplecie, z innych zaś sfer przybyli ludzie liczący się do jednej z arystokracji: pieniędzy, rozumu lub stanowiska.

Kazimierz poznał Baronowę, ale nie chciał się do niej zbliżyć — ona mu się pierwsza uśmiechnęła uprzejmie i, dotknąwszy jego ramienia wytwornym wachlarzem, powitała go jak znajomego i pociągnęła spojrzeniem za sobą. Spadłe z ołtarza bóstwo nie wzbudzało już w Wapowskim ani połowy dawnych uczuć. Role ich były zmienione — ona udawała stęsknioną, znudzoną — a może rzeczywiście nią była, on zaś patrzył na nią, jak bałwo-

chwalcą na bóstwo odarte z majestatu, pozbawione dawnego blasku.

Nie przeszkadzało im to bawić się nawzajem rozmową żywą, skrzącą się dowcipem, do której wspomnienia dawnej znajomości dawały nie mało przedmiotów.

Zupełnie innych wrażeń doznawał Grodek. Ten, upojony miłością dla marszałkówny, widział w niej wcielenie marzeń swoich, arcydzieło Boże—piękności, wdzięku i uroku.

Prosta, szczerą jego naturą poraż pierwszy może w życiu ogrzała się takim płomieniem; to też płomień ten objął go gwałtownie i przeniknął do głębi.

Grodek znał kobiety tylko zdaleka. Od dziecka oddany pracy ciężkiej, nie mając czasu ani możności takiego obycia się z towarzystwem—zwłaszcza dystyngowanym—któreby mu dało należyte pojęcie o ludziach w ogóle, dziś czuł się jakby w zaczarowanym kole, w którym na skinienie jednej czarodziejki wszystkie jego uprzedzenia i niechęci upadły w niwecz, a natomiast jakieś nowe, dziwne upojenie przenikało go i kołysało rozkosznie.

Malwina, szczególnie na balu, była rzeczywiście bardzo ładną; umiała przytem władać zasobami swoich wdzięków, nawykła do tej misternej zalotności, której szkołą jest świat salonowy. Spojrzenie jej było tak głębokie, że należało się spodziewać równej głębokości uczuć; uśmiech miała tak niewinny, swobodny, uroczy, że mogłaby rozbroić najzakamienialszego sceptyka; głos dźwięczny, srebrny pieścił rozkosznie ucho i wkradał się do serca; a pod tem wszystkim ukrywała się pustka, przerażająca pustka, zapełniona jedynie próżnością, miłością własną i kaprysem.

Lecz czyż taki człowiek jak Grodek mógł się tego domyśleć? Iluż to ludzi łapie się na takie jedwabne sidła, pomimo nawet doświadczenia?

Grodek przecie walczył ze swym zachwytem, przecierał olśnione oczy, jak człowiek, którego sen gwałtowny morzy, a który pragnie widzieć jasno. Przywoływał na pomoc wszystkie dawniejsze zasady i przekonania, całą obszerną teorię, która znikła za dotknięciem praktycznego życia, jak znikła puch z cykoryi za

podmuchem wiatru. Niestety! on — tak trzeźwy i silny wśród dymu fabrycznego—dostawał zawrotu głowy w wonnej atmosferze salonu; on, dla którego łoskot młotów i warczenie machin nie miały ogluszającej siły i nie mąciły ani na chwilę jasności jego myśli, na głos zalotnego dziewczęcia drżał tajemnie i czuł się bezbronny jak dziecko.

A ona?—Ona zdawała się przeczuwać co się w nim działo.. Lubiła jego rozmowę i nie uchylała oczu przed jego spojrzeniem, —nawet niekiedy uśmiechała się tak mile, jakby go kochała nawzajem...

Czy tak było? — Któż to może wiedzieć? Kazimierz starał się osłabić w przyjacielu rosnące z każdą chwilą uczucie,—perswadował mu, że daje się pociągać zanadto pozorom, blichтром.

Na to odpowiadał Grodek:

— Gdyby nawet tak było, jak mówisz, gdyby kłamały jej oczy i usta i głos, to przecież trudno ją o to winić; trudno zaręczyć, że na dnie tej próżności i pustki nie leżą ziarna uczuć zdrowych i szczerych, chęci dobrych, szlachetnych, które ja potrafię rozbudzić, rozwinąć, do życia powołać?

Kazimierz ustępował, bo nie było nic na to do powiedzenia bo Grodek miał słuszność.

Czegoż prawdziwe przywiązanie nie zrobi z kobiety? i czyliż podobna obliczyć z góry skutki gorącego i rozumnego wpływu?

Marszałkowa poznała łatwo wrażenie, jakie Malwina zrobiła na Grodku; a jakkolwiek nie odpowiadało to w zupełności jej nadziejom i życzeniom, przecież rada była, że choć na jednego można liczyć na pewne. Środkowski, który zwracał ku sobie najczulsze wejrzenie skłopotanej matki, był już stanowczo straconym. Mówiono głośno o zabiegach, jakie miał robić o rękę hrabianki Izabelli, siostry Karola, a które doprowadzał już podobno do skutku. Hrabia ojciec był mu stanowczo przychylnym i w spółce z nim już przystąpił do jakiejś spekulacji na wielką skalę; tylko sama hrabianka stawiać miała opór.

Więść ta budziła powszechne zajęcie; i teraz śledziły ich ciekawo oczy, rade się dowiedzieć prawdy, troskliwie ukrytej pod

maską konwencyonalnych stosunków. Środkowski asystował hrabiance, nie odstępując od niej prawie na krok, a ona traktowała go obojętnie i zimno, co nie uszło powszechnej uwagi.

Była to osoba lat dwudziestu kilku, słuszna, sztywna nieco, brunetka,—niezbyt piękna, ale też i nie brzydka; słowem—ten rodzaj urody, na określenie którego francuzi używają nazwiska *bel-le femme*.

Hrabianka miała piękny posag, tytuł i wykwintne, jak mówiono, wykształcenie. Większą część życia przepędziła w Paryżu; wychowała się w klasztorze, bywała w najpierwszych salonach. Ale to wszystko nie tłumaczyło bynajmniej w oczach interesujących się jej losem—niechęci dla Środkowskiego. Wiedziano, że posiadał on wielki majątek, tytuł zaś właściciela dóbr rodziny Wapowskich wystarczał najzupełniej do zastąpienia innych i wynagradzał niezbyt dźwięczne nazwisko. Dodając do tego młodość, powierzchowność przywoitą, wykształcenie odpowiednie, a przytem opinię gienialnej przedsiębiorczości i niepospolitego zmysłu spekulacyi, nie pojmowano, jak mogła przekwitająca już nieco hrabianka Izabella niechętnie przyjmować jego zaloty.

Wprawdzie puścił ktoś wiadomość, jakoby wyszłą z ust staro Środkowskiego, o odmowie jaka spotkać miała tego konkurenta ze strony panny Wapowskiej; ale temu nikt nie uwierzył.

Oprócz układającego się małżeństwa hrabianki Izabelli i znajomego nam nieco pana Franciszka, inna jeszcze para zwracała ku sobie uwagę powszechną. Hrabianka M. jak wiemy zaręczoną już była z synem znanego bankiera Goldhabera — Henrykiem. Młody brat jego Alfons kręcił się cokolwiek około marszałkówien, ale na to nie zwracano jeszcze uwagi, zwłaszcza, że należały one do rzędu tych panien, którym cała młodzież pali ofiary, ale nikt żenić się nie odważa. Dawne stosunki i starania ojca, który bądź co bądź usiłował je otoczyć pozorami dostatku, otwierali przed nimi wszystkie drzwi, ale nie—wszystkie serca.

Wszelkiemi możliwemi kombinacyami stosunków zajmowały się oczywiście starsze damy, i tym bal dzisiejszy nastęrczał mnóstwo nowych przedmiotów. Ze zaś młodsze pokolenie bawiło

się wybornie, panowało na sali ogólne zadowolenie i ta atmosfera wesołości, która niezawsze, a nawet rzadko kiedy przenika w sfery salonowe.

Że jednak wszędzie muszą być jacyś malkontenci lub tetrycy nie poddający się ogólnej wesołości, tak i tu bez nich się nie obeszło.

Tych reprezentował tym razem Tadeusz Wapowski.

Starął się on nadaremnie namówić siostrę do wybrania się z nim na maskaradę; w tym jedynie celu i sam iść zamierzał. Zonia oparła się stanowczo. Wydatek taki, choćby najmniejszy, wydawał się jej grzechem, a przytem Sędzina zostałaby bądź co bądź w domu, a przywiązana córka nie chciała używać przyjemności bez podziału z matką. Nie chcąc jednakże wybrać się sama, zmusiła prawie brata, aby poszedł. Wytłómaczyła mu, że jako artyście, rzeźbiarzowi, potrzebne mu są niezbędnie widowiska i rozrywki tego rodzaju; że zresztą bal dla mężczyzny połączony jest z tak małym zachodem, że go nic zatrzymywać nie może; wreszcie prosiła go o to koniecznie, aby poszedł.

Sędzina nalegała również, rotmistrz zdanie ich podzielał — nie było więc rady, Tadeusz wybrał się na bal.

Ale zabrał z sobą zwykłe swe usposobienie. Nawet wrzawa balowa rozdrażniała go jeszcze więcej — usunął się więc, jak mógł najdalej i oparty o framugę okna, patrzył z daleka na śmiejące się tłumy i — wzdychał.

Nikt go nie zaczepił: śnać wszyscy zajęci byli sobą, a widok smutnej twarzy razi wesołych. Twarz zaś miał Tadeusz odkrytą; zdjął maskę, która mu dziwnie dolegała i trzymał ją w ręku, dając się tym sposobem poznać wielu osobom, które go znały jako artystę. Wiedziano, że jest zazwyczaj smutny i milczący — dano mu pokój.

Zabawa była właśnie w chwili największego rozwoju, kiedy naraz zbliżyły się do niego dwie maski kobiece, którym nieznacznie i zdaleka towarzyszył mężczyzna słuszny, majestatycznej postawy, jak zdawało się, obcy całemu towarzystwu.

Tajemnicze damy ubrane były jednakowo: miały na sobie czarne domina bez żadnych ozdób, tak szczerlnie zakrywające ich twarz i figurę, że ani o wieku, ani o układzie, a tem bardziej o piękności nie można było mieć żadnego wyobrażenia.

Widząc, że wyraźnie zbliżają się do niego, Tadeusz przywdział maskę i chciał uniknąć spotkania, ale to mu się nie udało.

— Za pozwoleniem! nie uciekaj od nas, bajronisto, — przemówiła jedna z tych dam, po francuzku. Głos był dźwięczny i miły, ale zupełnie nieznany Tadeuszowi.

— Czemże zasłużyłem na to nazwisko? zapytał, zmuszając się do uśmiechu.

— Nie przyjmujesz wcale udziału w ogólnej zabawie, patrzysz na nas z ironią, czy politowaniem — przecież to nam daje dostateczne prawo odpłacenia się w ten sposób? Ale, pozwól zapytać, — ten smutek i ta obojętność — jestże maską przybraną?

— Bynajmniej — zbyt mi ciążyła jedna, abym potrzebował wkładać jeszcze drugą.

— Przecież się nie godzi patrzeć na taką jak dziś zabawę, jakby na tragedya!

— Tak, — ale wolno uważać ją za nieciekawą komedya.

— Dla czego nieciekawą?

— Z najprostszej przyczyny. Tajemnica — ów najważniejszy warunek maskaradowej intrygi jest tu prawdziwym *secret de comedie*, — wszyscy się najwyborniej znają i poznają...

— Bez wyjątków?

— Nie wiem.

— Więc powiedz co o nas, artysto? Jesteśmy niezmiernie ciekawe.

— Tegom się domyślił. Inaczej nie zostałbym zaszczycony uwagą.

— Ale przecie coś więcej jeszcze — słuchamy?

— Za trudne dla mnie zadanie. Naprawdę — ciekawość w tym wypadku źle się skierowała.

— Ha! w takim razie, aby się pocieszyć po doznanym zawodzie, konfiskujemy cię, artysto, — musisz nam towarzyszyć.

— Uprzedzam z góry, że nie zasługuję na to.

— To się da widzieć. Dołożymy starań, aby zaskarbić sobie twoją — ciekawość.

— Poddaję się cierpliwie eksperymentowi.

— Jeżeli cierpliwość jest twoją cnotą, pozwól, bym ci powiedziała pewną balladę.

— Rodzaj — wyszły już z mody.

— Tak, zapewne — ale — nie wyprzedzajmy rzeczy.

Towarzyszka mówiącej nie odzywała się ani pół słowem, ale jej błyszczące oczy, których wyrazu ani oprawy niepodobna było dojrzeć, patrzyły ciągle na Tadeusza.

On tego nie uważał, niechętny tajemniczym maskom, które zmuszały go do rozmowy i uśmiechu.

— Ballada moja zaczyna się w ruinach... — nieprawdaż, że to romantycznie?

— Nie przeczę.

— W dodatku — przy świetle księżyca.

— Jeszcze lepiej.

— Tak jest, — światło księżyca oświecało ruiny olbrzymiego Colosseum, gdy się zawiązał początek mojego opowiadania. Było ich dwoje... naturalnie — on i ona. On dumal, ona zeszła go w chwili dumania — i spotkały się ich wejrzenia — i poczuli, że nie zapomną już o sobie nigdy...

Tadeusz zaczął słuchać uważnie.

— Zaciekawia cię, artysto, początek?

— Słucham dalej.

— Oprócz dwojga młodych — był tam jeszcze ktoś trzeci. Trzeci — przeszkadzać może rozmowie słów — nie rozmowie spojrzeń. Rozmawiali więc z sobą i — rozeszli się, jakby się znali od dawna.

Ale — może to nudna ballada?

— O! przeciwnie! — słucham z zajęciem.

— I spotkali się z sobą raz drugi. Było to w kościele

Świętego Piotra. Spotkanie to trwało chwilę, ale uśmiechnęli się sobie nawzajem spojrzzeniami i przyrzekli pamiętać o sobie... Dotychczas wszystko dobrze, ale — oto katastrofa się zbliża. Spotkali się raz trzeci — a było to w Watykanie, w łóżach Kafała. Tym razem przemówili do siebie. Okazało się, że on — był artystą — a ona marzycielką i fanatyczką sztuki. Zbliżył ich opiekuńcze muzy...

Tadeusz ożywił się coraz więcej.

— Ale może ja nudzę mem opowiadaniem?

— Bynajmniej! bynajmniej, — przeciwnie.

— Tu następuje zmiana krajobrazu. Oni udali się dna brzegi jeziora Como — on pozostał w stolicy Cezarów. Pozostał — ale nie na długo. Podążył za nimi. Spotkali się znowu wśród arcydzieł natury; upajali się błękitami nieba i jeziora, wonią kwitnących pomarańcz, szmerem oliwnych lasów — i sąsiedztwem swoim. Zbliżyli się i poznali nawzajem. Dusze ich stroiły się do jednego tonu; i zaczęła się urocza harmonia natury i serc ludzkich, harmonia, która miała trwać w nieskończoność. Widywali się z sobą często i wiedzieli o jej istnieniu, choć ani razu nie powiedzieli sobie tego, co czuli, nie tworzyli głośno marzeń przyszłości, czemu zresztą obecność osoby trzeciej stała na przeszkodzie.

Naraz — harmonia się zerwała. On znikł, odjechał daleko, odjechał nie mówiąc o tem ani słowa, nie tłumacząc się z powodów, nie dając nadziei powrotu. Czy go pochwalisz, artysto?

Tadeusz milczał, lecz blady był i drżący, i nie wiedział co się z nim dzieje, bo historia mu opowiadana prawdziwą była co do słowa.

— On uciekł, ale ona o nim nie zapomniała...

— Nie! to być nie może! zawołał Tadeusz, zapominając na chwilę gdzie jest i co go otacza. Zkąd wiesz pani o tem? Kto jesteś? Ja ciebie nie znam!

Maski nagłym zwrotem zmięszwały się z tłumem i znikły.

Tadeusz gonił za nimi, jak szalony przebiegał się przez ście-

śnione szeregi dam i mężczyzn, — śledził wzrokiem tajemnicze domina, które się przed nim kryły i dopędził je u drzwi sali.

Wtedy ta sama, która prowadziła z nim rozmowę, porwała go za rękę i szepnęła:

— Zostań pan — nie idź za nami.

Tadeusz uczuł w dłoni zwitek papieru. Ścisnął go konwulsyjnym ruchem, dostał się szybko do sieni, porwał na siebie futro i wybiegł na ulicę. Zatrzymawszy się przy pierwszej latarni, spojrzął na trzymaną w ręku kartkę. Stały na niej te słowa:

Mieszkamy w hotelu Europejskim. — Jutro—o południu.

Amelia Stafford.

— Ona! — krzyknął Tadeusz, aż kilku przechodzących odwróciło się i spojrzało ze zdziwieniem. Po cóż na ten bal dałem się namówić!...

Narzekał, a lzy radości i szczęścia splywały mu po twarzy, a serce biło gwałtownie, jakby pierś mu chciało rozerwać.

— Nie! to być nie może! — wołał — to sen! to złuda!

I znowu stawał przy latarni, czytając otrzymaną kartkę i oczom swoim nie wierzył.

IX.

W oknie hotelowego pokoju stała młoda kobieta. Słuszna wysmukła blondynka — oczy miała ciemne, pełne tęsknego wyrazu, twarz alabastrowo białą, którą krasił chwilami rumieniec wewnętrzznego niepokoju i wzruszenia.

Wzrok jej błędził w ulicy, to znowu podnosił się ku wieży pobliskiego kościoła, na której wielki zegar wskazywał zbliżające się południe.

Na szezlongu leżała w eleganckim szlafrocuku młoda również szatynka, żywego wyrazu twarzy, rysów nieprawidłowych, lecz składających się na sympatyczną całość.

Udając, że czyta książkę, co chwila zwracała oczy w stronę swej zadumanej towarzyszki i uśmiechała się figlarnie.

W końcu parsknęła pustym, dźwięcznym śmiechem.

Blondynka spojrzała na nią z wyrzutem.

— Czego się śmiejesz, Rozyno?—zapytała po francuzku z tym odrębnym akcentem, który zdradzał w niej cudzoziemkę.

— Jakże się nie mam śmiać, odrzekła śmiejąc się paryżanka, kiedy widzę, jak pilnie studujesz fizyognomią tego zegara, któremu zapewne nikt jeszcze od początku jego istnienia tak natarczywie się nie przypatrywał.

— Że też ciebie się zawsze żarty trzymają...

— A ciebie melancholia. — Ha! trudno, każda z nas nosi na sobie piętno swojego klimatu. Ja nie znam co to *spleen*, ty nie pojmujesz mojej wiecznej wesołości.. Ale — moja droga Amelio, ilekroć sobie przypomnę wczorajszą naszą intrygę — pusty mnie śmiech porywa. Jak on pocieszenie wyglądał! jak sobie przymus musiał zadać, żeby ze mną mówić — a jak potem zmieniał się w miarę owej strasznej balady?

— Nigdy nie był dla mnie piękniejszym! Wyrzucałam sobie tylko, żeśmy go zwiodły. Naprawdę, nie godziło się żartować w ten sposób.

— No, no, no — masz nowe wyrzuty i żale! Przecież go tak prędko puściłam! O! gdyby nie ty — musiałby się długo pomęczyć, nimbym mu powiedziała to wszystko. Naprawdę, miałam nawet wielką ochotę... Ale — powiedz mi nakoniec, przyznaj się, czyście sobie kiedy wyznali miłość? Widząc jego zachowanie się na wczorajszym balu, pomyślałam sobie, że jest szalenie zakochany. Nie mogę zaś przypuścić, aby mężczyzna dojrzały mógł się tak kochać bez jakiejś nadziei, bez wiary we wzajemność, bez widoków na przyszłość. Musi wiedzieć, że go kochasz?

— A czyż to poznać trudno? Nie powiedzieliśmy sobie tego nigdy słowami, ale na to słów nie trzeba. Co zaś do przyszłości — to jakież mogły być zamiary, kiedy rozstaliśmy się

nawet bez pożegnania. Wyjechał przecież, nic nam o tem nie mówiąc.

— Rozumiem go! chciał uniknąć przykrości żegnania się bez nadziei, a wyjeżdzać musiał, nie mogąc zapanować nad swem sercem. O! ambicya grała w tem niemałą rolę. Poznać polaka!

Amelia westchnęła.

— Cóż jednak poczniesz, jeżeli ochłonawszy z wczorajszego wzruszenia, przedstawi ci się obojętnym i zimnym!

— W takim razie, żywo odrzekła Amelia—sama mu powiem, że go kocham! powiem mu, że żyć bez niego nie mogę!

— O! to najgorzej! Mężczyźnie nigdy nie trzeba wierzyć zanadto, a przedewszystkiem nie okazywać całej miłości. To ich psuje. Wreszcie oświadczenie się z uczuciem nam ubliża!

— O! mnie to chyba tylko pochlebić może! Nie wstydziałabym się wyznać przed całym światem, że kocham Tadeusza. Wiesz przecie, że dla tej miłości dużo już przecierpiała — gotową jestem poświęcić więcej jeszcze...

W tej chwili bić zaczęła dwunasta.

Amelia ręką cisnęła serce.

— Odwagi! odwagi!—szepnęła Rozyna, całując przyjaciółkę. Widzę, że rady moje idą wniwecz, ale panowanie nad sobą nigdy nie zaszkodzi.

— Widzę go! — szepnęła radośnie Amelia — nadchodzi!

— Chwałę go za grzeczność — przynajmniej nie każe na siebie czekać. Zostawię was samych — na opiece Opatrzności.

I wybiegła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Amelia przeszła się parę razy wzdłuż pokoju, chcąc ochłonąć ze wzruszenia i zapanować nad niem.

Zapukano do drzwi — wszedł Tadeusz Wapowski.

W tej samej chwili do salonu hrabiego Ernesta, ojca znajomych nam Karola i Izabelli, wchodził Franciszek Środkowski. W salonie nie było nikogo, ale po chwili uchyliła się portyera i hrabianka weszła, witając konkurenta obojętnem skinieniem głowy.

Środkowski skłonił się z uszanowaniem i usiedli mierząc się nawzajem wzrokiem.

Pierwszy przemówił Środkowski.

— Raczyłaś mi pani pozwolić, abym przyszedł w tej porze dla wysłuchania wyroku, jaki na mnie zapadł w jej chęciach, opinii i postanowieniach...

— Nieinaczej, — chciałam pomówić z panem otwarcie, gdyż tylko tym sposobem możemy się nawzajem porozumieć.

— Pragnę tego porozumienia i raz jeszcze dziękuję pani za audyencyą.

— Przed miesiącem prosiłeś pan ojca mego o pozwolenie starania się o moją rękę.

— Tak, pani.

— Na zapytanie ojca odrzekłam, że staranie pana będzie daremne i prosiłam go, aby to panu powtórzył. Czy tak się stało?

— Nieinaczej. Zresztą hrabia nie ma dla mnie tajemnic, i wiedziałem z góry o niechęci pani.

— To panu nie przeszkodziło ubiegać się o zyskanie mojej przychylności, a używałeś pan do tego i wpływów swoich na ojca, którego przywykłam szanować i kochać.

— Tak pani, nie widziałem w tem nic złego.

— I ja też nie widziałabym także, gdyby nie to, że jako istota dojrzała, nie dziecko, mogłam wymagać, aby ten, co się o mnie stara, do mnie się samej odnosił, nie posługując się względami innych osób.

— Pani nie raczyłaś mi być przychylną.

— Najlepszy to był dowód, że nie pragnęłam zostać małżonką pana i być przedmiotem jego starań. Pomimo to oświadczyłeś mi się pan trzy razy.

— I trzy razy usłyszałem odmowę.

— Czy to nie wyjaśniło mu jeszcze dostatecznie moich usposobień?

— Daruję pani, ale nie zwykłem cofać się prędko przed przeszkodami.

— Uwzględniam pańską stałość, choć jej cenić mogę. Pragniesz więc po raz czwarty ponowić swe oświadczenie ?

— Tak pani. Hrabia mnie upewnił, że mieć mogę nadzieję.

— W samej rzeczy, postanowiłam ustąpić naleganiu mego ojca. Wprzód jednak czułam się w obowiązku rozmówić się z panem otwarcie.

— Służę pani.

— Ja pana nie kocham i kochać nie będę.

— Pozwoli pani, bym zauważył, że zadaniem mem będzie zyskać sobie jej względy.

— Upewniam pana, że zadanie to jest niewykonalnem. Ja kocham kogo innego. Czy wiadomość ta nie odmieni pańskiego postanowienia ?

— Bynajmniej.

— Kochając innego, mogę dla pana żywić jedynie niechęć i odrazę. Uczuć tych nie stracę zostawszy jego żoną. Czy to pana nie zraża ?

— Nie, pani.

— Człowiek, który serce moje pozyskał zbyt mi jest droгим, abym się miała kiedykolwiek wyrzec jego towarzystwa i widoku. Nie pozbędę się ich, zostawszy żoną pańską — przyjmujesz pan ten warunek ?

— Przyjmuję. Czy to wszystko ?

— Nie, panie. Oddając rękę moją panu, robię to wbrew chęci i woli własnej, jako ustępstwo widokom ojca. W takich warunkach nie może być mowy o rzeczywistem małżeństwie. Będę żoną pańską dla ludzi, lecz nie wobec pana. Ceremonia kościelna w niczem nie wpłynie na zmianę naszych dotychczasowych stosunków. Zastrzegam to sobie z góry i pod tym jedy nie warunkiem przystanę na oddanie panu mojej ręki. Masz pan co przeciwko temu ?

— Nie, pani.

— I mogę liczyć na uczciwość jego o tyle, że o warunkach tych nigdy nie zapomnisz i usunięcia ich żądać nie będziesz ?

— Możesz pani liczyć najzupełniej. Z mojej strony istnieje

jeden tylko w takim razie warunek. Czy pani pozwoli go wyawiać?

— Owszem, proszę.

— Będąc żoną moją w oczach ludzi, zechce pani pełnić jej obowiązki, o ile odnoszą się one do reprezentowania domu, do roli gospodyni i towarzyski. Mogę panią upewnić, że z mojej strony potrafię zachować wszelkie względy grzeczności i delikatności, aby osobą moją jak najmniej się pani naprzykrzać.

— Przyjmuję ten warunek z zastrzeżeniem, że w chwili, w której pan pomyślałbyś o zamianie warunków moich, ja pański odrzucę najbardziej stanowczo.

— Zgoda. A zatem mamże prawo uważać się za narzeczonego pani?

— Jesteś pan nim, — odrzekła sucho Izabella powstając i podała mu rękę.

Środkowski złożył na niej ceremonialny pocałunek, skłonił się raz jeszcze z uszanowaniem i wyszedł.

W niedalekiej cukierni czekał nań jego ojciec.

— I cóż? zawołał, zrywając się od stolika, na którym leżały gazety. Cóż? powinszować?

— Jak się ojcu podoba.

— No, to wiwat! Daj, niech cię uściskam.

I serdeczny kordyalny uścisk rozległ się szeroko, aż chłopak niosący czekoladę na tacy, wywrócił i oblał nią któregoś gościa.

— Panie kochany! — macie szampańskie? — wołał stary do stojącego za ladą cukiernika.

— Mamy— jakie się Wielmożnemu Panu podoba: Carte blanche, carte rouge, Roederer...

— Buteleczkę najlepszego! — tylko zaraz!

Szampańskie zjawiło się natychmiast, a stary Środkowski, wychyliwszy jeden kieliszek za zdrowie syna i hrabianki — przyszłej synowej, szepnął mu na ucho.

— Obym jak najprędzej mógł się upić na chrzcinach.
Franciszek się skrzywił.

— Wcale mi nie chodzi o nieśmiertelność rodu Środzkowskich.

Ojciec nie słyszał tego bluźnierstwa.

— Wiesz co, — ile razy wspomnę o Wapowskich, ostatnie złości mnie porywają! No — ale przecież teraz będą mieli po nosie! Hrabianka Izabella, Mości Dobrodzieju — to rzecz! Dwakroć posagu! — Panie kochany! jeszcze jedną buteleczkę!...

Podczas kiedy stary Środzkowski cieszył się myślą, że Wapowscy będą mieli *po nosie*, Tadeusz Wapowski powracał z hotelu wzruszony i szczęśliwy. Z własnych ust Amelii dowiedział się, że go kocha, że żyć bez niego nie może, że ojciec ulegając jej prośbom i widokowi ciągłych cierpień i tęsknoty sam ją postanowił zbliżyć do przedmiotu jej miłości i pragnie ich połączenia. Lord Stafford miał złożyć wizytę Tadeuszowi, aby z nim sam na sam o tem pomówić.

A Tadeuszowi przez myśl nawet nie przechodziło, że Amelia była jedyną córką milionowego ojca — kochał ją i upajał się jej wzajemnością.

X.

Życie ludzkie podobne jest do wątlej łodzi rzuconej na wzburzone fale bezgranicznego oceanu. Wobec ogromu i potęgi otaczających nas żywiołów, wobec przerażających ich walk i burz, wobec przekonania o własnej nicości w ogromie wszechświata — słabemu żeglarzowi zabrakłoby z pewnością siły i odwagi, zabrakłoby nawet przytomności, gdyby nie wewnętrzny świat jego ducha, równoważący presję zewnętrzną.

Podobnie, jak niezliczone pokłady sfer powietrznych zgniotyłyby nas na miazgę, gdyby nie przeciwdziałająca siła w piersi naszej zawartego powietrza, gdyby nie działalność nieustanna, płuc naszych — tak nie zdołalibyśmy się oprzeć naciskowi materialnemu, któryby nas do ostatecznej doprowadził zguby, gdyby nie poczucie własnej indywidualności, które nas żywi, utrzymuje i daje rację bytu.

Jedyną kotwicą w żegludze życia jest właśnie ta sfera na-

szego wewnętrznego świata, która nam daje cel wędrówki, nadzieję dojścia do celu i wreszcie nadzieję osobistego szczęścia.

Dążenie do szczęścia jest naszym prawem wrodzonym; zrosło się ono z naturą naszą i — szlachetnie pojęte — staje się bodźcem rozwoju, postępu, doskonalenia się. Wyobrażenie o szczęściu zmienia się w nas i przeistacza nieustannie, ale trwa zawsze, nawet wtedy, gdy wymarzone to szczęście przejdzie w krainę wspomnień, lub w krainę niepodobieństwa.

Żyjemy niem zawsze i bez wyjątku, choć jeden marzą o szczęściu swem w przyszłości, drugi widzi je poza sobą we wspomnieniu, a trzeci—nad sobą tak wysoko, że nigdy go dosięgnąć nie ma nadziei.

Że jednak świat nasz wewnętrzny nie ogranicza się jedynie nadzieją i dążeniem do osobistego szczęścia, a zawiera w sobie nadto poczucie celu istnienia, dążenie do niego i cały szereg wynikających ztąd obowiązków, przeto nawet ten, który stracił nadzieję własnego szczęścia, jeżeli tylko nie jest moralnie upośledzonym, żyje i działa i walczy dalej, bo wie, że życie jest walką. Ale tej walce i temu życiu nie przyświeca już promień radosnej otuchy, nie pieści serca rozkoszne marzenie, bo ilekroć myśl zabłądzi w jego krainy, czyta ten smutny napis: *tu nie ma nadziei!*

Takie było od dwóch lat życie Tadeusza. Miłość, która ogarnęła całą jego istotę, stała się słodkiem marzeniem o niedosięgniętym szczęściu, marzeniem, z którym walczyć zdawało mu się obowiązkiem, a które ostatecznie zwalczyć i przytłumić—stało się jego celem.

Czuł on ważność ciężących na nim obowiązków. Polepszenie bytu rodziny, zapewnienie wygód matce, dziadkowi, opieka nad siostrą — oto były jego zadania, którym powinien zupełnie się poświęcić. Z drugiej strony — nieśmiertelna kochanka jego — sztuka, udzielała mu tych nieprzebranych pociech duchowych, za które płaci się jedynie gorącą i wierną miłością.

Wobec tych dwóch przedmiotów umiłowania i poświęce-

nia — czyliż mu było wolno marzyć o trzecim, tak dalekim i nigdy nie osiągniętym?

To też walczył ze swem sercem, chciał stłumić jego żale, i walka ta nadała mu właśnie ów charakter smutku i tęsknoty, którego nie mogła pojąć matka, nad którym ubolewała Zonia, który wreszcie odgadł i zrozumiał Rotmistrz.

Nagła zmiana rzeczy—zbliżenie się wymarzonego ideału, owo dealne szczęście, które przyszło, stanęło przed nim w realnej postaci i powiedziało: masz mnie -- twojem jestem! To wszystko wstrząsnęło całą naturę Tadeusza, uderzyło w najskrytsze struny jego uczuć.

To, co miał za niepodobieństwo, stało się prawdą; to, o czem marzyć nie śmiał, stało się faktem; zaklęta księżniczka z bajki ocknęła się, przyszła do niego i powiedziała: tyś mój!

Za dużo było naraz wrażeń, za wiele niespodziewanego szczęścia, aby młody człowiek mógł zebrać myśli i zrozumieć rzeczywistość samą.

A nie mogąc sobie zdać sprawy z tego co się stało, nie mógł tembardziej zwierzyć się nikomu.

Poznał Rotmistrz, że zaszła jakaś zmiana w usposobieniu Tadeusza; ale co było jej powodem? nie wiedział.

Sędzina, niespokojna o syna, modliła się gorąco o jego pomyślność. Zonia, instynktem niewieścim przeczuwając, że miłość przyczyną cierpień brata, cieszyła się i smuciła tem zarazem, a nikt nie śmiał uchylić tajemnicy; wszyscy, nie wyłączając Kazimierza, umieli ją uszanować.

Nazajutrz po wizycie Tadeusza w hotelu, o godzinie południowej lord Edward Stafford wszedł do jego pracowni.

Był to mężczyzna słuszny, niemłody, twarzy poważnej i pięknej, na której malował się spokój, rozum i spokojna, godnością nacechowana duma.

Wapowski przyjął gościa z uprzejmością pełną uszanowania, ale blady był i wzruszony, co nie uszło uwagi Anglika.

Kiedy usiedli, gość przemówił pierwszy, w języku angielskim.

— Przekonany jestem, że pana zdziwiło nasze niespodziewane przybycie do tego miasta.

— Tak jest, milordzie—odpowiedział Tadeusz w tym samym języku. Nie sądziłem, że będę miał jeszcze sposobność spotkania państwa.

— I ja też nie spodziewałem się tego, biorąc zwłaszcza miarę skwapliwości, z jaką odjechałeś pan, nie pożegnawszy się.

— Milordzie—znasz zapewne powody tego kroku.

— Znam je—i szanuję pana. Ale tej siły władania nad sobą, jaką my mężczyźni mieć możemy, nie można wymagać od kobiety, zwłaszcza tak gorącego jak córka moja usposobienia. Urodzona z matki francuzki otrzymała nieco odmienny od angielskiej temperament. Domyślasz się pan, że jej zawdzięczam bytność moją w tem miejscu.

Tadeusz skinął głową. Gość mówił dalej.

— Przez całe dwa lata, od czasu naszego pobytu we Włoszech, tęskniła ona ustawicznie i cierpiała. Cierpienie to okazało się nieuleczalnem; ani lekarze, ani zmiana miejsca, ani żadne użyte przezemnie środki, nic jej pomódz nie mogły. Widziałem jak traci zdrowie i siły; widziałem, że przywiązanie do pana było tego powodem. To mnie zdecydowało.

Przeszła chwila milczenia.

— Wszak należysz pan do rodziny znakomitej w twoim kraju? Jesteś potomkiem starej szlachty? Wszak się nie mylę?

— Tak, milordzie. Przodkowie moi zasiadali nieraz w senacie i walczyli w pierwszych szeregach.

— Jesteś katolikiem?

— Nie inaczej.

— Nie posiadasz pan żadnej majątności ziemskiej.

— Jesteśmy ubodzy, Milordzie—straciliśmy wszystko.

— Tem lepiej. Posłuchaj mnie pan. Wiem, że jesteś rozumnym, szlachetnym i uczciwym człowiekiem, a obecnie znakomitym artystą; jestem pewny, że zasługujesz na miłość mojej córki—to mnie zniewala do ustępstwa. Chciałem dziecię moje jedynę wydać za rodowitego Anglika—zgadzam się, abyś pan zo-

stał jej mężem. Mówiła mi, że ją kochasz, że się sam jej z tem oświadczyłeś — chcę to usłyszeć z ust pańskich.

— Milordziel uczuciu memu nie umiałem dotychczas nakazać milczenia—kocham całą siłą miłości, ale miłość ta zdolną była na zawsze pozostać w mej piersi. Jeżeli wyznałem ją, to tylko na wyraźne żądanie—nie umiem kłamać. Wiem jednak, czem jestem, i jaka między nami różnica. Jeżeli pan żądasz także otwartości mojej—zaręczam, że nie marzyłem nawet o otrzymaniu ręki istoty tak wysoko stojącej nademną, i teraz nie śmiem o tem myśleć.

— Pojmuję pana, ale sędzę, że zrozumiesz także uczucie ojca względem jedyne go dziecka. Chcę ją panu oddać, bo nie chcę jej stracić; ale mam moje warunki, od których odstąpić nie mogę.

Wapowski słuchał w milczeniu; serce w nim zamierało z niepewności i trwogi.

— Jestem—mówił dalej Anglik—ostatnim potomkiem mego rodu. Posiadam wielkie dobra, imię i znaczenie w mym kraju, których stracić nie mogę. Gdybym miał syna, przeszłoby to wszystko na niego; obecnie postanowiłem usynowić człowieka, któryby poślubił moją córkę i zlać na niego wszystkie posiadłości i zaszczyty mego rodu. Oddam więc Amelią panu, ale tylko pod następnymi warunkami:

Przyjmiesz moje nazwisko, — zamieszkaż w Anglii, a zostawszy obywatelem angielskim, będziesz się poczuwał jedynie doswoich, jako taki, obowiązków. Nie chcę odrywać pana od jego rodziny zupełnie, gdyż wiem, że to byłoby niepodobieństwem, a zresztą nic mi na tem nie zależy. Będziesz więc mógł odwiedzać ją, a nawet dopomagać jej, rozporządzając kapitałami swojemi według woli.

Ale — gdybyście mieli dzieci — dzieci te rodziny pańskie znać nie będą, ani nawet słyszeć o niej, aż do czasu dośnięcia do pełnoletności; chodzi mi bowiem o to, aby się miały za rodowitych anglików i — żeby nimi były w istocie. Wychowanie tych dzieci — to rzecz, która mnie najwięcej obchodzi. Nie po-

winny znać ani jednego wyrazu polskiego, nie poczuwać się do żadnej z polakami wspólności, mieć wszystkie przyzwyczajenia, zwyczaje, nawet nałogi właściwe anglikom. Jesteśmy katolikami — dzieci więc pańskie będą twojego wyznania.

Oto wszystko, co miałem do powiedzenia. Skoro pan przyjmiesz te warunki i dasz mi słowo honoru, że się do nich zastosujesz, oddam mu moją córkę, przeleję na niego, jak powiedziałem, wszystkie moje prawa i przywileje, i już ani śledzić a rzetelnem wypełnieniem zobowiązań, ani w jakibądź sposób obwarowywać się nie będę. Wystarczy mi zupełnie słowo pańskie, — ale słowa tego wymagam.

Zastrzegłem to z góry, że, decydując się na oddanie panu ręki mego dziecka, zrobiłem ustępstwo dla jej dobra. Domagała się tego, cierpiała, odrzucała kilka najświetniejszych partyj — kocha pana. Nie weźmiesz mi więc za złe, że mając warunki, od których nie odstąpię wyjawilem mu je od razu. Do pana należy wybór i — decyzja.

Tadeusz słuchał — w głowie mu się mąciło. Słyszał wszystko i rozumiał, ale rozstrojenie władz moralnych objawiło się na jego twarzy, zdradziło się w wejrzeniu — milczał i bladł.

— Jutro o trzy kwadranse na pierwszą po południu będę u pana, dodał anglik, powstając i podając rękę.

Rzucił okiem na marmurowe popiersie swej córki—i uśmiechnął się.

— Jestto arcydzieło sztuki! — przemówił tonem znawcy i amatora. Gdybyś pan miał to do odstąpienia, — dałbym mu dwa tysiące funtów...

Skłonił się zimno — i wyszedł.

Tadeusz stał i patrzył osłupiałem okiem na marmurowe popiersie Amelii. Wryty pod niem napis pochłonął całą jego duszę. Stało tam:

Lasciate ogni speranza...

XI.

Po odejściu anglika, Tadeusz przez dzień cały siedział zamknięty w swojej pracowni. Kiedy go proszono do obiadu, wy-mówił się pilną robotą, w skutek czego przyniesiono mu po-trawy, nie przerywając mniemanego zajęcia. Matka przekonała się potem, że nie tknął nawet jedzenia, westchnęła, zaniepokoiła się, ale według zwyczaju nie śmiała przerwać samotności syna.

Bywały chwile, w których Tadeusz ożywiał się i rozwese-lał, — wtedy sam, niewołany przychodził do matki, siadał u jej stóp; całował jej ręce i kolana z pieśczo-tą dziecka. Wtedy i Zonia, którą również czule kochał, oplatała szyję jego swemi ramionami, a on całował ją w usta, w czoło, w rączki i pieścił najtkliwszemi wyrazami.

Ale, skoro przychodziły nań chwile smutku; czy zadumy w których stronił od wszystkich, — nikt mu się wtedy nie na-rzucał, rozumiano, że należy go zostawić samemu sobie.

Nawet Rotmistrz nie zajrzał w tym dniu do wnuka, chociaż miał on widocznie wyjątkowe u niego prawa.

Gdyby kto niedyskretnie podpatrzył go w tym czasie, uj-rzałby zapewne siedzącego przed popiersiem Amelii i wpatrują-cego się z niemą boleścią i zachwytem w jej rysy. Często także zrywał się z krzesła, chodził szybkim krokiem po pokoju, lub brał książkę jaką i machinalnie przerzucał jej karty, szukając w niej rady czy pociechy... Trzy zwłaszcza dzieła były w ta-kich razach jego poradnikami: Biblia, Plutarch i Skarga; z tych trzech źródeł sływały nań uspokojenie i siła.

W tym dniu jednak źródła te zawiodły, — litery szykowały się bezładnie, gdy zaś siłą woli zmusił je do posłuszeństwa—nie rozumiał tego co czyta.

W ten sposób przeszedł dzień cały i noc się zbliżyła. Była to noc cicha, ciepła, prawie wiosenna. Księżyc wędrował po niebie, zaglądając bladym promieniem do wnętrza pokoju Tade-

usza. Postacie z marmuru i gipsu występowały z półcienia tajemnicze, poważne, milczące...

Piękna głowa Amelii, zwrócona twarzą do swego twórcy, patrzyła nań jakby żywemi oczami. Fantastyczne światło ożywiło marmurową białość, usta złożone do uśmiechu zdawały się otwierać i mówić.

— Pójdź do mnie! pójdź do mnie, kochanku mój, mężu mój, panie mój — jam twoja. Jestem jak lilia przejęta chłodem poranku, błyszcząca perłami łez, która czeka, aż słońko uśmiechnie się do niej, pocałowaniem lzy te wypije, ogrzeje pieśczołą miłością. Czysta jestem i niewinna, jak dziecię co na świat przychodzi — tłum mężczyzn przechodził koło mnie mówiąc: oto idea piękności wcielony — a ja nie rozumiałam ich słów, nie rozumiałam ich spojrzeń, choć czułam, że twarz mi płonęła wstydem i rada byłam ukryć się przed nimi. Dziś rozumiem co oni mówili, bo kocham cię... O tak! chcę być najpiękniejszą z dziewic, chcę posiadać wszystkie skarby wdzięków, chcę żebyś mnie kochał, jak ja kocham! Przyjdź do mnie kochanku mój, poeto, artysto — panie mój, — przyjdź, weź mnie — jam twoja. Niech skonam w objęciach twoich, niech tchnienie moje ostatnie przejdzie w pocałunek ust twoich! weź mnie!

Tadeusz ukrył twarz w dłonie, aby nie widzieć tych oczu i tych ust, tej marmurowej białości.

Wtedy duch jakiś pochylił się nad nim i szeptał mu do ucha!

— Złoto jest panem świata, złoto jest potęgą wieku, złoto jest źródłem rokoszy... Chciej — a będziesz bogatym jak nie był żaden z twych praojców. Wszystkie marzenia twoje zostaną wcielone, dzieci twej wyobraźni staną przed tobą wykute z najprzedniejszego marmuru, — przyjdą ludzie podziwiać je i będą bili ci czołem i obrzucać cię laurami, i imię twoje będzie sławne i wielkie. Skrzydła twego gieniuszu związane — trzeba im swobody, lotu, szerokich przestworzy.

Posiądziesz to wszystko! Ci których kochasz, a którymi dziś gardzi pierwszy lepszy spekulant, podniosą się znowu po

nad tłumy i tłumy klaniać się im będą. Kiedy matka twoja idzie ulicą — błoto z pod kół przejeżdżającego powozu bryzga bezkarnie na jej świewającą głowę. Siostra twoja — godna, by ją wszyscy podziwiali, — palce swoje kaleczy igłą, traci młodość i urodę oddana nędznej pracy dla kawałka chleba. Ty sam skazany jesteś na życie paryi, nie użyjesz młodości ani rozkoszy — zmarniejesz w zatargach z losem. Chciej — a będziesz miał wszystko: sławę, godności, zaszczyty. Jesteś wybranym z miliona, — szczęście uśmiecha ci się wszystkimi swemi skarbami, — korzystaj, — szaleństwem jest odrzucać to wszystko!

Tadeusz wstrząsł się jak ten co się broni natarczywym owadom. Nowy głos odezwał się w jego duszy.

Głos ten był głosem ojca Amelii:

— Zamieszkaż w Anglii — zapomnisz o własnym kraju, zostaniesz obywatelem i synem mojej ziemi. Dzieci twoje nie będą wiedziały nic o Polsce; nie wolno im znać twego języka, twojej rodziny, wszystko twoje ma być im obcem, ty sam obcym mu się staniesz.

Dziwne obrazy zaczęły mu się snuć przed oczami: — na szerokiej przestrzeni rozłożyły się wioski, lasy, wzgórza i rzeki. Wioski pełne chałup ze słomianemi strzechami, cienistych sadów wiśniowych, dzieci jasnowłosych igrających w piasku, tęsknych dum unoszących się w powietrzu, wierzb porosłych na cmentarzu, kościołków drewnianych, czerniałych ze starości, stawów porosłych szuwarem, bocianów strzegących gniazd ludzkich i swoich...

Lasy szumiały poważnie i smętnie, a szum ten był jakby mową żywą, a mowa ta znaną była i bliską serca. Rzeki płynęły wesoło i uroczyście, odbijając w sobie niebo szare, obłoczne, rozjaśnione promieniami słońca, ku któremu zwracały się szuwary nadbrzeżne, słoneczniki w zagrodach, ku któremu ułatywały skowronki w polu, orły w górach, do którego podnosiły się oczy wieśniaków, orzących ojczystą glebę..

Wszystko to snuło się w wyobraźni Tadeusza, jakby obrazy czarnoksiężkiej latarni, — a on milczał i ciche łzy płynęły mu z oczu.

Podniósł się spojrzął, -- księżyc posunął się dalej po swojej drodze, a promienia jego padały na łożko stojące przy ścianie, nad którem wisiał stary brązowy koncyfiks — pamiątka rodzinna, przechodząca z ojca na syna od najdawniejszych czasów. Krzyż ten patrzył na życie całych pokoleń, błogosławił ich pracom, pocieszał w smutkach, otwierał swoje ramiona konającym i stał u głów katafalków. Krzyż ten patrzył teraz na Tadeusza; Chrystus pochylał ku niemu głowę w cierniowej koronie i zdawał się mówić: pójdz do mnie!

Tadeusz usłuchał tego głosu—padł na kolana przed ojcem cierpiących i modlił się. Nie była to modlitwa słów — usta nie poruszały mu się wcale — tylko serce biło gorąco i westchnienia wydzierały z piersi.

Kiedy raz pierwszy podniósł się po tej modlitwie, słońce już było na niebie, a na ulicy gwar i turkot zwyczajny.

Przez noc więc całą nie zmrużył oka.

Przyniesiono mu śniadanie, ale nikt z rodziny nie zajrzał. Tadeusz nie tknął żadnego jadła, ale wydawał się już spokojniejszy i zdecydowany. Co chwila tylko spozierał na zegarek — czas upływał powoli.

Słyszał kolejno, jak na wieży kościoła biła dziewiąta, dziesiąta, jedenasta, dwunasta... Minęło jeszcze pół godziny... Tadeusz wciąż patrzył na zegarek. Wreszcie leniwa wskazówka posunęła się na trzy kwadransy na pierwszą.

W tej samej chwili odezwał się dzwonek i lord Stafford wszedł do pokoju. Jedno spojrzenie na Tadeusza wystarczyło mu za wszystko.

— Więc *me*? — zapytał zimno i poważnie.

— Nie mogę! — była odpowiedź.

— Żegnam pana, — przemówił gość i skłoniwszy się wyszedł z pokoju. Tadeusz stał jeszcze przez chwilę. Słyszał jak powoli nikły odgłosy kroków anglika, jak w końcu zamilkły zupełnie.

— Więc wszystko skończone... wyszeptał drżącym głosem.

Konwulsyjnym prawie ruchem schwytał młot leżący w ką-

cie, gwałtownie zbliżył się do marmurowego popiersia Amelii i z niezwykłą siłą — uderzył.

Marmur rozbity na części, upadł z hukiem na podłogę, ale w ślad za tem dał się słyszeć huk inny, na który przelekła Zonia wbiegła do pokoju.

Tadeusz leżał na ziemi zemdlony.

— Ratunku, zawołało przerażone dziewczę. — Rotmistrz i Sędzina klęczeli w jednej chwili nad Tadeuszem, cucąc go i podnosząc. Posłano natychmiast po doktora, gdy tymczasem rotmistrz uspokajał płaczące kobiety.

Wkrótce też Tadeusz odzyskał przytomność. Spojrzał na płaczącą matkę, uśmiechnął się po niej i usta przycisnął do jej ręki.

— Matko kochana, przebacz!...

Wzruszenie odebrało mu przytomność na nowo!...

XII

Karnawał przeminął, zostawiając po sobie pamięć wesółych zabaw i kilka zmian zaszyły w towarzystwach; mówiono wiele o hrabiance Izabelli, która nareszcie została narzeczoną Franciszka Środkowskiego, o bracie jej, Karolu, który wyjechał na czas dłuższy za granicę, wreszcie o mającym się odbyć w dniu Ś-go Józefa ślubie hrabianki M., z Henrykiem Goldhaberem. Złośliwi srarali się odgadnąć na kogo przyjdzie kolej asystowania Baronowej Julii, po wyjeździe hrabiego Karola, — ci, którzy się najlepiej bawili na wieczorach u Marszałka, powtarzali, że karnawał zjadł mu majątek, — nowiniarze biegali z wiadomością, że krzywy, ospowaty i jedno-oki Alfons Goldhaber, zaleca się do panny Malwiny, — słowem wszyscy żyli jeszcze wspomnieniami i kombinacjami, jakie nastęrczył czas karnawałowy.

Kilkodniowy pobyt lorda Stafforda, nie został też bez echa, zaczynając od Goldhabera, który jako bankier zostający w sto-

sunkach z handlowymi domami za granicą, znał lorda z opinji imienia, a kończąc na tych, którzy spotykali się z nim u wód, lub we Włoszech i znali go osobiście, wszyscy zaintrygowani byli bytnością anglika. Nie chodziło już o to, że przyjechał, gdyż nana ekscentryczność angielska wszystko tłumaczy— a wreszcie widziano nieraz gości z Albionu i oswojono się z nimi do pewnego stopnia, — ciekawość była w tem, że rzadki gość miał widocznie interes jakiś, który go sprowadził, że widziano go wychodzącego z mieszkania Wapowskich i Tadeusza Wapowskiego, składającego mu wizytę. Z kąd wyszły te wieści? Bóg to święty wiedzieć raczy, ale mówiono o tem powszechnie.

Naturalnie nie obeszło się bez komentarzy. Co on mógł zrobić u Wapowskiego? — chyba potrzebował jakiej rzeźby! — ale przecię niepodobna dać temu wiary, aby ktoś z Włoch do nas przyjeżdżał w tym celu. Zresztą Wapowski był rzeźbiarzem głośnym, ale nie tak sławnym, żeby aż rywalizować z artystami włoskimi.

Jakiś dowcipniś powiedział, że jeżeli panna Wapowska mogła odmówić Środkowskiemu, to lord Staflord mógł dla jednego z jej braci przywozić córkę, — powszechnie się cieszą tym żartem i powtarzano go sobie nawzajem, jako niezmiernie udały dowcip. Wapowscy nie cieszyli się sympatyą ogółu, choć ten ogół miejski, znał ich tylko z daleka. — Szydzono z ich trzeciego piętra, z warsztatu Rotmistrza, z zarobków Sędziny i Zoni, z fabryki Kazimierza, niektórzy ubolewali nieszczerze, inni wzruszali ramionami i może sam tylko Marszałek żałował ich naprawdę, i publicznie się z tem odzywał nie widząc tego, że sam był przedmiotem szyderstwa i politowania swoich słuchaczy.

I rzeczywiście ubolewania nad losem Wapowskich dziwnie wyglądać musiały w ustach człowieka, który sam był już banrutem, a nadrabiał miną, nie chcąc się z tem zdradzić. Biedny Marszałek był w rozpacz, widząc, że wszystkie jego nadzieje okładane na karnawale, zawiodły go najsmutniej, że żadna z córek nie miała konkurenta, że więc koniecznością było przyjąć

propozycją Goldhabera. Wprawdzie fakt zaręczyn jego syna z hrabianką M, o wiele łagodził przykrość tej konieczności, ale bądź co bądź, ambicya Marszałka, była podrażnioną — a i serce niespokojne. On kochał swoje dzieci, Malwina była jego ulubioną — a mógł widzieć, że Alfons Goldhaber wolnym jest obudzić w niej jedynie odrazę i wstręt.

— Biedne dziecko! mówił sobie ojciec, — jakież ją czeka poświęcenie!

W samej rzeczy, chociaż Alfons bywał w domu marszałka i uchodził za konkurenta, nikt nie mógł posądzić Malwinę o sympatyę jaką dla niego. Grodek, którego oburzała sama myśl, że taki potwór, jak Alfonsa nazywał, — śmie podnieść oczy na jego bóstwo, — widział, że panna nie tała się rzeczywiście z uczuciami odrazy i niechęci, i że nawet w miarę, jak Alfons stawał się częstszym gościem, okazywała coraz więcej dla niego — Grodka — sympatyj i przyjaźni. To go uszczęśliwiało i coraz z większą otuchą spoglądał w przeszłość.

Gdy się to dzieje, Tadeusz leżał ciężko chory. Była to jakaś choroba nerwowa, objawiająca się stanem gorączkowym i osłabieniem całego organizmu. Zrazu nie odstępowali prawie od jego łóżka — matka, rotmistrz i Zonia, doglądała go smutna Emilka, ale najwięcej mu się poświęcił Czerski. Korzystając z praw swoich jako krewny i prawie domowy — potrafił on wpłynąć na uspokojenie rodziny i uprosił wszystkich, że mu się zastąpić pozwolili. Rzeczywiście, sędzina zgnębiona chorobą syna i niepokojem, dobijała się prawie całonocnym czuwaniem. Zonia zmizerniała także i upadała z sił, — Rotmistrz, jakkolwiek najwytrzymalszy, nie mógł również bez wielkiego znużenia czuwać przy chorym. Wszyscy oni wreszcie, nadto byli przejęci smutnym i tajemniczym dla nich wypadkiem, aby mogli z zupełnie zimną krwią doglądać chorego, który bredził w gorączce, rzucał się i często płakał.

Szczególniej płacz mężczyzny wcale niepochoptego do łez — jest dla słuchających, trudną do zmienienia rzeczą.

Czerski pozostał więc sam jeden przy Tadeuszu, czuwając z wytrwałością nieporównaną i służąc mu z poświęceniem siostry miłosierdzia. Za poświęcenie to był on wynagrodzony wdzięcznością całej rodziny, szczególnie zaś Zoni.

Zdarzało się, że gdy Tadeusz był niespokojniejszym, przychodziła ona dowiadywać się o jego zdrowie i zostawała nieraz przy nim przez czas dłuższy. Czerski był jej przyjacielem — nie uważała go też inaczej. Rozmawiali z sobą swobodnie, z całą otwartością myśli i uczucia. On, żyjąc ustawicznie w świecie wiedzy i interesując się wszystkim, co tylko się działo na polu oświaty i postępu w kraju i zagranicą, służył za pośrednika między światem tym a młodą, myślącą istotą, która pomimo pracy zarobkowej znajdowała jeszcze chwile wolne do zajęcia się własnym wykształceniem. Ona nawzajem niewinnością swej duszy, ciepłem kochającego serca, wiarą i ufnością swoją ogrzewała go, podnosiła nad poziom mętów społecznych i życiowych, których każdy mężczyzna dotykać się prawie musi, gdyż spotyka się z nimi co chwila i — co krok. Tym sposobem, drogą wzajemnego oddziaływania na siebie, wzajemnego dopełniania się, powstała niezmacona niczem harmonia dwojga dusz młodych, harmonia, o jakiej tylko natury szlachetne i uczciwe mogą mieć wyobrażenie.

Harmonia tego rodzaju jest dziś nader rzadką rzeczą. Winne temu w części kobiety, ale daleko więcej winnymi są mężczyźni. Rzadko kto wierzy w możliwość takiego stosunku, zwłaszcza, jeżeli młodość i wdzięk są udziałem jednej strony; rzadko kto przypuszcza szczerłość i trwałość takiej przyjaźni—a najmniej może takich, którzy rozumieją jej wagę.

Takiego rozumienia brakuje młodzieży dzisiejszej, która, albo pojmuje towarzystwo kobiece jedynie w salonie, albo się ma za coś tak wyższego od umysłów niewieścich, że rozumie tylko możliwość mentorskiego ich traktowania, albo, co może najgorzej, przypuszcza je do równych praw jedynie tylko na podstawie zrzeczenia się wpieryw tego, co stanowi charakter i naturę

kobiecego umysłu i usposobienia. Dzisiejsi niedowarzeni pół-mędrkowie, niepowołani kierownicy społeczni przyczynili się już niejednokrotnie do wynaturzenia i spaczenia zdolności kobiecych, jakie się przypadkiem wpływom ich poddały. Karykatury tego rodzaju, wynikłe z nierozsądku i arogancyi mniemanych apostołów postępu, pojawiają się tu i ówdzie w życiu społecznem i towarzyskiem, przedstawiając smutny dowód tego, jak dalece zatraciła się uczciwa tradycja stosunków młodzieży płci obojga, mających na celu zrównoważenie i dopełnianie się na podstawie naturalnej różnicy uzdolnień i usposobień, oraz wzajemnego szacunku.

Zresztą fakt to, choć smutny, że nigdy mniej nie szanowaliśmy kobiet, jak dziś, gdy najwięcej walczymy o ich prawa.

Rotmistrz, dla którego Zonia była najukochańszą istotą, chlubą i pociechą, śledził bacznie okiem za postępem tego stosunku, jaki się zawiązał pomiędzy nią a Czerskim. Poznał też prędko, że młody uczonek zasługuje na bezwzględne zaufanie, a raz przyszedłszy do tego przekonania, cieszył się, że zbliżenie to nastąpiło, choć mu przez myśl nie przeszły żadne projekta na przyszłość.

Choroba Tadeusza trwała przeszło dwa tygodnie; w końcu nastąpiło przesilenie i powolny ale ciągły powrót do zdrowia. Gorączka opuściła go zupełnie, siły wracały, a co dziwniejsza, wrócił na usta Tadeusza dawny jego uśmiech, uśmiech, którego od czasu powrotu z Włoch nie widziała matka, albo widziała bardzo rzadko.

Teraz, jak gdyby chcąc podziękować swoim najdroższym za ich opiekę i miłość, oraz przeprosić za niepokój, spoglądał na każdego z osobna z pełnym wdzięczności uśmiechem, choć w samym tym uśmiechu był ślad świeżo przebytego cierpienia.

Ciężyła mu też widocznie tajemnica: czuł że za wszystko co dla niego zrobiono, powinien był odplacić przede wszystkim szczerością i raz zrzuciwszy z siebie wszelki ciężar przymusu, oddać się całemu sercem rodzinie.

Niedługo też zwlekał z wyjawieniem prawdy. Wspowiadał

się szczerze przed dziadkiem i matką, dodając, że odtąd w ich sercach i miłości całe swoje szczęście pokłada.

Matka tuliła do piersi głowę syna i oblewała ją gorącemi łzami. Rotmistrz, wysłuchawszy spowiedzi, otarł łzę, która mu się zakręciła w oku, wąsa pokręcił i rzekł:

— Tak musiał postąpić Wapowski.

XIII.

Czas upływał szybko. Nadszedł dzień S-go Józefa; miasto się ożywiło; ślub Henryka Goldhabera {z hrabianką M. zwracał powszechną uwagę. Opinia publiczna była zgorszoną trochę dojsciem do skutku tego małżeństwa, ze względu na krzyczący me-zalians ze strony panny. Nie było nikomu obcem pochodzenie pana młodego, o czym świadczyła nawet powierzchowność jego, mocno wschodniego typu.

Do rzędu najbardziej zgorszonych należał stary Srodkowski, który, od czasu jak syn jego został narzeczonym hrabianki, zachorował gwałtownie na pana. Szeroko rozprawiał o godności rodów, o obowiązkach względem przodków, o prawach krwi i tak dalej. Mowy te miewał zazwyczaj w miejscach publicznych: cukierniach, restauracjach, gdzie otaczało go grono słuchaczy rozmaitego rodzaju.

— Mości Dobrodzieju—przerwał mu ktoś—cóż to za me-zalians? Panna nie ma nic, a Goldhaber bogaty! To on mógłby lepszy zrobić interes,

—A fe! odpowiedział Srodkowski—nie godziło się, aby hrabianka wychodziła za żyda. Bo przecież, to zawsze żyd, choć bogaty jak Krezus. Zresztą co najgorsze, że jak pójdzie tak dalej, to zacząną jeszcze nasze panny wychodzić za szewców i kupców. Bankier, choć tam z żydów, to jeszcze pół biedy; ale gdyby córka

moja za kupca iść chciała, tobym ją Mości Dobrodzieju, na marach wolał widzieć! Nieprawdaż panie marszałku?—dodał, zwracając się do ojca Malwiny, który w tej chwili wszedł i słyszał ostatnie słowa.

— Prawda! święta prawda!—odrzekł zapytany, rad, że nie pętano stanowczo małżeństwa hrabianki.

Pomimo wszakże ogólnego zgorszenia, ślub odbył się w obec takiego natłoku świadków, a po ślubie tak niezliczona ilość najwykwintniejszych karet udała się do pałacu hrabiego, jak nie pamiętano jeszcze nigdy. Rzecz to o tyle była dziwniejszą, że hrabia sam nie miał zbyt szerokich stosunków, a większa część gości stanowiących śmietankę towarzystwa zaproszoną była przez bankiera i pospieszyła na jego wezwanie.

Państwo młodzi wprost po wystawnej niesłychanie kolacyi odprowadzeni zostali do dworca kolei, z kąd pośpiesznym pociągiem udali się na wojaż za granicę.

Wszystko się więc odbyło niezmiernie przyzwoicie i modnie. Podziwiano szczególnie wspaniały naszyjnik brylantowy panny młodej, ofiarowany jej przez narzeczonego w dzień ślubu. Brylanty te miały rzeczywiście blask cudowny, tak dalece, że olśnione nim damy i panny zazdrościły hrabiance szczęścia i jednogłośnie przyznały, że młody Goldhaber jest gentlemanem najczystszej krwi.

A jeżeli syn był gentlemanem, to ojciec był niewątpliwie dyplomatą niepospolitym. Nikt o tem nie wiedział, w jaki mianowicie sposób przyspieszył on małżeństwo i usunął przeszkody. Przeszkodą największą był hrabia Zygmunt, dziad panny, który w żaden sposób zgodzić się nie chciał i odmówił swego błogosławieństwa. Temu bankier przyznał się w sekrecie, że marszałek oddaje swoją córkę jego młodszemu synowi, a wieść powszechna to potwierdziła. Natenczas hrabia wzruszył ramionami i odezwał się do syna.

— Ha! jeżeli marszałek mógł się na to zdecydować, może to taka moda u was, może ja zdziwaczałem i nie mogę zrozumieć rzeczy! Róbcie sobie co chcecie; niech Anna idzie za kogo

się jej podoba. Przodkowie w grobach się przewrócą, ale ja umyвам ręce.

Swoją drogą nie zaniedbał Goldhaber imponować marszałkowi powinowactwem swem z hrabią, co także miało swój skutek.

Marszałek zdecydował się już na oddanie Malwiny Alfonsowi, uważał go za jej narzeczonego i upewniał bankiera, że jak tylko młodzi poznają się nawzajem, będą się mogły odbyć solenne zaręczyny. Bankier nie naglił, szczególnie po odbytych ślubie Henryka nic mu już na pośpiechu nie zależało; że zaś był w dobrym humorze i lubił traktować marszałka, jako już krewnego, pożyczył mu nawet niewielką sumę na rachunek przyszłości, wzięwszy od niego prostą kartkę z małym procentem.

To traktowanie i ta pewność jaką objawiał Goldhaber, drażniły i obrażały biednego ojca. Czuł marszałek, że jest w tem coś przykrego—coś, co go niepokoiło. Na dobitkę widział, że córka nie skłaniała się wcale ku Alfonsowi, czego jej mieć za złe nie mógł w żaden sposób, ale co mu więcej jeszcze sprawiało boleści.

W tych wszystkich zmartwieniach radby był marszałek szukać pociechy i rady u rotmistrza Wapowskiego, którego szanował i poważał; wiedział jednak, że jego rady byłyby trudnemi do przyjęcia, więc milczał. Odwiedzał wszakże Wapowskich, szczególnie podczas choroby Tadeusza, a każdym razem ubolewał nad trzeciem piętrem.

— Szanowny Rotmistrzu! Bóg świadkiem nie godzi się mieszkać tak wysoko, skoro się ma taką pannę na wydaniu, jak sędzianka. Dzisiejsza młodzież tak jest kapryśną, że ją trzecie piętro razi z pewnością.

— Marszałku kochany! odpowiedział rotmistrz—Zonia warta tego, żeby po nią nie tylko na trzecie piętro, ale i na dziesiąte chodzić. Takiej zaś młodzieży, która niema siły wejść na nasze schody, nie chcemy; z takiej nie będzie nigdy mężów. Kto ją pokocha i wziąć zechce, ten po nią przyjdzie, choćby najwyżej.

— Kiedyż bo ta młodzież dzisiejsza taka chciwa, taka zdemo-

realizowana! Gdzie posagu nie czuje — tam nie pójdzie. Biedne nasze dziewczęta! — trudno im wyjść za mąż!

— A to niech nie wychodzą! Stokroć im lepiej zestarzeć się w panieństwie, niż zmarnieć w nieszczęśliwym pożyciu ze złym mężem. Niedobraną związek to nieszczęście i obraza boska — staropanieństwo połączone z pracą, sercem i rozumem, głupich tylko śmieszyć, a słabych trwożyć może.

— Ale przecież, rotmistrzu dobrodzieju, małżeństwo, to zawsze najwłaściwszy los kobiety! Miłości męża, dzieci, nikt jej nie zastąpi.

— Święta prawda, ale to szczęście nie wszystkim jest dane. Lepiej na tem wyjdą nasze dziewczęta, jeżeli los swój złożą w ręce Opatrzności, a same zaczną się starać zasłużyć na jej błogosławieństwo. Gdzie nie miłość i szacunek wzajemny, ale rachuba i spekulacja łączy ludzi, tam nie może być szczęścia, bo i błogosławieństwa Bożego nie będzie.

Marszałek westchnął i zamyślił się.

— Słyszałeś sąsiedzie, zapytał niby od niechcienia — o ślubie hrabianki M.?

— Słyszałem — wspomniał mi o tem Kazimierz.

— I cóż myślisz?

— Życzę jej szczęścia.

— Ale czy cię nie razi taki mezalians?

— Nic o nim nie wiem — potrzebowałbym znać ludzi, aby osądzić. Nie znam ani jej, ani jego.

— Mówią wszakże, że on pochodzi z rodziny żydowskiej...

— To jeszcze nie zbrodnia.

Marszałek spojrział zdumiony.

— Jak to, rotmistrzu? nie bierzesz hrabiemu za złe tego związku?

— Nie ganię ani chwale, bo nie znam tych ludzi. Co do zarzutu żydowskiego pochodzenia, ten mi jeszcze nic nie mówi.

— Daruj, sąsiedzie, ale cię nie rozumiem.

— To ci się wytlomaczę, kochany marszałku. Pochodzenie

daje każdemu człowiekowi korzyści lub szkody, jest dla niego dobrem lub złem, ale nikogo nie plami. Pochodząc z uczciwego i zacnego gniazda, spotyka się na wstępie do życia z uczciwymi i zacnymi wpływami, które oddziałują na nas szczęśliwie — i to jest korzyść należenia do dobrego rodu. Pochodząc, przeciwnie, z gniazda skalanego, nieuczciwego, w kolebce jeszcze znajdujemy złe przykłady, które wywierają wpływ ujemny, nie-szczęśliwy na nasz charakter i — oto szkoda, ujma złego pochodzenia. Co zaś do żydostwa, zapatruję się na nie w ten sposób. Tradycje żydowskie wyrobiły się w czasie prześladowania, upadku i nędzy żydów — są też ciemne, brudne i nędzne. Nie-szczęśliwe dla tego plemienia warunki bytu, wytworzyły w niem chciwość, chytrość, przebiegłość, zemstę, nienawiść — najgorsze strony ludzkiej natury.

Żydostwo więc jest według mnie nikczemnością, tak jak szlachectwo — szlachetnością. Ale to dotyka zasady — nie ludzi. Żyd bywa nieraz szlachetniejszym od szlachcica, — szlachcic nikczemniejszym od żyda — *spiritus fiat ubi vult*. To co nazywam żydostwem, nie było charakterem gniazda, z którego żydzi pochodzą — biblia wskazuje nam szereg bohaterów, rycerzy i patryarchów czystych jak łąza.

Ta cecha, którą żydostwem nazywam, uczepliła się ich tułaczycy wędrówek, zdała od ojczyzny. To brud, kurzawa, błoto, jakie padają na szatę wędrowca, a które z czasem przyłgnęły do nich i zrosły się z nimi. Pod tą wszakże powłoką biły serca ludzkie i była natura ludzka; to też dawne prawo nasze, obdarzające szlachectwem żyda, któryby przyjął wyznanie nasze, mniej bez wątpienia myślało o zmianie wiary, niż o pozbyciu się i odrzuceniu tego wszystkiego, co było w żydach szkodliwą naleciałością, co nie pozwalało im zespolić się z ogółem naszym i z nim razem pracować dla dobra kraju. Dziś potomkowie tych uszlachconych neofitów zespolili się już z nami zupełnie, i nikt ich odpychać nie myśli, boby to było śmiesznością i czynem nieobywatelskim.

Inna rzecz z tymi, którzy się nie wyzuli ze swojej szkodli-

wej odrębności i nie odrzucili, choćby po zmianie wyznania, smutnych tradycyji żydostwa; z tymi, którzy żyjąc z nami na jednej ziemi, nie wyrzekli się nienawiści, chciwości, obłądy, którzy się nie poczuwają do obowiązków obywatelskich i żyją tylko łokciem i miarką, nad własną korzyść nie widząc nic świętszego.

Tacy ludzie, a więc i tacy żydzi są chorobliwemi naroślami na organizmie społecznym, ciągną z niego soki żywotne i nie przynoszą żadnych owoców, — takich potrzeba odepchnąć z pogardą, unikać, stronić od nich jak od zapowietrzonych, bo samo ich dotknięcie kała. Na nieszczęście — nasz nierząd i błędy nasze zaprzędają nas w ich niewolę, ale wyzwolić się z niej jest naszym świętym obowiązkiem. Takie żydostwo — to zaraza morowa, to najwstrętniejsza choroba, bo zabija ducha, ubezwładnia serce, plami czoło, głuzy sumienia — znikczemnia charaktery.

To też, wprzód nimbym mógł dać swoje zdanie o młodym Goldhaberze, musiałbym go poznać. Może on właśnie jest jednym z takich, których kiedyś szlachectwem zaszczycano? Niesłusznem jest potępiać kogoś za winy przodków, gdy tylko własna wina człowieka plami. Czasem dziecię najlepszego rodu kała swe gniazdo, — czasem syn infamisa zacnym człowiekiem — *spiritus fiat ubi vult!*

Rotmistrz już skończył, a marszałek słuchał jeszcze, rozmyślał i — widocznie nie rozumiał tej długiej przemowy. I biedził się nieborak, myśląc sobie naprzód, co też powie rotmistrz o małżeństwie Malwiny z Alfonsem? Coś przecie zostało ze słów rotmistrza, co robiło nań przykre, przygniatające jakies wrażenie. Pożegnał się więc szybko i wyszedł.

XIV.

Nadeszła Wielkanoc. Słońce wiosenne uśmiechnęło się ziemi; dni mijały za dniami, przyszły skwary letnie, — upłynął kawał

czasu, a w życiu znajomych naszych nic się tak dalece nie zmieniło. Środkowski ożenił się z hrabianką Izabelą; Tadeusz powrócił ostatecznie do zdrowia i oddał się z całą zapamiętałością sztuce; baronowa Julia wyjechała do wód; Czerski pracował jak zwykle, stając się coraz bliższym rodzinie Wapowskich; rotmistrz kilka godzin dziennie poświęcał swemu warsztatowi, a wyroby jego coraz chętniej bywały nabywane przez kupców; sędzina i Zonia pracowały także, w chwilach wolnych czytając, modląc się, lub zwiedzając okolice za miastem, w towarzystwie rotmistrza i młodzieży; Kazimierz postępował coraz dalej w obranym zawodzie; Grodek wreszcie kochał się coraz szczerzej w Malwinie.

Jednocześnie prawie z rozwojem miłości Grodka, zwiększyła się jeszcze przyjaźń jego z Kazimierzem. Wapowski był jego powiernikiem i doradcą — to ich zbliżyło jeszcze więcej. Poznał on rodzinę przyjaciela i bywał czasem w jej domu, a towarzystwo ludzi prostych miłe robiło na nim wrażenie. Stary Grodek, właściciel korzennego sklepu, mieszczanin starej daty, przyjmował Kazimierza z otwartymi ramionami. Żona, kobiecina gospodarna, praktyczna, trochę gderliwa, trochę krzykliwa, miała dla niego szczególniejsze względy za przyjaźń okazywaną jej synowi. Umiała ona cenić ród i wychowanie gościa; pochlebiali jej, że go u siebie przyjmuje, — a może, bo któż to odgadnie? — może robiła sobie, jako matka, projekta na przyszłość; może uśmiechała się jej myśl wydania za Wapowskiego jedynej córki — Jadwisi.

Jadwisia była perłą rodziny i pieszczotą. Matka kochała ją nad życie, ojciec nazywał ją skarbem swoim i chlubą, brat szanował ją również i kochał gorąco — a wszyscy razem złożyli się na to, aby jej dać jak najstaranniejsze wychowanie i wykształcenie.

Usiłowania rodziców, którzy sobie musieli wielu rzeczy w tym celu odmawiać, uwieńczyły się nader szczęśliwym skutkiem. Dziewczę, mając lat szesnaście, złożyło chlubnie egzamin na najlepszej pensji i powróciło do domu z zasobem wiedzy takim,

który przechodził pojęcie rodziców, ale z sercem prostem i szczerem, które dla nich bić gorąco nie przestało. Była zgrabną, szykowną, jakby się wychowała w salonach, znała języki, co było niemalą dumą matki, grała, śpiewała trochę, a przytem rozkwitała pięknnością niepospolitą. Pod tym względem dorównywała Zoni, chociaż były to urody wcale innego rodzaju. Zonia miała piękność bardziej posagową, idealną, duchową, jeżeli można się tak wyrazić, — Jadwisia przedstawiała typ bardzo pięknego dziewczęcia, z temperamentem żywym, gorącym, więcejziemskiej natury. Piękność Zoni działała na wyobraźnię, — piękność Jadwisi — na zmysły. W tym względzie przypominała ona nieco baronową Julię, różniąc się od niej stanowczo niewinnością myśli i serca, oraz wszczepionemi głęboko zasadami.

Podobieństwo to uderzyło na razie Kazimierza, wydało mu się, że jego pierwsza miłość — tylko uduchowniona, oczyszczona, stokroć piękniejsza jeszcze — stanęła przed nim, jakby na czyje zakłęcie. To go zajęło; zbliżył się do Jadwisi, chcąc ją poznać. Zbliżenie to przedstawiło mu ogromną różnicę między baronową a ubogiem dziewczęciem. Różnica ta wypadła zupełnie na korzyść siostry Grodka. Nie posiadając w tym stopniu co piękna Julia, wytwornej kokieteryi, sztuki wdzięcznego pozowania i umiejętności z góry obliczonych efektów, miała ona nieporównany wdzięk z natury i ten ognisty zapał do wszystkiego co piękne i prawe, który cechuje duszę młodą, świeżą i niewinną.

Jadwisia, pomimo nalegań rodziców, którzy życzyli sobie, aby po skończeniu nauk została już w domu i nie pracowała więcej, postanowiła szukać pracy zarobkowej, i tym sposobem, zdobywając sobie utrzymanie, przynieść jaką ulgę rodzicom. Pochlebna opinia w kółku nauczycieli, zdobyta wyróżniającą się zdolnością i pracą, ułatwiła jej znalezienie bardzo korzystnej posady w jednym z najzamożniejszych domów miasta; wrodzona zaś dystynkcyja, miły sposób bycia, piękna i sympatyczna powierzchowność, dały jej względy chlebodawców i dość wysokie wynagrodzenie pracy. Nie mogąc wprost oddawać rodzicom pieniędzy łożonych przez nich na jej wykształcenie, zdo-

bywała się na najrozmaitsze sposoby odpłacania się im za wszystko i okazywania im swej wdzięczności.

Za to ilekroć w Niedzielę lub święto wracała do domu, aby ten dzień z rodziną przepędzić, była to uroczystość domowa. Kilka razy przyjmował w niej udział Kazimierz zaproszony przez Grodka, bo uważano go tam jako dobrego znajomego, przyjaciela rodziny.

Zdarzyło się, że ci państwo, w których domu zostawała Jadwisia, bywając u marszałkowstwa, zeszli się tam z rodziną Wapowskich. Zonia, która o Jadwisi słyszała wiele od Grodka i od brata, pierwsza się do niej zbliżyła i w ciągu jednego wieczora powzięły ku sobie nawzajem niezwykłą sympatyą. Zaproszona przez sędzinę, by kiedy z bratem ich odwiedziła, wybrała się wkrótce Jadwisia do Wapowskich, i nastąpiło ztąd większe jeszcze zbliżenie. A tak dalece szczerze pokochała ją Zonia, że gdy niedługo potem Kazimierz nadmienił pół-żartem o własnej sympatii do siostry Grodka, ona odrzekła bez wahania.

— Chętniebym ją przyjęła za bratową.

Życzliwość Wapowskich dla Grodka i jego siostry kazała im patrzeć z przykrością i oburzeniem na to, co się działo w domu marszałka. Zwróciło nawet rotmistrza uwagę szczególne zachowywanie się obu Goldhaberów, ojca i syna w tym domu. Bankier przybierał ton jakiś protekcyjny, tak pewny siebie, że wyglądało to, jak gdyby marszałek był jego podwładnym. Gorzej jeszcze wyglądał ospowaty, krzywy i jednooki Alfons, którego arogancya i samochwalstwo przekraczały wszelką miarę. Dziwnie raziły rotmistrza to panoszenie się dorobkowiczów, zbyt jasno zdradzające moralną ich wartość; nie pojmował jak marszałek może znosić podobnych gości i dziwił się widząc jego uległość i zakłopotanie. Nie mógł wreszcie wytrzymać, aby go o to wręcz nie zagabnąć.

— Cóż począć! Rotmistrzu dobrodzieju, odpowiedział z westchnieniem zapytany, — jestem ich dłużnikiem.

— Ależ to nie upoważnia ich jeszcze do takiego zachowy-

wania się. Kto pożyczka pieniądze na procent, ten przecież łaski nie robi, bo mu się za to płaci.

— Cóż chcesz, sąsiedzie! to pan milionowy; trudno go źle przyjmować.

— A cóż was jego miliony obchodzą? Niech go za nie szanują na giełdzie, ale nie w rodzinnem kole! Ludzie, jak widzę, bez wychowania, bez zasad, ludzie, których jedyną zaletą jest bogactwo—po co ich wpuszczać do siebie? Potrafiłbym uszanować wartość moralną w najuboższym pachciarzu, ale nie pojmuję uszanowania dla majątku.

— A przecież hrabia M. wydał córkę za jego starszego syna.....

— Ha! może ten syn więcej wart od nich! Ci, na których patrzę, na szacunek nie zasługują. A ten synalek, jak widzę, zaleca się do waszej córki. Na Boga! to zgroza! Czyż już innej młodzieży zabrakło, żeby wpuszczać do siebie takich wyrzutków!

— Jest, jest dużo naszej młodzieży, odparł z goryczą marszałek, tylko ta nie kwalifikuje się na mężów! W czasie karnawału miałem ich pełno—teraz jak widzisz, sąsiedzie, znikli jak kamfora.

— Jest Grodek—znam go i cenię—zdaje mi się, że on kocha waszą młodszą córkę i, jak uważam, posiada wzajemność.

— Ja, ojciec, nic o tem dotąd nie wiem, odparł zimno marszałek—i na tem rozmowa się przerwała.

Rotmistrz wziął tę sprawę do serca. Kiedy się po tej rozmowie spotkał z Grodkiem, sam go zatrzymał.

— Daruj Pan otwartości starego przyjaciela, ale go zapytam, czy kochasz córkę marszałka?

— Tak jest, panie rotmistrzu! Kocham ją całym sercem.

— Czyś ją poznał dobrze?

— Zdaje mi się, że znam ją dokładnie.

— Czy posiadasz wzajemność?

— Jestem tego pewny.

— I chcesz się z nią żenić?

— To marzenie moje.

— Czemuż więc nie udasz się wręcz do ojca? Boli mnie patrzeć na to, że jakieś figury nikczemne wdzierają się do tej rodziny i chcą rej wodzić.

— Widzę to, czcigodny panie, i choć—Bóg świadkiem—wściekłość mnie na ten widok porywa, nie mam właśnie dla tego odwagi do stanowczego kroku.

— To źle. Jeżeli tę dziewczyną kochasz pocziwie, to ją wyrwij czempredzej z tego otoczenia. Mówię ci to przez szczerą zyczliwość. Znam marszałka oddawna—człowiek to pocziwy, ale słaby. Robili wszystko, by tym biednym dziewczętom zagrozić drogę do szczęścia. Masz własny kawałek chleba pocziwie zarobiony, serce prawe i młode—nie wahaj się! Malwina, jeżeli cię szczerze kocha, potrafi być dobrą żoną. Pocziwe to było gniazdo; licz na to i postępuj śmiało. Marszałek sam mi z żalem to powiedział, że dotychczas nic mu o swych zamiarach nie mówił.

— Panie! jestem synem ubogiego mieszczanina.

— Jesteś pocziwym człowiekiem, szlachetnie myślisz i czujesz—to szlachectwo dzisiejsze!

— A jeżeli marszałek odepchnie mnie ze wzgardą? Może będzie to miał za obrazę z mej strony? Tego się lękam.

— W takim razie—przemówił rotmistrz—ja ci pomogę, ja poprę twoją sprawę—masz we mnie przyjaciela.

Grodek wzruszony przycisnął do ust rękę starca, ten zaś pocałował go w czoło.

— Mając takie poparcie, odważę się na wszystko! zawołał z zapalem młodzieniec, i z rozognioną twarzą, z bijącym sercem pobiegł do domu.

Tu postanowił po namyśle napisać list do marszałka. Wydało mu się to łatwiejszem, niż osobiste wyznanie. Pamięć o przesądach ojca Malwiny i o własnem pochodzeniu onieśmielała go. Lękał się, by ten drażliwy stosunek nie doprowadził do jakiej ostateczności. Siadł więc i polecivszy sprawę swoją Bogu, w którego wierzył gorąco, napisał list następujący.

Szanowny Panie Dobrodzieju!

Pisząc te słowa, mam niezłomną wiarę, że Czcigodny Pan, który raczyłeś mię niejednokrotnie obdarzać zaszczytnemi dla mnie względami, nie weźmiesz i tym razem za złe śmiałości, z jaką w interesie własnego szczęścia, sam, bez pośrednictwa do Niego się udaję.

Rok upływa, jak żywię dla córki Szanownego Pana, panny Malwiny—uczucie gorącego przywiązania; ufam, że mi się uda pozyskać Jej wzajemność. Wprzód jednak nim przystąpię do stanowczych w tym względzie kroków, czuję się w obowiązku przedstawić Jej ojcu wszystko co się do mej osoby odnosi, prosząc go o pozwolenie starania się o rękę córki.

Jestem mieszczaninem, synem ubogiego kupca. Ojciec mój ma sklepik korzenny przy ulicy Długiej. Wszystko, co posiadam, zawdzięczam Bogu i sobie. Posada moja w fabryce żelaza, pod firmą N. przynosi mi dwa tysiące rubli rocznego dochodu. Mam przytem nadzieje lepszego bytu. Czuję, że pracą rąk własnych mógłbym zapewnić utrzymanie żonie, skromne, ale przyzwoite. Czuję nadto, że szczęście posiadania serca i ręki córki Szanownego Pana, podwoiłoby moje siły.

Jeżeli Czcigodny Pan nie wzgardzisz prośbą moją i pozwolisz mi się starać o osiągnięcie tego szczęścia, zadaniem całego życia mego będzie dać Jego córce szczęście, na jakie zasługuje, Ojcu zaś i Matce żony mojej wypłacać do śmierci dług wdzięczności, względem nich zaciągnięty.

Łączę wyrazy głębokiego poważania i szacunku

Józef Grodek.

Napisawszy ten list, posłał przez posłańca publicznego Marszałkowi, sam zaś pobiegł do fabryki, gdzie go już zwykle zajęcie czekało.

Była to bowiem godzina dziesiąta przed południem.

— Los rzucony! zawołał, ściskając na powitanie Kazimierza.

— Szczęść Boże! odrzekł przyjaciel, i rozeszli się każdy do swego zajęcia.

XV.

Marszałek obudził się dość późno, wbrew zwyczajowi swemu. Od niejakiego czasu czuł się dziwnie zmęczonym, chorym prawie. Wszystkie kłopoty, które się na głowę jego zwały, niepokój o jutro, o byt dzieci, wyczerpywały powoli siły i zdrowie. Od niejakiego czasu doznawał coraz częściej uderzeń krwi do głowy; lekarz, którego się radził, nakazał mu spokój zupełny i unikanie wszelkich wzruszeń.

Łatwiej to wszakże było zalecić, niż wykonać. Pozycja, w jakiej Marszałek zostawał, nastęrczała mu co chwila nowe przykrości. Szczególniej dręczył go brak decyzji w sprawie z Goldhaberem.

Postanowił więc przynajmniej z tem skończyć raz w jaki bądź sposób.

Jak na to zdarzyła się okoliczność wpływająca na przyspieszenie tego kroku. Hrabia M., ojciec dzisiejszej pani Goldhaberowej, odwiedził Marszałka. Był między nimi stosunek nieco naprężony od czasu jak Marszałkiewicz dostał odkosza. Pierwszy krok do zgody pochodzący ze strony hrabiego zobowiązał nieco Marszałka i kazał mu zapomnieć o dawnej urazie. Co do hrabiego, to ten, mając na widoku przyszłe spokrewnienie z Marszałkiem, nie wahał się zrobić dla niego pewne ustępstwo. Mówili z sobą serdecznie, po przyjacielsku, z kąd przyszło do wzajemnych zwierzeń.

— Krzywili się na mnie ludzie, — przemówił Hrabia, za to, że wydałem córkę za Goldhabera. Wprawdzie zmusiły mnie nieco do tego interesa, ale Bogiem a prawdą — nie widziałem w tym związku nic zdrożnego. Wprawdzie pochodzenie mojego zięcia jest podejrzanem, ale — cóż robić! potrzeba się też trochę liczyć z postępem czasu i pozbyć się niejednego przesądu. Wiedzą ludzie, że jestem postępowym, liberalnym człowiekiem a ma-

ją mi za złe, że postępuję zgodnie z mojami zasadami. Goldhaberowie zresztą są ludźmi gładkimi, przyzwoitymi, nic im zarzucić nie można. Naturalnie wszystkò ma swoje granice — gdyby syn mój chciał zostać kupcem, albo gdyby córka pragnęła wyjść za mieszczanina, nie dopuściłbym do hańby mojego rodu.

Ale co do Goldhabera — naprawdę nie poczuwam się do winy. Trzeba iść z postępem!

Tak mówił Hrabia. Marszałkowi słowa te utkwily w pamięci i długo nad niemi rozmyślał. Rozmyślanie to przyniosło jako skutek — stałe postanowienie.

— Choćby go nawet Malwinka nie chciała — inaczej być nie może. Popłacze może trochę, zmartwi się, a potem będzie mi dziękować za swoje szczęście.

Przez miłość dla mego dziecka muszę się dla niej poświęcić. Będzie miała zapewniony los, opiekę. Kto wie zresztą co ze mną się stać może. Gdybym umarł, ona rodzeństwa nie odstąpi. Przecież Bóg widzi, że nie dla siebie to robię — coś mi mówi: niedługo ci już do końca. Nie umarłbym spokojnie, zostawiając sieroty bez żadnej pomocy i opieki.

— Tak, tak — inaczej być nie może — Malwina pójdzie za Goldhabera. Dziś jeszcze skończyć to muszę.

Tak mówił sobie Marszałek i zaczął powoli oswajać z tą myślą żonę i córkę. Marszałkowa, pamiętając o hrabiance M., która wyszła za Goldhabera, zgadzała się na postanowienia męża. Trudniej było z Malwiną, która wyznała, że kocha Grodka i za bankierowicza iść nie chce. Rodzice nie tracili nadziei, te wpłyną na zmianę jej usposobienia, ale Marszałka bolało to, że znalazł nową trudność, tem większą, że trzeba było zwalczać opór córki.

W chwili, w której wchodzimy do jego sypialni, Marszałek rozmyślał o tem znowu i czuł się fizycznie i moralnie zgnębionym. Na dobitek czekała go pozornie mała a jednak dojmująca nieprzyjemność: znalazł na stole kilka rachunków kupieckich — domagano się wypłat.

Marszałek się zirytował.

— Ci drobni wierzycciele natarczywsi są od większych. O swoją lichą sumkę gotów się co dzień upominać. To niezdolne!

Lokaj wszedł, niosąc kawę.

— Kiedy to przynieśli? zapytał go pan, wskazując na trzymane w ręku rachunki.

— Dziś, raniutko, Jaśnie Panie. Mówili, że przyjdą jeszcze. Szczególniej jeden chłopak od kupca korzennego natarczywy bardzo; ledwom go wypchnął—chciał iść do Jaśnie Pana.

Marszałek się zżymnął i zamilkł.

— Co za zuchwalstwo, rzekł do siebie po wyjściu lokaja. Z nas żyją, na nas robią majątki a niech tylko powinie się któremu noga, zaraz obiegają go jak robactwo! Pierwszy lepszy kupczyk korzenny poczuwa się do prawa gwałtownej egzekucyi. To okropne. Stary ród, zasługi, powaga stanowiska — nic to nas nie zastania przed tą hołotą. Nie! nie! tylko pieniądze wzbudzają uszanowanie!...

Chodził szybkimi krokami po pokoju.

— No, proszę! ledwo go wypchnąć potrafił!.. Zawsze wstręt miałem do tego mieszczaństwa! Chłop ma więcej serca i sumienia...

Na takich rozmyślaniach zesła godzina. Marszałek jątrzył się ustawicznie i wrzał oburzeniem.

Na wieży wybiła jedenasta.

— Pójdę do kościoła, — odezwał się; muszę się uspokoić, lekarz zabronił mi wszelkich wzruszeń.

Zawołał na lokaja i zaczął się pospiesznie ubierać. Już był ubrany, gdy w sieni zabrzmiał dzwonek.

— Nie ma mnie w domu! — powiedział do zaczął. biorąc kapelusz i laskę, gotował się wyjść na ulicę.

Lokaj przyniósł na tacy list.

Marszałek rozerwał kopertę i czytać lokaja i Ale po chwili ręce mu zadrżały, krew uderzyła do głowy, aż sługa przestraszony widokiem pana, pospieszył podać mu szklanekę wody.

W tej chwili drzwi się uchyliły i Malwina wbiegła do pokoju, oddać *dzień dobry* ojcu.

— Masz! zawołał ten gwałtownie, podając jej list otrzymany. Czytaj!

Malwina rzuciła okiem na podpis i zarumieniła się. Był to list od Grodka.

— Nędznik! — zawołał marszałek drżąc z gniewu; skończył z naszej gościnności, aby ci zawrócić głowę. Kupczyk lichy taił się ze swem pochodzeniem — dopóki nie dopiął celu, i teraz śmie do mnie pisać! O nie! ja mu tego nie daruję! taka obraza boli! to obelga! to hańba!

I wprzód nim zdumiona i przejęta Malwina spostrzedz się mogła, ojciec wyszedł z pokoju.

— Ojcie! ojcie drogi! — wołało dziewczę, biegnąc za nim w ślady. Ale marszałek był już na ulicy.

Drżący i wzburzony dążył na ulicę Długą, do sklepu Grodków.

Dzień był słoneczny i skwarny, — zbliżające się południe zwiększało z każdą chwilą upał lipcowy. Kilku znajomych spotkało Marszałka, ale on ich nie widział. Cała myśl jego zajęta była doznaną obelgą, za jaką miał oświadczenie się Grodka.

W kwadrans wchodził już do sklepu, gdzie zastał starego Grodka. Nie znali się z sobą, choć Grodek znał Marszałka z wizerowania i wiedział o nim od syna.

— Czy jest pan Józef Grodek?

— Nie ma go w tej chwili, odrzekł kupiec, powstając z miejsca—pracuje teraz w fabryce, ale jeżeli pan M. Dobrodziej czego potrzebuje, możebym ja mógł służyć — jestem jego ojcem.

— I owszem, — odparł wyniośle Marszałek; powiedz mu pan odemnie, że jest podły i żeby mi się nie ważył pokazywać na oczy!

Stary Grodek zadrżał.

— Panie Marszałku! co to znaczy? cóż zrobił takiego mój syn?

— Co zrobił? Wkradł się do mego domu jak złodziej, taił

się przedemną kim jest i córkę mi śmiał bałamucić! Czyś pan wiedział o tem?

— Wiedziałem.

— Jak to? i mógłś myśleć, że ja oddam mu moją córkę?! Mógłś przypuszczać, że podłego kupczyka przyjmę za zięcia?!

— Panie Marszałku... pan mnie krzywdzisz...

— Ha! ha! to dobre! nie wy — ja jestem skrzywdzony. Co świat powie, dowiedziawszy się, że dziecko moje doczekało się straganowych konkurentów!

Nikczemni jesteście!

Grodek zbladł, zczerwienił się, ale milczał jeszcze.

— Jakaście śmieli tak postąpić! — krzyczał Marszałek unosząc się coraz więcej, — czy nie wiesz, jaka między nami różnica?

— Wiem, odparł sucho Grodek — ja sprzedaję kawę — a pan marszałek — córki.

Słowa te wyrzeczone cicho i poważnie zrobiły piorunujące wrażenie. Marszałek wstrząsł się, zatoczył obłąkanemi oczami, jęknął, uchwycił się za głowę i — runął na ziemię.

Krzyknął Grodek i rzucił się na pomoc niemiłemu gościowi. Wbiegła jego żona, zaczęli oboje cucić zemdlonego, ale to nic nie pomagało.

— Doktora trzeba! Żono, pobiegnij po doktora.

Zabierała się pani Grodkowa do wykonania tego rozkazu, kiedy do sklepu wszedł Czerski.

— Zawiozę go do doktora, — zawołał, — trzeba ratować jak najspieszniej!

W jednej chwili zawołano dorózkę; Czerski z Grodkiem położyli na niej chorego i kazali jechać do poblizkiego szpitala.

W drodze spotkały ich Marszałkowa i Malwina. Zaniepokojone o męża i ojca, wybiegły go szukać i przerażone okropnym widokiem, rzuciły się w ślady dorózki, która za chwilę zatrzymała się przed szpitalem.

Wniesiono chorego do sali, lekarz puścił mu krew, — zdawało się, że ratunek nie był spóźniony. Kobiety osłabłe pra-

wie z trwogi i bólu, szukały rozpaczliwie śladów życia w twarzy nieszczęśliwego. Napróżno lekarz starał się je oddalić, obawiając się, by lada wzruszenie nie dobiło chorego.

Marszałek przyszedł wreszcie do siebie, otworzył oczy — poznał żonę i córkę i szepnął:

— Wapowskiemu zdaje nad wami opiekę... rotmistrzowi... Słuchajcie go we wszystkim...

Przytomność znikła znowu.

Trzech lekarzy nie odstępowało od chorego; używano wszystkich środków ratunku.

Ale ratunku nie było.

Przed wieczorem jeszcze otworzyły się drzwi salonu marszałkownictwa i weszli tragarze, niosąc nakryte ciało.

Było to ciało Marszałka — już zimne.

XVI.

W mieszkaniu Wapowskich panowała cisza, przerywana jedynie muzyką Zoni. Była to chwila, w której wszyscy pracowali osobno. Zonia grała, Sędzina wyszywała na kanwie, Rotmistrz siedział przy swoim warsztacie, którego kółko, obracając się nieustannie, wydawało szmer monotony. Tadeusz pracował u siebie, Emilka nakoniec w swoim kąciuku uczyła się lekcji na jutro.

Wszedł Czerski z wiadomością o nagłej śmierci Marszałka i jego ostatniem zleceniu. Zonia przerażona porwała się od fortepianu, Sędzina zapłakała, Rotmistrz, Tadeusz i Emilka zbiegli się do Czerskiego, cała rodzina została zelektryzowana niespodziewaną wieścią.

— Boże dobry! co te biedne kobiety poczną teraz same!—to była pierwsza myśl Sędziny.

—Nie traćmy czasu—odparł Rotmistrz—chodźmy do nich. Wszyscy się tam przydać możemy. Tadeuszu, czy masz jakie pieniądze?

— Mam, oto są.

— Dobrze — nie sądzę, abysmy tam znaleźli jakie zasoby.

Wkrótce cała rodzina Wapowskich podążyła do domu Marszałka. W drodze spotkali dwóch posłańców wysłanych przez Marszałkową do Rotmistrza. Było to przed wieczorem, wkrótce po przeniesieniu ciała zmarłego do domu.

Okropny obraz przedstawił się Wapowskim, kiedy weszli do mieszkania Marszałkowskiego. Wdowa mdlała co chwila, córki splekane i rozpaczone nie wiedziały co począć, syn nie o wiele więcej miał przytomności.

Najbardziejszą była Malwina — zdawało się jej, że się przyczyniła do śmierci ojca, i rozpacz jej nie miała granic. Biegła z potarganymi włosami od mdlejącej matki do trupa ojca, padała na podłogę, jęczała, odchodziła od przytomności. Tymczasem tragarze, złożwszy przyniesione ciało na kanapie, odeszli, a nikt dotąd nie pomyślał o ustawieniu katafalka — wszyscy czekali na Rotmistrza.

Służba wyprawiona do niego, zostawiła drzwi mieszkania otwarte — ludzie jacyś wchodzili do salonu, rozglądając się dookoła, przypatrując się rozpaczającej Malwinie, a może i korzystając z ogólnego popłochu. Byli i tacy, którzy nie wiedzieli co się właściwie stało, domyślali się tylko, że zaszedł jakiś wypadek i sądzili, że to ich upoważnia od plądrowania po pokojach. Zjawili się i kilku chłopaków z rachunkami, tych samych, którzy przychodzili z rana. Ci, widząc Marszałka leżącego na kanapie, sądzili zrazu, że śpi i chcieli czekać aż się zbudzi.

W tym tamulcie, gwarze, w obec bezmyślnej ciekawości intruzów i rozpacz rodziny, strasznie wyglądał ten nieruchomy trup Marszałka, który zdawał się patrzeć na wszystko z obojętnością kamienną. Siwe włosy jego rozwiane nad czołem poruszały się od wiatru, który bezkarnie wdzierał się do pokoju przez otwarte drzwi. Lśniące posadzki salonu, aksamitne meble, portiere i lustra w złotych ramach stanowiły dziwny kontrast pozorów zbytku z nędzą, która wchodziła do tego mieszkania razem z nieproszonymi gośćmi. Kilka ciemnych postaci antenatów rodu patrzyło groźnie i ponuro na tę całą scenę.

Rotmistrz zaczął od wyprawienia za drzwi ciekawych, podczas gdy Sędzina z Zonią udały się do kobiet. Tadeusz z Czerskim pobiegli do poblizkiego kościoła po lichtarze, świece i kiry. Rotmistrz tymczasem z pomocą lokai ustawiał katafalk i zajął się odpowiedniemi przygotowaniem ciała nieboszczyka.

Sędzina i Zonia miały trudniejsze, choć niemniej przykre zadanie. Na widok znajomych twarzy zwiększyła się jeszcze rozpacz osieroconych — potrzeba było je uspokoić i pocieszyć. Okazawszy im serdeczne współczucie, podzieliwszy się łzami, Sędzina przemówiła poważnie, że rozpacz ich duszy zmarłego żadnej ulgi nie przyniesie, że należało raczej pomyśleć o Bogu, przed którego majestatem stał obecnie duch nieboszczyka.

Przypomniały sobie stroskane kobiety, że się jeszcze nie pomodliły, a kiedy Sędzina uklękła przed ołtarzykiem i głośno zaczęła modlitwy za zmarłych, żał ich, nie mający punktu oparcia, zwrócił się w tajemniczą ową stronę, gdzie wiara szukać nam każe pociechy i miłosierdzia. Ustało boleśne szamotanie się ducha a natomiast spłynął i osiadł w duszy cichy anioł smutku i rezygnacyi, i dłoń swoją położył na szalejącem z rozpaczycy sercu...

Po długich modłach i płaczach, należało pomyśleć o zajęciu czemś skołatanych myśli. Wiedziała Sędzina, że to sposób jedyny i najmożliwszy na uspokojenie i chwilowe przynajmniej odwrócenie uwagi od przedmiotu wzbudzającego żal.

Napomknęła więc o potrzebie zajęcia się żałobą. Marszałkowska i jej córki załamały na nowo ręce. One biedne pojęcia nie miały w jaki sposób wziąć się do tego. Uspokoila ich Sędzina, zapewniając, że razem z Zonią w przeciągu jednej nocy podołają temu zadaniu, zwłaszcza, że okazały się z odpowiedniego materiału suknie, które należało tylko stosownie do potrzeby przerobić. Żeby jednak bądź co bądź zająć czemkolwiek sieroty, wyznaczyła im Zonia jakieś pomocnicze prace, sama wraz z matką biorąc na siebie główne zadanie.

Tymczasem, dzięki energicznemu zajęciu się Rotmistrza, Tadeusza i Czerskiego, stanął katafalk w salonie nakryty kirem, ubrany w kwiaty i zieloność, otoczony szeregami płonących

świec, na którym leżał Marszałek ze złożonemi rękami, trzymając w nich krzyżyk brązowy zdjęty z nad łożka. Dziadek kościelny odmawiał żałobne pacierze — a Wapowscy i Czerski klęczeli modląc się po cichu. Przyszedł i Kazimierz z Grodkiem ale ten ostatni wyglądał sam jakby z katafalka, aż przykro nań było patrzeć.

Spostrzegł go Rotmistrz i odprowadził na stronę.

— Co się stało?

— Niestety! — wyjąkał drżący ze wzruszenia Grodek.

— Domyślam się, że list jaki...

— Tak, Rotmistrzu. Idąc za radą waszą postanowiłem oświadczyć się i zdało mi się, że lepiej będzie listownie. List ten, w którym wyjawilem całą prawdę, stał się przyczyną tego ciosu. Marszałek zirytował się, pobiegł do ojca mego, robił gorzkie wyrzuty i u nas w sklepie rażonym został apopleksyą. O! wolałbym, żeby mnie to spotkało!

— Nie poddawaj się rozpaczy — rozumiem cię, odpowiedział Wapowski. Wina to okoliczności — nie twoja — nieszczęśliwe zrzędzenie losu...

— Uciekam stąd — nie mam odwagi pokazać się pannie Malwinie i jej matce — choć Bóg świadkiem, że im życzyłem jaknajlepiej...

— Masz słuszność, młody przyjacielu, — dziś lepiej, by cię nie widziały. W pierwszych chwilach boleści nie rozumuje się wcale; mogłyby doznać przykrego wrażenia na Twój widok. Potem wszystko przyjdzie do porządku.

— Bóg Wam zapłać, czcigodny panie za waszą przychylność... dla mnie już niema nadziei! — Malwina moją nie będzie!...

— Panuj nad sobą, — odrzekł Rotmistrz, ściskając rękę młodzieńca. Cierpieć i milczeć — rzecz męzka. Wszystko da się naprawić.

Grodek słuchał, lzy mu się zakręciły w oczach, ucisnął podaną sobie dłoń — i odszedł.

Znał on swego ojca, wiedział, że choć potulny i spokoj-

ny, nie dawał się lżyć bezkarnie,— przypuszczał, że mógł się przyczynić jakim słowem do katastrofy. Nie miał żalu do ojca, ale zdawało mu się, że powinien zapomnieć o Malwinie i wyrzec się jej na zawsze. Ta myśl rozdzierała mu serce.

Nie śmiał się pokazać w ich domu aż w dniu pogrzebu Marszałka. Zmieszany z tłumem wszedł do żałobnego pokoju i ujrzał tę, na którą nie śmiał dziś podnieść oczu.

Wydała mu się piękniejszą niż kiedykolwiek: czarna suknia żałobna, ciężka, powłoczysta, nadawała jej dziwny jakiś majestat. Łzami zachodzące oczy i wyraz głębokiego smutku na twarzy — uszlachetniły ją, podniosły, uduchowniły.

Grodek stał i patrzył trwożnie, czy na niego nie spojrzy. Nie widziała go, — zdawała się nie widzieć nikogo.

Dzień pogodny i piękny oraz rozległe stosunki Marszałka ściągnęły wielką ilość osób na jego pogrzeb. Na opłacenie kosztów pogrzebu złożyli się Wapowscy i Czerski — po zmarłym bowiem nie zostało prawie nic. Goldhaber, który, uważając się już za krewnego Marszałka, chciał wystąpić jak na takiego przystało, sarkał na skromność pogrzebu, żądał, aby mu było wolno rozporządzać się stosownie do swej woli. Marszałkowej uśmiechnęła się także myśl wystawnego i okazałego pogrzebu: zdawało się jej, że tego wymagała pozycja zmarłego i względy na opinię — ale Rotmistrz oparł się stanowczo wszelkiemu udziałowi Goldhabera w tej sprawie. Ze swej strony użył rzeczywiście wszelkich starań, aby pogrzebowi nadać cechę uroczystą. Księży było kilku, karawan bogatszy, trumnę zaś niesiono aż do cmentarza. Tu pierwszy raz od śmierci ojca ujrzała Malwina Grodka.

Cały wielki świat miejski, o ile pozostał na lato w mieście przyjął udział w uroczystości pogrzebu. Widziano paru hrabiów i nawet jednego księcia, co robiło wrażenie na tłumy. Widziano oprócz nich kilkunastu ubogich, wstydzących się żebrać, którzy się nie wstydzili wyznawać z płaczem, że zmarły był ich dobrodziejem. Ci nie zrobili na nikim wrażenia. Goldhaber zżyma się nawet z oburzenia, że takiej holoocie pozwolono zbliżyć się do

trumny, ale może widział ich ktoś z góry i rzucił łyżę tej *hołoty* na wielką szalę sprawiedliwości, ważącą zamogilne losy Marszałka...

Wprost z cmentarza Wapowscy zabrali osieroconą rodzinę do siebie. Trzecie piętro otworzyło braterskie ramiona wygnąncem salonu.

XVII.

W papierach Marszałka znalazło się tylko kilka listów zastawnych, stanowiących razem niewielką sumę. Była to reszta z pożyczki udzielonej przez Goldhabera. Gotówki nie znaleziono wcale. Pozostawały więc sierotom tylko meble i sprzęty, które należało spieniężyć wprzód, nim wieść o zgonie Marszałka rozeszła się po świecie.

Zajął się tem energicznie Rotmistrz. Wynajawszy parę skromnych pokoików dla osieroconej rodziny na drugim piętrze domu, w którym sam mieszkał, kazał przenieść do tego mieszkanka co najpotrzebniejsze z mebli, resztę zaś — a było tego dużo, chciał sprzedać, by tem choć cokolwiek powiększyć szczupłe zasoby wdowy i sierot.

Właśnie był tem zajęty i przesiadywał w dawnem mieszkaniu Marszałka, kiedy otrzymał list od Goldhabera, wzywający go, aby przybył w celu porozumienia się względem interesów powierzonej jego opiece rodziny.

Rotmistrz ustnie kazał oświadczyć bankierowi, że ktokolwiek ma do niego interes, może się sam zgłosić w oznaczonych godzinach do dawnego Marszałkowstwa mieszkania, gdzie każdemu chętnie służy.

Działo się to w kilka dni po pogrzebie, który to czas poświęcił Rotmistrz wyłącznie powierzonym sobie interesom. Odbił kilka długich narad z Marszałkową i Malwiną, konferował z byłym adwokatem Marszałka Mroźkiem — chodziło mu widocznie o dokładne wyjaśnienie sobie pozycji.

Nazajutrz po liście bankiera, w godzinie przedpołudniowej, Goldhaber wszedł do gabinetu niegdyś Marszałka, gdzie obecnie przesiadywał Wapowski.

Przybyły czuł się widocznie obrażonym i miał minę nadętą i dumną.

Rotmistrz przyjął go zimno, skłonił się, nie podając ręki, i skinieniem wskazał mu krzesło.

Goldhaber osłupiał. Przyzwyczajony do widoku przymilających mu się, ugrzecznionych ludzi, wierzący w magiczną siłę swojego wpływu i majątku, widział przed sobą ubogiego człowieka, mieszkającego na trzeciem piętrze i ubranego mniej niż skromnie, który go traktował z jakąś dumną obojętnością.

Na dobytek Wapowski palił fajkę, która niemile raziała wydelikaczone zmysły bogacza.

— Słyszałem od Marszałkowej,—przemówił gość tonem lekceważenia, że nieboszczyk zdał na pana zupełną opiekę nad pozostałą rodziną i wyłączny kierunek interesów.

— Tak jest, panie.

— Sądzę więc, że stosunki zmarłego są mu dokładnie znane!

— Najdokładniej.

— W takim razie musisz pan Rotmistrz wiedzieć i o stosunkach, jakie Marszałka ze mną łączyły?

— Wiem.

— Potrzebowałem porozumieć się z panem w tym względzie. Znany mu układ, jaki stanął między nami w sprawie majątkowej i familijnej?

— Tak jest.

— Było to wolą Marszałka, aby syn mój Alfons ożenił się z córką jego Malwiną, co się wiązało z wiadomym układem interesów.

— *Ostatnią* wolą zmarłego — rzekł Rotmistrz z przyciskiem, było — mnie powierzyć władzę nieograniczoną.

— Tak, ale nie sądzę, abyś pan chciał zmieniać postanowienia nieboszczyka dotyczące się zapewnienia bytu jego rodziny?

— Mylisz się pan — zmieniam je stanowczo.

Goldhaber spojrział ze zdumieniem.

— Jak to mam rozumieć?

— Tak, że syn pański nie ożeni się z córką Marszałka.

Spokój i powaga — z jaką te słowa zostały wymówione, ubodły mocno ambycją bankiera. Żałował, że nie zaniechał tej sprawy, jakkolwiek zależało mu na jej przyprowadzeniu do skutku, gdyż rzecz sama była zbyt głośną. Najwięcej go wszakże gniewało, że przyszedł do Rotmistrza, gdzie go miało spotkać tak niespodziewane przyjęcie.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, odparł z ironią, że mi na tym związku nic a nic nie zależy, że skoro panna Malwina nie ma ani grosza posagu, to z mojej strony było po prostu rodzajem poświęcenia ożenić z nią mego syna. Niepotrzebnie więc pan używasz tak stanowczego tonu, skoro mnie, zarówno jak synowi memu, sprawa ta jest zupełnie obojętną.

Powiedziawszy to, bankier rozparł się w fotelu i nieznacznie pogłaskał rękawy.

— Po tem, co mi pan mówisz, odpowiedział poważnie Rotmistrz przyznając, że się zblądził. Ja bowiem sądziłem, że sprawa ta obojętną dla panów nie jest o tyle, że syn pański żeniąc się nie z interesu, musi mieć chyba przywiązanie do osoby panny...

Goldhaber zmięszał się cokolwiek, poprawił włosy, i nabierając jeszcze pewniejszej siebie miny, przemówił:

— No, skoro więc układ familijny pomiędzy nami zerwany, zrobię użytek z pewnego dokumentu, zostającego w mojem ręku: Na rachunek przyszłych stosunków pożyczylem Marszałkowi pewną sumę, na dowód czego mam jego rewers.

— Wiem o tem, — rzekł Rotmistrz.

— Skoro więc te przyszłe stosunki nie przyjdą do skutku, a ze sprzedaży majątku, która nastąpi za dwa tygodnie, nie będę mógł należności tej odebrać, muszę brać to, co mam pod ręką, i dziś jeszcze kładę areszt na ruchomościach.

— Masz pan do tego najzupełniejsze prawo — ruchomości nie są jeszcze sprzedane. Nim to jednak uczynisz, pozwól, bym zrobił uwagę, że w obec słów świadczących, jakoby projekt oże-

nienia syna z córką Marszałka był ze strony pańskiej poświęceniem jedynie, dziwnie wyglądać musi chęć odebrania rodzinie zmarłego resztek funduszu, które jej zaledwo na kilkanaście miesięcy mogłyby wystarczyć?

— Nie wchodzę w to jak postanowienie moje wygląda — w oczach Pańskich, — odezwał się bankier z gniewem — dość zresztą tych poświęceń! Świat cały wie ile mnie rocznie ubodzy kosztują — gazety o tem piszą! Ruchomości sprzedam — i basta.

Goldhaber stał i zabierał się do wyjścia, spodziewał się wszakże, że go Rotmistrz zatrzyma i prosić będzie.

Rotmistrz milczał, — to go zastanowiło.

— Nic mi pan więcej nie masz do powiedzenia?

— Nie.

— Ciekawym przecię wiedzieć co skłoniło pana do zmiany postanowień nieboszczyka? Choć mi, jak powiedziałem, nic nie zależy na tem małżeństwie, to przecię nie damy się odprawić z kwitkiem! Chcę wiedzieć co pan masz przeciwko temu?

— Nie myślę tać powodów, — odrzekł zimno Rotmistrz. Panna Malwina nie ma żadnego przywiązania do syna pańskiego.

Goldhaber się zaśmiał.

— Dziwi mnie, że skoro rodzony ojciec, który musiał znać usposobienie córki, zgadzał się na ten związek, pan mu się sprzeciwiasz!

— Bo ja mam inne jeszcze przeszkody, o których nieboszczyk nie wiedział.

— To mnie zaciekawia, — rzekł z sarkazmem bankier, siadając znowu. I cóż to za przeszkody, jeżeli wolno wiedzieć?

Rotmistrz posepniał w miarę, jak gość jego nabierał coraz większej pewności siebie. Czuć było w tem niecierpliwość człowieka, który znosić musi wstrętne mu oburzające towarzystwo.

— Żądasz pan, abym wyjawiał wszystko — więc mówić muszę. Opinia, jakiej syn pański w niektórych sferach używa, a o której nie wiedział Marszałek, jest najgłówniejszą przeszkodą.

Golhaber zmieszał się, ale pokrył to śmiechem.

— Ha! proszę pana, któż nie ma nieprzyjaciół! Ja również szanuję opinią, ale wiem, że nie zawsze jej ufać można. Jakieś oszczerstwo zapewne! — znane rzeczy!

— Panie Goldhaber, — odezwał się Rotmistrz surowo, — za stary jestem na to, aby plotkom i pozorom wierzyć. Skoro powiedziałem panu o tem, to znaczy, że muszę mieć dowody. Nie zmuszaj mnie do jaśniejszego tłumaczenia, — zechciej tylko wierzyć, że gdyby wiedział o tem Marszałek, noga pana Alfonsa nie powstałaby w jego domu.

Bankier zbladł — i zaczął chustką batystową ocierać spoczone czoło. Wiedział on już o czem mowa: przestraszył się, że o łotrystwach i szachrajskich sprawkach jego syna wie człowiek, którego mógł się lękać. Czuł, że należy go w jakibądź sposób przejednać.

— Grzechy młodości! rzekł z westchnieniem, — grzechy młodości!... Gdyby ta nasza młodzież wiedziała, ile nam robi boleści... nieprawdaż panie?

Rotmistrz milczał i bladł, ciągnąc gwałtownie dym z fajki, która już zgasła.

— Bądź co bądź — nie należy jej szkodzić, — nieprawdaż, panie Rotmistrzu Dobrodzieju? Młody człowiek zrobi głupstwo, a opinia spada na nasze siwe włosy... Zapomnijmy o tem — nieprawdaż?

I wyciągnął ku Rotmistrzowi rękę.

W tonie tego przemówienia, w wyrazie twarzy bankiera było coś takiego, że Wapowski spojrzał groźnie, aż mówiący musiał spuścić oczy i cofnąć rękę.

Widząc, że mu się to nie udało, sięgnął do kieszeni i wyjął z niego wielki złożony pugilares.

— Oto rewers Marszałka, — przemówił, wydając z pomiędzy rozmaitych papierów i bankowych biletów kartkę. Kwituję z tego długu — na rzecz sierot.

Wapowski nie wyciągnął ręki. Goldhaber zapalił świecę stojącą na stole i zbliżył do jej płomienia wyjęty dokument.

— Czym dobrze zrobił? — zapytał, kiedy z papieru został tylko popiół.

— To rzecz pańskiego sumienia, — odrzekł Wapowski.

— A gdybym chciał zasłużyć na szacunek pański, — cobym musiał uczynić?

— Dziwi mnie to pytanie. Mówiłem z panem jako opiekun sierot — nie jako Wapowski.

Chciał coś jeszcze powiedzieć Goldhaber, ale zawahał się i zamilkł. Rotmistrz nie okazywał chęci przedłużenia rozmowy; nic mu więc nie pozostało, jak pożegnać się i wyjść.

Tegoż dnia Marszałkowa otrzymała list od bankiera, a w liście własnoręczny rewers nieboszczyka jej męża na dwa tysiące rubli.

Ponieważ wszystkie długi Goldhabera umieszczone były na pierwszym miejscu hipoteki majątku Marszałka, rewers ten należało uważać jako gotówkę.

Ucieszyła się wdowa niezmiernie tym aktem wspaniałomyślności bankiera i pospieszyła podzielić się radością swoją z Rotmistrzem.

Wapowski wiadomość tę przyjął obojętnie i w milczeniu.

Nazajutrz po tem całe miasto już mówiło o znalezieniu się bankiera — chodzące gazety wieść tę rozniosły na wszystkie strony.

XVIII.

Po zabezpieczeniu Marszałkowej i jej dzieciom resztek straconej fortuny, po mimowolnem prawie przyczynieniu się do ustępstwa, jakie zrobił Goldhaber, Rotmistrz nie czuł się wcale zwolnionym od obowiązków swoich jako opiekun. Udało mu się zapewnić na jakiś czas byt nieszczęśliwej rodziny Marszałka — teraz pozostało jeszcze pomyśleć o innych obowiązkach opieki — moralnych.

Z rachunków przedstawionych przez Mrożka przekonał się Rotmistrz, że o uratowaniu majątku mowy już być nie mogło. Długi przewyższały znacznie jego wartość; administracja prowa-

dzona niedołącznie, czy niesumiennie, nie poprawiła bynajmniej stanu rzeczy; gdyby nawet znalazł się jaki bezinteresowny kapitalista, któryby chciał podjąć upadłą sprawę i wejść z wierzycielami w umowy, nawet i to nie mogłoby przynieść zupełnie pewnego rezultatu.

Rotmistrzowi też nie chodziło o ocalenie majątku, tylko o użycie wszelkich możliwych sposobów w celu oczyszczenia pamięci nieboszczyka. Wiedział, że wierzyciele tacy jak Goldhaber, którzy się zawczasu zabezpieczyli, odbiorą wszystko, — cała zaś masa drobnych sum, ofiarowanych niegdyś Marszałkowi przez ludzi ubogich, obarczonych rodziną, ludzi, dla których pieniądze te były całym mieniem, — przypadnie zupełnie.

Nastąpićby to musiało szczególnie w takim razie, gdyby do targów nie stanął nikt prócz Goldhabera lub jego pośredników, co było prawdopodobnem, gdyż wówczas sprzedanoby majątek za bezcen.

Pamiętając o tych nieszczęśliwych, których głosy poszłyby do nieba ze skargą na Marszałka, a może spadłyby złorzeczeniem i przekleństwem na głowę jego dzieci, Rotmistrz biedził się z myślami jak temu zapobiedz, w jaki sposób złagodzić przynajmniej los tych biedaków, którzy słusznie skarżyć się będą. Dola ich podwójnie go interesowała — ze względu na nich samych i na pamięć Marszałka, oraz dobre imię rodziny, które miało zostać jedynym jej skarbem.

Był na to jeden jedyny sposób; oto, żeby się znalazł ktoś, coby chciał stanąć do kupna podczas licytacji i cenę pierwotną znacznie podnieść; musiałby przecież ten ktoś być przygotowanym na to, że w razie, gdyby licytujący z ramienia Golhabera cofnęli się, majątek zostanie jego własnością.

Wobec wysokiej wartości majątku trudno było o takiego człowieka — więc i chęć ratowania biednych wierzycieli musiała pozostać tylko jako *pia desideria*.

Przypadek zrządził, że Mrozek dowiedział się od kogoś ze swej klienteli, że ksiązę R. niezmiernie bogaty człowiek ma chęć nabycia w swych stronach majątku; Mrozek zakomunikował wia-

domość tę Rotmistrzowi. Okazało się, że Wapowski znał niegdyś księcia, że służyli z sobą w jednym pułku, obaj jeszcze wówczas bardzo młodzi.

Niedługo się namyślając, Rotmistrz postanowił pójść do dawnego kolegi i spróbować, czy się nie uda w nim znaleźć owego upragnionego zbawcy.

Księżę, o lat kilka nawet starszy od Rotmistrza, był to siwy staruszek, mający jednego tylko syna, dla którego to właśnie poszukiwał w okolicy tej majątku, gdyż mu chodziło o związanie go interesami z krajem w ten sposób, aby z niego na zawsze ani na długo wyjeżdzać nie mógł. Młody księżę miał rozległe dobra w zupełnie innej stronie, ale starcowi się zdawało, że nowo nabyte, potrzebujące większych starań, zabiegów i troskliwego zajęcia się, odpowiedzą właśnie jak najlepiej jego zamiarom.

Kiedy się Wapowski stawiał przed swym dawnym kolegą i przypominał mu czasy przed pół-wiekiem ubiegłe, księżę ucieszył się niezmiernie i przyjął go jak przyjaciela. Po takim wstępie, tem łatwiej przyszło Rotmistrzowi wyłuszczyć swój interes. Opowiedziawszy wszystko ze szczegółami, wytłómaczywszy się wyraźnie o co mu mianowicie chodzi, Rotmistrz potrafił tak wpłynąć na księcia, że ten wbrew uprzedzeniu, jakie miał do publicznych sprzedaży i nabywania tą drogą majątków, zgodził się na propozycję Rotmistrza i postanowił nabyć posiadłość Marszałka. Wapowski, jako niegdyś blizki sąsiad, mógł udzielić szczegółowych informacji, co postanowienie to wzmocniło jeszcze.

Rzeczywiście, kiedy po upływie dwóch tygodni, przyszedł dzień licytacji, pełnomocnik Goldhabera został niezmiernie zdziwionym znajdując niespodziewanego rywala w osobie pełnomocnika księżęcego. Rywalizacja ta podniosła znacznie nad oznaczoną sumę wartość majątku niegdyś Marszałka i w końcu, kiedy Goldhaber musiał ustąpić, majątek ten został własnością księcia.

Stało się, czego gorąco pragnął Rotmistrz; nic wprawdzie na tem nie zyskali sukcesorowie zmarłego, ale za to owi drobni wierzyciele otrzymali prawie wszystko co się im należało, a tym sposobem pamięć Marszałka została uwolnioną od zarzutów, skarg i przekleństw.

Niestety! jak to zbyt często bywa, zabiegi Rotmistrza nie zostały bynajmniej ocenione i zrozumiane przez tych właśnie, których to najmocniej obchodzić mogło. Marszałkowa, o interesach nie mając dokładnego pojęcia, a zasłyszawszy o księciu, pewną była, że on podźwignie ich z upadku i nie dopuści sprzedaży majątku, wielką więc uczuła urazę do Rotmistrza za zły dla nich przebieg tej sprawy. Żalowała, że mu się dała powodować a nawet, że nie wydała córki za Goldhabera, którego ojciec tak się wspaniałomyślnym względem nich okazał. Napróżno Mrozek wezwany do rady dowodził jej faktami, że majątku uratować nie było sposobu, że długi przewyższały jego wartość, że dla innego poprowadzenia tej sprawy potrzeba było chyba jakiego kapitalisty, któryby własne swoje pieniądze poświęcił; wszystko to się na nic nie zdało,—Marszałkowa płakała i narzekała.

Na dobitek starsza córka jej Klotylda a szczególnie syn, Zygmunt utrzymywali matkę w jej wyobrażeniach, wbrew przekonaniu Malwiny, która uwierzyła święcie w rozum i uczciwość Rotmistrza i zaklinała matkę, aby mu się niewdzięcznością nie odplacała.

Widząc, że jej prośby nie odnoszą skutku, Malwina starała się przynajmniej własną serdecznością i przyjaźnią ogrzewać naprężony nieco stosunek rodziny swojej z Wapowskiemi. O ile tylko mogła starała się zbliżyć do Zoni i wstępować w jej ślady i w krótkim stosunkowo czasie weszła na drogę pracy i tych pojęć, jakie panowały w domu Sędziny.

Co do Rotmistrza, nie mógł on oczywiście 'nie widzieć, że starania jego niechętnie są przez rodzinę mu powierzoną przyjmowane; nie zrażał się tem przecież bynajmniej. Pojmując opiekę nad sierotami Marszałka jako obowiązek, z którego go nikt prócz nieboszczyka zwolnić nie mógł, dążył on do wywiązania

się z niego w ten przynajmniej sposób, by o ile to być mogło zapewnić los jakiś zubożałej i osieroconej rodzinie.

Potrzeba więc było nałamać i Marszałkowicza do jakiejś pracy, co przedstawiało niezmierne trudności.

Syn Marszałka, odznaczający się, jak to wiemy, niepospolitą zdolnością choreograficzną, czuł wstręt niezwykłony do wszystkiego, co się pracą na chleb nazywało. Nie przestając uczęszczać do salonów, gdzie go już znacznie chłodniej przyjmowano, grał rolę zrujnowanego pana i sentymentalne zwracał wejścia na posażne jedynaczki.

Starął się Rotmistrz wpłynąć na niego przez towarzystwo Kazimierza i Czerskiego, ale to nie pomagało. Każdy poważniejszy pogląd na życie, najmniejsza wzmianka o obowiązkach raziły go, jako morał, jako kazanie i odnosiły nawet wprost przeciwny skutek.

Pozostał jeden jedyny już środek—poruszenia jego ambicji, choćby nawet próżności. Niechętnie użył Rotmistrz tego środka, ale czuł, że innej rady niema.

Pewnego dnia, wezwawszy go do siebie, zapytał wręcz.

— Co myślisz z sobą robić?

— Nie poczuwam się do obowiązku zdawania z tego sprawy,—zuchwale odpowiedział młodzik. Jestem pełnoletni, nie potrzebuję opieki.

— To też ja ci opieki mojej nie narzucam, rzekł spokojnie Rotmistrz, jakkolwiek ojciec wasz złał na mnie całą swoją władzę. Radzić wszakże i perswadować mam prawo, jako człowiek, który był już siwym, kiedyś ty na świat przychodził. Czyż sądzisz wreszcie, że rada życzliwego i doświadczonego człowieka może co młodemu zaszkodzić?

Zygmunt zamilkł i zarumienił się. Sądził, że ma do czynienia z despota, a znalazł przyjaciela; chciał się bronić nakazom, a spotkał radę starca stojącego nad grobem, który się do niego jak do syna odzywał.

— Wiesz, mówił dalej starzec, że wam z ojcowskiego mienia nic nie pozostało. Za pół roku, za rok najdalej, zajrzy w o

czy bieda i nędza. Nie miałeś czasu ani sposobności przekonania się naocznie czem jest i jedno i drugie. Ta nędza, która wyciąga rękę na ulicy i budzi w nas wstręt i litość okazywaniem ran obnażonych, niczem jest w porównaniu z tą, która się kryje, która nie ma odwagi wyciągnąć dłoni po jałmużnę, i wstydzi się pokazać ludziom swoje łachmany. Miasto jest gniazdem takich rozbitków losu: trzeba ich szukać—ale nie masz pojęcia o tem ilu ich jest. Nikt o nich nie wie, nikt o nich nie mówi, tylko od czasu do czasu na liście zrospaczonych samobójców, lub przed kratkami sądu, wystąpi z ukrycia imię jakieś, pod którem kryje się tajemnica okropnej niedoli.

— Pomyśl sobie, że masz matkę i siostry, że je los podobny spotkać może, los tem okropniejszy, że przyzwyczajone są do dostatku, do życia bez troski. Pomyśl, że na tobie leży obowiązek święty zapobiedz temu, że od ciebie będą żądać rachunku ojcowie i dziadowie pomarli z tego, co dla ich imienia, dla ich pamięci zrobiłeś. Nie wszystkoscie jeszcze stracili—tylko majątek! Zostały wam: pocziwe imię, dobra sława rodu—to bardzo wiele! Masz się na czem oprzeć, ale działać trzeba.

Zygmunt słuchał cierpliwie. Słowa te w połowie zaledwo trafiały mu do przekonania, ale przecież trafiały. Zdawało mu się tylko, że starzec przesadza w obrazowaniu nieszczęśliwej przeszłości. Zdawało mu się, że to ich w żadnym razie spotkaćby nie mogło.

— Jeżeli pan żądasz mej otwartości—przemówił odmiennym już głosem, to powiem, że ja nie jestem obojętnym na los mojej matki i sióstr. Pojmuję, że obowiązkiem moim jest byt ich zapewnić i myślę o tem.

— Że myślisz to i czujesz, byłem prawie pewnym; ale chciej być otwartym i powiedz, w jaki sposób zabierzesz się do pracowania na jutro? Nie chciałem ci mówić morałów, o! bynajmniej chcę tylko dopomódz ci mem doświadczeniem, radą przyjazną; a możesz przecie wierzyć, że życzę wam lepiej, niż ktokolwiek, z waszych znajomych.

— O tem nie wątpię,—odparł z pośpiechem Zygmunt. Dla tego też powiem co zamysłam. Chcę się ożenić bogato—to jedyny sposób wyjścia.

Rotmistrz westchnął.

— Zygunciel! że ci chęć taka przyszła, temu się nie dziwię, ale że to uważasz za ratunek jedyny, tego się po tobie nie spodziewałem.

— Czemu?

— Wiem, że posiadasz zdolności, że masz zdrowie i siły, że masz charakter; wiem, że lubisz być samodzielnym, że jesteś wreszcie ambitnym młodzieńcem. Nie sądzę, byś nie rozumiał, że mężczyzna żeniący się jedynie dla posagu, ratujący się mieniem żony, ubliża sobie i godności męskiej. Mężczyzna, który siebie ceni, opiera się na własnej sile. Jego rzeczą jest dawać żonie opiekę i podstawę bytu, nie zaś—być na jej chlebie i łasce.

— A przecież tylu mężczyzn w ten sposób postępuje,—przemówił nieśmiało Zygmunt, którego słowa Rotmistrza podnosiły i upokarzały zarazem.

— A czyliż mało ludzi bez ambicyi? czyliż mało mężczyzn bez honoru? Powiem ci więcej—małżeństwa takie są tak częste, żeśmy się wszyscy z niemi oswoili; ale wierz mi, że takich mężów nikt nie ceni. Wstręt budzi kobieta, która się sprzedaje, ale czyż nie wstrętniejszy mężczyzna taki?

— Przyznaję—rzekł Zygmunt, ale gdybym pokochał majątną pannę i zyskał jej wzajemność, nie sprzedałbym się, biorąc ją za żonę.

— Ma się rozumieć. Ale czy na to liczyć można? czy można na tem opierać przyszłość osób najdroższych, najbliższych sercu? Może się to zdarzyć, ale może się i nie zdarzyć—a w takim razie—co?

Wiem — mówił dalej Rotmistrz — bo mi to nieboszczyk ojciec wasz powiedział, że starałeś się o hrabiankę M.

Zygmunt zarumienił się.

— Hrabianka M. nie jedna w tem mieście.

— Niewątpliwie, ale i nie ona jedna mogła tak z tobą po-

stąpić. Czy masz odwagę narażać się na dalsze tego rodzaju odmowy?

— Znajdę może ludzi, którzy mnie lepiej przyjmą i ocenią.

— Nie przeczę, ale pomyśl — za co cię cenić mają? Majątek? — ty go nie posiadasz. Imię — znajdzie się niejedno równie dobre—lepsze nawet. Zresztą to nie jest własność twoja osobista, wyłączna. Zdolności? — skoro nie objawione w czynach — cóż warte? Wychowanie? uroda? — Czyż jednym i drugim nie chlubią się inni? Wreszcie i to nie stanowi zasługi osobistej. Nauka? wykształcenie?

Zygmunt się zarumienił.

— Za cóż więc cię mają cenić? A czy wiesz zresztą jak dziś traktują ludzi bez majątku? Czy wiesz, jaką ma cenę dobry ród i nazwisko, którem się chlubisz? Posłuchaj i rozważ, — hrabianka M., której ci odmówiono, wyszła za Goldhabera.

Zygmunt zacisnął pięście.

— Ale ty nie wiesz — co to jest Goldhaber...

Młodzieniec spojrzał zdumiony.

— Ja ci powiem, bo nie wiesz pewnie. Oto dziad dzisiejszego bankiera był arendarzem w waszym majątku, u twojego dziada. Jako wasz sąsiad — pamiętam te stosunki. Otóż — słuchaj. Prawnik waszego arendarza został twoim szczęśliwym rywalem. Tobie kazano przed nim ustąpić, ty byłeś od niego niższym... Wszak prawda?..

Zygmunt milczał zawstydzony.

— Oto w jaki sposób szanują dziś ród i nazwisko, to, słowem, co ty masz najlepszego.

Rzecz naturalną, że nie wszyscy i nie wszędzie myślą w ten sposób; są i tacy dla których majątek nie stanowi jedynej kwalifikacji, — ale powiedz sam, gdy taki ojciec zapyta ciebie — co przynosisz od siebie wzamian za przeznaczony córce jego posag? Jeśli zapyta—coś zrobił i do czego jesteś zdolnym—cobyś mu odpowiedział?

Kto się szanuje — ten od nikogo nic darmo nie bierze. Wyraz *laska* ogniem pali twarz mężczyzny. Można bez, ubliże-

nia godności własnej ożenić się z posażną panną, nie mając majątku, ale skoro się ma fach jakiś w ręku, jakiś chleb własny, jakąś własną siłę. Pomyśl o tem, a jeżeli ci rady moje i uwagi trafiły do przekonania, przyjdź do mnie, a ja ci pomogę we wszystkim.

— Dziękuję, — rzekł wzruszony Zygmunt, całując w rękę starca. Nigdy mi ojciec w ten sposób nie mówił. Pomyślę i rozważę.

I odszedł zawstydzony i nieśmiały.

— Gdybyż i tego jeszcze uratować się dało! — rzekł z westchnieniem Rotmistrz, siadając do swego warsztatu.

XIX.

Uplłynął rok od śmierci Marszałka, a nic się w życiu naszych znajomych nie odmieniło, nic — jeżeli idzie o wypadki nadające rzeczom i ludziom inny kierunek.

Ścisłe wszakże mówiąc, każdy dzień w życiu naszym jest zmianą; zmieniamy się z każdą chwilą, bo to prawo naszego bytu — to konieczność.

Przypatrzmy się życiu Wapowskich. Napozór wszystko tak samo jak dawniej — a przecie są różnice.

Tadeusz zmienił się może najwięcej. Uplynęło blisko półtora roku od dnia, który roztrzygnął o jego losie. Od tego czasu przeszedł on wszystkie stopnie — od rozpaczliwej boleści, aż do uspokojenia i ciszy serca. Wprawdzie serce to nie było wolnem od tęsknoty i chwilowego żalu, wprawdzie pamięć Amelii nie zatarła się wcale w duszy, wprawdzie szczęśliwym nie był bynajmniej, ale powoli, stopniowo, nieznacznie goiły się rany jego serca i pierś wolniej zaczynała oddychać...

Było w tem powolnem powrocie do zdrowia moralnego coś z uczuć i wrażeń rozbitka budzącego się z omdlenia. Podobieństwo to było tak wielkie, że Tadeusz sam je odczuwał, sam na

niem rozmyślał, aż w końcu powstał w rozbudzonej wyobraźni szkic do kompozycji będącej plastycznym przedstawieniem jego losu.

Artysta przejęty tą myślą zrobił gipsowy model grupy, którą następnie miał wykuć w marmurze w wielkich rozmiarach.

Model przedstawiał się w ten sposób:

Burza wyrzuciła na brzeg zemdlonego rozbitka. Uspokojone snąc fale liżą mu jeszcze stopy i igrają na piaszczystym wybrzeżu, jakby go obudzić chciały.

Powoli, powoli ożywcze świeże powietrze dostaje się do jego piersi, — wiatr porusza mu długie włosy osuszone już działaniem promieni słonecznych, krew żwawiej krążyć zaczyna, twarz ożywia się coraz więcej — otwiera nareszcie oczy — i spostrzega nad sobą cudowne zjawisko.

Młode dziewczę, urocze, jasnowłose, z siecią rybacką na rękę, spostrzegło nieznanomego młodzieńca i pochyla się nad nim nieśmiało i ciekawie.

Na twarzy jego maluje się zdziwienie, współczucie i lekki półśmiech zachwytu...

Oczy ich spotkały się nawzajem — jej duże, jasne, śmiejące — jego wpół omdlałe, niepewne, zdumione...

Jeszcze chwila -- a przemówią do siebie.

Taki był szkic pomysłu Tadeusza.

Nie czekając długo, zabrał się on do modelowania go na wielką skalę, — stanęło rusztowanie, z niekształtnej bryły glinianej wystąpiła w ogólnych zarysach postać leżącego młodzieńca, lecz gdy przyszło z kolei do drugiej postaci — Tadeusz bezsilnie opuścił ręce.

Spostrzegł, że dawny ukochany typ niewieści, że Amelia, o której zapomnieć się starał, znów jak dawniej stawała przed okiem jego wyobraźni i wbrew woli kierującej jego ręką, patrzyła nań z gipsowego modelu.

— Znowu ona! i wечно ona! — zawołał, odrywając się od pracy. Na toż zniszczyłem jej obraz, najdroższą sercu

pamiętkę, aby go odtwarzać na nowo! Czyliż nie zdołam pomyśleć o innej? Czyż świat cały nie ma innego typu?

Spojrzał na stojący przed nim model.

— To ona! ona! to jej kształty, jej postać, jej głowa, jej rysy!... Nie! tak być nie może — znajdę inną.

I zamyślił się, przypominając sobie wszystkie typy spotykane w życiu. Napróżno! żaden z nich nie nadawał się do jego pomysłu.

Otworzył okno i stanął przed niem. Był pogodny wieczór jesienny, słońce czerwone, płomienne chyliło się ku zachodowi, miejskie ogródki i skwery złociły się w jego promieniach, gwar uliczny nie ustawał ani na chwilę — panorama miasta pełną była ruchu i różności.

Ani się spostrzegł Tadeusz, jak myśl jego uniosła się ponad ten gwar i ruch ludzkiego mrowiska, popłynęła w dal po promieniach słonecznych w daleką stronę, gdzie cytryny kwitną, gdzie szumią lasy oliwne, gdzie niebo lazurowe przegląda się w szklistej powierzchni jeziora, gdzie rozkwitał kiedyś kwiat jego marzeń, dziś złamany.

Nie prędko się spostrzegł, że znowu zapadł w zakazane marzenie, westchnął, odwrócił się i chciał zamknąć okno, gdy naraz obraz niespodziewany zwrócił jego uwagę. O kilkanaście kroków od Tadeusza, w tej samej linii, tylko złamanej pod prostym kątem, w innym skrzydle kamienicy było okno otwarte, a w niem postać kobieca. Młode, szesnastoletnie zaledwie dziewczę w perkalikowej sukience wdzięcznie otulającej w pół-rozwinięte kształty, z rozpuszczonym jedwabnym włosem popielatego koloru, który spadając na okrągłe ramiona, złocił się w promieniu słonecznym, stało schylcne nad stojącą na oknie klatką.

W klatce było gniazdeczko i dwa żółte kanarki. Jeden z nich znosił do gniazdka zbierane skrzętnie okruchy i ziarenka makowe, — dziewczę sypało ostrożnie przez kraciatą ściankę ziarenka drobnego siemienia i zaglądało z uśmiechem zachwytu i ciekawości do tajemniczego gniazdeczka.

Jej wielkie szafirowe oczy nasycaly się tym widokiem, a usteczka różowe, w pół otwarte w uśmiechu, wywoływały pojawienie się dwóch małych dołków w rumianych, śnieżnym mchem okrytych policzkach. Jedną rękę miała wyciągniętą do klatki, druga o drobnych różowych paluszkach dotykała ust z gestem lekkiej obawy.

Pochylenie tej figurki, ruch głowy i ręki — wszystko do najdrobniejszych szczegółów było tak piękne i estetyczne, jak to tylko zdziałać może natura sama, mistrzyni wdzięku i prostoty.

Była to Emilka Czerska.

Ona nie widziała Tadeusza, nie podejrzewała wcale, że ją kto widzi, — ale on spostrzegłszy ją raz, nie oderwał oczu, aż dziewczę znikło, biegnąc na wołanie sędziny.

— Mam! mam! wykrzyknął radośnie Tadeusz, — model mój sam przyszedł do mnie. Mam inny typ kobiecy -- jakiegoby mi sta rzeźbiarzą pozazdrościć mogło!

I uradowany tem odkryciem, zaczął biegać po pokoju. Całość zamierzonej kompozycji stała teraz przed nim jakby skończona — i taka właśnie, jakiej pragnął.

— Lecz, że ja na nią dotąd nie zwróciłem uwagi! — mówił do siebie, — to dziwne. Nigdy się w niej nie dopatrzyłem takiego wdzięku!...

W tej chwili drzwi się otworzyły i ów żywy model wbiegł do pokoju, prosząc go na herbatę.

— Śliczna! rzekł do siebie, idąc za jej śladem, — lecz mcnoby się omylił, ktoby sądził, że ten epitet odnosił się wprost do Emilki. Artysta podziwiał ją jedynie jako model, cieszył się z góry powodzeniem swej pracy, doskonałością swej kompozycji. Nie rozumiała tego dziewczyna i zdziwiła się spotykając ciągle odtąd zwrócone na siebie wejrzenia Tadeusza.

Zdziwiła się i — złąkła czegoś zarazem. Dotąd śmiała jak z kuzynkiem — zaczęła się teraz płonąć na jego widok i pierwsze rozkoszne a niezrozumiałe marzenia zaczęły nawiedzać ją w snach dotąd spokojnych i niczem niezamąconych...

Małując dalej obraz zmian, które, choć niewidocznie, zaszyły jednak z czasem w rodzinie Wapowskich, przechodzimy z kolei do Rotmistrza.

Był to, jak wiemy, starzec krzepki i silny, pomimo lat blisko ośmdziesięciu. Dwuletni pobyt w mieście zostawił wszakże na nim ślady. Przyzwyczajony do powietrza wsi, do ruchliwego życia, do wygod wreszcie, jakich gospodarstwo wiejskie dostarcza — nie mógł się już oswoić z tak odmiennymi warunkami, w jakich żyć mu przyszło w mieście. Życie siedzące, brak powietrza, brak ruchu, obok ogólnej zmiany bytu, — niesmak moralny, jakiego doznawał na widok tych drobnych, nędznych nikczemności, z jakimi mu się przyszło co chwila spotykać, — wszystko to podkopywało powoli zdrowie i siły starca.

— Kiedy was widzę, mówił do swych młodych przyjaciół — Tadeusza, Kazimierza, Czerskiego i Grodka, — zdaje mi się, że młody, — czuję się zdrowszym i silniejszym...

I jak dawniej zgromadzali się oni w dzień świąteczne w pracowni Tadeusza, i jak dawniej próbował się z nimi starzec na szable, ale i oni widzieli, że Rotmistrz z dniem każdym słabszy i smutno im było na myśl, że może ich pożegnać.

Z tem większą skwapliwością chwyтали jego słowa, tem cenniejszym był dla nich sąd jego, bo czuli, że kiedy te usta raz zamilkną, nikt do nich może drugi raz w życiu tak nie przemówi.

I trudno uwierzyć, jaki wpływ miało na nich towarzystwo starca. Kazimierz, zawsze skłonny do gwałtownych uniesień i namiętności gorących, rósł we własnych swych oczach w powagę i dojrzałość umysłową. Grodek pozbył się resztek niechęci dawnej do szlachty, i jeżeli się jeszcze zżymał na widok herbów i koron, to tylko wtedy, gdy widział profanacją tych godeł, gdy pod nimi ukrywała się nicość moralna i brudna żydowska spekulacja, którą tak gardził Wapowski. On go czcił, jak ojca, więcej niż ojca, o ile widział wyższość moralnej i umysłowej potęgi.

Tadeusz, pod wpływem dziada, uzbroił się w ową męską rezygnacją, która mu pozwoliła znieść stoicko cios otrzymany od losu i odżyć nowym zapalem, który go wrócił rodzinie i sztuce.

Czerski wreszcie, który żył cały przeszłością skupioną w zakurzonych archiwach, w pergaminach zbutwiałych, w literackich i kronikarskich zabytkach, widział w Rotmistrzu uosobienie tego wszystkiego, co w tej przeszłości było prawem, pięknem i czystem. Słowo Wapowskiego, poparte życiem i czynem wyświecało mu wiele tajemnic, przedstawiało mu jasno to, co się w mgłę wieków gubiło, tracąc swoje wyraźne kontury. Wapowski był dlań żywym komentarzem przeszłości, doskonałą syntezą światów pozornie sobie przeciwnych i wrogich.

Kochając go jak ojca, czcząc Sędzinę jak matkę, Czerski wcielił się serdecznie do rodziny Wapowskich, zrósł się z jej potrzebami, uczuciami, nadziejami—z jej życiem. A koroną tego stosunku i tego przywiązania była miłość dla Zoni, miłość, która powoli, nieznaczenie, niepostrzeżenie wkradła się do jego serca w miejsce przyjaźni i potężniała z dniem każdym, z każdą chwilą.

Rotmistrz to poznał i zaczął uważnie śledzić usposobienie Zoni. Z gorączkową prawie skwapliwością zajął się zbadaniem tych dwojga ludzi, jakby mu zależało na pośpiechu w tym względzie.

Czerski, jak wiemy, był codziennym Wapowskich gościem; jako takiemu nic nie stawało na przeszkodzie zbliżać się do Zoni. Mieli więc czas i sposobność poznania się najdokładniejszego, w różnych i najrozmaitszych warunkach. On przynosił jej książki, ona grała mu świeżo wystudyowane utwory muzyczne, niekiedy zaś mówili z sobą długo i obszernie o przedmiotach naukowo-społecznych, które poruszał Czerski, lub o rodzinie i stosunkach rodzinnych, które obchodziły najmocniej Zonię.

Chwile te spędzane w domu Wapowskich wydawały się młodzieńcowi czemś dziwnie uroczym i szczęśliwym. Bo też było

tam u nich zacisznie i ciepło; serdeczność i powaga gospodarzy oddziaływały na gościa w tak miły, rokoszny sposób, że mu się chciało i wierzyć i kochać, i spowiadać się z bólów serdecznych i dzielić się z tymi ludźmi całym swym dobytkiem moralnym. Zaczność, powaga i rozum Rotmistrza, dobroć, miłosierdzie, anielska łagodność Sędziny, natchnienie i zapał Tadeusza, piękność wesołość i niewinność Emilki, wszystko to, miało wpływ magiczny na każdego, kto progi domu tego przekraczał. Cześć synowską obudzał Rotmistrz, miłość synowską nakazywała Sędzina, przywiązanie braterskie, połączone z uwielbieniem i podziwem, zyskiwały sobie Zonia i Emilka, dwa żywe, najpiękniejsze kwiaty, jaśniejące wpośród bujnej, rokosznej zieleni roślin i drzew wazonowych, pielęgnowanych przez wszystkie trzy kobiety, z troskliwością niezmierną. Nad tem skromnem mieszkankiem, pełnem słońca, zieloności i ciszy, zdawał się unosić dobry Anioł, duch opiekuńczy tego gniazda, sprawiający, że każdy, kto tu wchodził, musiał za drzwiami zostawić wszelką złą myśl, wszelką chęć nieczystą, zwątpienie, szyderstwo i niewiarę. Co więcej, kto znalazł się w tem gnieździe, tracił pamięć swego sieroctwa i opuszczenia, zdawało mu się, że jest u siebie, w kółku najbliższych sobie, najszczerzych ludzi.

Jeżeli ktoś posądzi mnie o przesadę w opisie powyższym, żałuję go, bo snąc nigdy nie miał szczęścia wejść w takie gniazdo szczero-polskie, ogrzać się jego ciepłem. Przeciwnie, nie do przesady—do braku się raczej przyznaję, gdyż są rzeczy nie dające się opisać, są wpływy, których doznać trzeba, aby zrozumieć, są wrażenia, które potrzeba odczuć samemu.

Domowe ognisko Wapowskich nie było, jak wiemy, odgrozione murem chińskim od świata; ludzie ci nie żyli powietrzem sztucznem—bynajmniej; postępu idee, znajdowały w niem gościnne przyjęcie i przyswajały się i rosły, jak bujny krzew na płodnej i wdzięcznej ziemi; ale też postęp nie wchodził tu piorunem, nie niszczył domowych świętości, nie wywracał odwiecznego porządku, nie wyzwalał dziecka z pod władzy rodziny, nie wypędzał

kobiety z jej świątyni, ale jak promień słoneczny przychodził łagodnie i cicho: grzejąc, świecąc, pocieszając.

I dziwił się Grodek szczególnie—on, któremu się dawniej zdawało, że taki dom, to aika przesądów, że takie gniazdo, to niezdojta warownia uprzedzeń kastowych, ciemnoty średnio-wiecznej, niechęci dla wszystkiego co się postęmem nazywa; dziwił się i nadziwić się nie mógł, że tu było zupełnie przeciwnie, że nie nienawiść, ale miłość światła panowała w tym domu, i że to, co na wielkiej arenie świata rodziło się wśród rozlewów krwi i pożogi, to w imię czego mordowano się nawzajem, kwitło w tym zakątku rodzinnym bez burz i hałasu, a wydawało najpiękniejsze kwiaty.

To też cieszył się niezmiernie z tego, że Malwina upodobała sobie towarzystwo Wapowskich, że przylgnęła do nich, co wywołało widoczne i szybkie zmiany. Choć przez czas niejaki unikał jej widoku, bywała częstym u Wapowskich gościem siostra jego Jadwiga, i od niej wiedział o usposobieniu i przekonaniach swej ukochanej. Powoli zaczął szukać zbliżenia się do niej; kiedy zaś ujrzał, że uprzedzeń względem niego niema (co miał przeważnie Wapowskim zawdzięczać), zaczął bywać coraz częściej i przekonał się, że jest kochanym.

Kółko młodzieży zbierające się na trzeciem piętrze, było, jak widzimy, związane z sobą silnemi węzłami. Czernski uwielbiał Zonię, Grodek kochał Malwinę, Kazimierz szukał towarzystwa i widoku Jadwigi, a ona kochała go serdecznie choć tajemnie. Jeśli dodamy do tego młode dziewczątko Emilkę, która z dniem każdym więcej łączyła się do Tadeusza, chociaż on nawet nie domyślał się tego, to będziemy mieli wyobrażenie o tej harmonii niczem niezamąconej, jaka panować musiała w tem gronie.

Nad tą całą gromadką czuwało dwoje ludzi: Sędzina i Rotmistrz—ona była ich sercem: on głową.

Napróżno jednak Malwina starała się wciągnąć siostrę do tego kółka. Klotylda dotrzymywała towarzystwa matce i razem płakały, gniewały się na losy, narzekały niekiedy na Rotmistrza, a już najbardziej zżymały się na Grodka i jego siostrę.

Nad ich przejednaniem pracował Rotmistrz; szło mu to o-
pornie, ale czas w pomoc mu przychodził. Grodek znów zaczął
bywać na drugim piętrze i z dniem każdym rosły jego na-
dzieje.

Czas i samotność zwyciężały stopniowo niechęć i uprzedze-
nia tych kobiet. Były osamotnione, gdyż Zygmunt opuścił mia-
sto i od pół roku pracował już na wsi, ucząc się gospodarki
w majątku swoich dalekich krewnych. Było to zwycięztwo Rot-
mistrza. Zwycięztwo zaś czasu objawiało się głównie ustawicznym
zmniejszaniem się funduszu marszałkowej. Wobec tego, że obie
kobiety nie umiały wcale nałamać się do swej nowej pozycji,
i nie poszły śladem Malwiny, która pracowała już wspólnie z Zo-
nią i Sędziną, wobec zupełnej ich nieudolności, po wyczerpaniu
resztek pieniędzy należało się obawiać poprostu niedostatku, lub
gorszego jeszcze--życia na łasce u jakich krewnych.

Ta ostatnia perspektywa najbardziej przerażała Marszałko-
wą. Że zaś Grodek zyskiwał z dniem prawie każdym lepsze sta-
nowisko i mógł przedstawić pewną gwarancją dobrego bytu,
matka Malwiny oswoiła się powoli z myślą tej ostateczności,
i czekała aż małżeństwo to przyjdzie do skutku.

Tak stały rzeczy po przejściu roku.

XX.

Był dzień jesienny, pogodny, jeden z tych, jakie miewamy
niekiedy w końcu Października na wstępie do słotnych, chło-
dnych i mglistych dni listopadowych, poprzedzających zimę
i śniegi.

Rotmistrz Wapowski w poobiedniej porze wybrał się na
miasto.

Miał na sobie płaszcz czarny długi, krojem swym przypo-
minający deliã staropolską, na głowie czapkę wysoką, załamana
z białym barankiem, w ręku kij sękaty, gruby z rogiem bawo-
lim u góry. Szedł powoli, trzymając się prosto, nieco sztywnie
i nie patrzył wcale na przechodzących obok niego, zajęty widocz-

nie jakąś myślą. Dążył tak do mieszkania Czerskiego, wiedząc, że w tej porze zastanie go w domu.

Przeszedłszy kilka ulic, stanął u celu. W oficynie niepozornej kamienicy, na piąterku, przy otwartem oknie, siedział młody historyk i wczesnie spostrzegł zdążającego doń starca. Z pośpiechem, który tłómaczył, jak mu ten gość był drogim, wybiegł więc aż na podwórze i wprowadził go po schodach do swego pokoju.

Pokój był to niewielki, o dwóch oknach, jasny; sprzętów w nim było mało, ale od podłogi aż do pował leżały przy ścianach stare i nowe książki, rękopisma i zwoje starych pergaminów, w skutek czego czuć było woń archiwalnej stęchlizny, rozpraszaną w tej chwili potokiem świeżego powietrza wpływającego przez otwarte okna. Przed jednym z okien stało biurko, na niem wszystkie przyrządy do pisania, w kącie łóżko, nad łóżkiem na starym spłowiałym kobiercu starszy jeszcze i ściemniały obraz Matki Boskiej Częstochowskiej a przy nim stara zardzewiała szabla dziadowska.

Stół i kilka krzeseł dopełniały umeblowania.

Czerski posadził swego gościa na najlepszem miejscu, uściaskał jego dłonie i rzekł radośnie:

— Szczęśliwy dzień ten dla mnie,—drogi Rotmistrzu; wasze niespodziewane odwiedziny 'są już dziś dla mnie drugą radością.

— Cóż takiego? mów, mów przyjacielu — podziel się ze mną twojem powodzeniem.

— Otrzymałem dziś posadę, o którą się staram od czasu przybycia do tego miasta. Mianowano mnie bibliotekarzem tujszej akademii; miejsce to stałe — byt zapewniony na całe życie!

— Dzięki Bogu! — zawołał starzec, — nie przypuszczasz może, że ja to mam za dobrą dla siebie wróżbę...

— Czy być może?

— Tak jest—nie daremnie przyszedłem do ciebie. Mamy z sobą o czemś ważnem **pomówić**.

— Słucham z uwagą, — przemówił Czerski, nie wiedząc wcale o czem gość jego myślał.

— Stary jestem — zaczął Wapowski, niedługo może przyjdzie mi was pożegnać, — z dniem każdym to czuję więcej, że niedaleko mi do końca. Nim umrę, muszę się zaspokoić względem losu moich najbliższych... A najbardziej chodzi mi o Zonię. Znam życie, i świat i ludzi; wiem jak trudno kobiecie samotnej na świecie; wiem zresztą czego ona warta — to złote dziecko! to skarb prawdziwy, — to szczęście, myślałem sobie, dla człowieka, którego żoną zostanie...

Od kiedy zaczęłaś u nas bywać, poczciwy Antoni, poznałem, że macie nawzajem do siebie sympatyą i przyjaźń. Nie tailiście się z tem — widzieliśmy to wszyscy. Ale oto od pewnego czasu zacząłem uważać jakąś różnicę w waszym stosunku. Zacząłem was badać i poznałem prawdę. Ty kochasz ją.

Czerski się zapłonił.

— Uwielbiam ją! — Czcigodny panie.

— Wiedziałem o tem, ale to nie wszystko. Że cię ona szanuje, że ci sprzyja — to pewne, — ale, czy cię kocha?

— Czy ona mnie kocha? — nie wiem! nie śmiałem marzyć o tem!

— I wystarczał ci wasz dotychczasowy przyjazny stosunek?

— Bo o innym nie mogłem myśleć! Jestem ubogi, — ona warta największych dostatków... Ona zasługuje na to, by świecić całemu światu, by ją wszyscy podziwiali i bili jej czołem, — ja zaś żyję w tak ciemnym zakątku, w tak szczupłym zakresie, że świętokradztwemby było z mej strony myśleć o przyswojeniu sobie takiego skarbu! Kocham ją nad życie, szczęście jej — wystarczy mi za wszystko... Przytem... myślałem sobie, że ona, jakby stworzona na to, by rodowi Wapowskich dawną przywrócić świetność... Kiedy męty i fusy społeczne na wierzch wychodzą, kiedy na szczycie naszego społeczeństwa sadowią się jego wyrzutki, — imię wasze i cnoty wasze powinny wypłynąć znowu koniecznie i jak dawniej zajaśnieć... Sam niejednokrotnie mówiłem, czcigodny panie, że przeznaczeniem starych rodów jest przewo-

dniczyć narodowi na drodze chwały, cnoty i postępu, — kto zaś przewodniczyć ma, ten powinien być na czele, na tego powinny być zwrócone oczy wszystkich, ten powinien stać na świeczniku! Panna Zofia zasługuje ze wszech miar na to, by zostać perłą najpierwszej rodziny w kraju. Jej wdzięki, jej zdolności i jej cnoty nie mogą, nie powinny zostać w ukryciu! Ja mogłem ją tylko podziwiać i uwielbiać, — o jej wzajemności nie marzyłem nigdy i nie wiem nic...

Rotmistrz słuchał poważnie; oczy jego śledziły za twarzą mówiącego, pełną zapału i wyrazu, lecz gdy skończył, starzec pokiwiał głową...

— Mylisz się, mylisz się — przyjacielu. Cenię twoje uczucia, szanuję twoją skromność, ale przekonań twych nie podzielam. Mówisz, żeś ubogi, a ona warta dostatków... Mylisz się! — ona warta *szczęścia*.

Mówisz, że zasługuje na to, by ją wszyscy podziwiali...

Nie! — niech ją tylko *szanują* i *czczą*, ktokolwiek pozna. Ludzie biją nieraz czołem zalotnicom, podziwiają lalki — ona warta *szacunku*.

Mówisz, że jest jakby stworzoną na to, by rodowi naszemu przywrócić dawną świetność... Cóż to znaczy? świetnością rodu jest cześć nieskalana, prawość nieposzlakowana, — cnota — tej nie straciliśmy świetności... Jeżeli o marny blask chodzi — nigdy on nie był świetnością rodów, jeśli innych nie było klejnotów! Dziś zaś to, co nazywasz mętami społecznymi, błyszczy tą właśnie mniemaną świetnością. Nie zazdrośćmy im jej! — to szych — nie złoto!

Mówisz, że obowiązkiem naszym jest przewodniczyć narodowi i dla tego musimy stać na czele. To prawda, ale stać na czele w moralnym, nie w materyalnym znaczeniu! Rozumiem wartość stanowiska i majątku: jedno i drugie stanowi potęgę w ucziwem ręku — ale ona nie jest jedyną. Zresztą chwila dzisiejsza inne nam zakreśla drogi. Posłuchaj!

Był czas, że szlachta stała na wyżynie, górując nad ogółem stanowiskiem swoim, przywilejami, godnością, przeznaczeniem i miarką.

niem. Przeznaczeniem jej wówczas było świecić narodowi. Szlachta była odłamem szlachetnego kamienia stojącym na wierzchu społecznej piramidy i rzucającym na nią światło swoje. Był czas, żeśmy pełnili swoje zadanie.... Ale oto przyszły inne czasy—zapomnieliśmy o swem przeznaczeniu, o swych obowiązkach względem ogółu, zasklepiliśmy się w sobie i wydało się nam, że cel swój mamy sami w sobie.... Więc ręka Przedwiecznej sprawiedliwości opuściła na nas młot swojej kary, rozbiła bryłę naszą na tysiąc kawałków i zmięszała te odłamki szlachetnego kamienia z innymi. Odtąd przeznaczeniem naszym nie świecić na górze, ale rozświecać siłą tradycyjnej cnoty i godności otoczenie swoje, otoczenie, w jakim Bóg nam znaleźć się kazał. Niech każdy w swoim zakresie stara się przewodniczyć w dobrem i do dobrego, — a stworzy się całość doskonała — różnorodna bryła społeczna zmieni się w jeden kamień szlachetny....

Mówisz, żeśmy powinni stać na świeczniku. Nie! obowiązkiem naszym jest *świecić*, nie—stać na świeczniku. Kto stoi na świeczniku, zwraca na siebie wprawdzie oczy, ale i zawistne zwraca spojrzenia. W obec nich najmniejsza ułomność ludzka w potworną się zmienia, każda wina urasta do zbrodni, a co gorsza, każda ułomność zgorzenie szerzy. Kto się na szczyt wdziera, ten niżej upaść może niż każdy inny.

Mówisz wreszcie, że cnoty i wdzięki Zoni nie powinny zostać w ukryciu—to błąd. Przeznaczeniem niewiasty jest świecić w ukryciu. *Domu strzegła,— kądziel przędła*, pisano na nadgrobkach rzymianek, — to samo i dziś jest największą chwałą kobiety. Żle jest, jeśli o której wiele mówią za życia — to jej ubliża. Cnota niewieścia, ma to do siebie, że wejrzenia tłumu ją plamią. Podziwiamy odwagę i zdolności tych, które śpieszą na scenę czynów i pracy męskiej, sięgając po birety, laski sędziowskie i inne godła zawodów męskich, ale kochajmy i szczęście nasze powierzajmy takim, które strzegą ognisk domowych. Stu najlepszych lekarzy-kobiet, nie przyniosą krajowi takiej korzyści, jak jedna dobra matka. <http://rcin.org.pl>

Wiem zresztą o tem, że nieszczęśliwe warunki bytu, wywołują rozpaczliwą konieczność takich prób. Każda walka ma swe ofiary,— niewiasty takie, to są stracone czaty postępu. Należy ich żałować i starać się o usunięcie konieczności takiej, ale niech nas Bóg broni, abyśmy wszyscy musieli wystawiać na takie próby żony nasze, córki i siostry! — Ich przeznaczeniem życie rodzinne, choćby w najciaśniejszym zakresie.

Zonia jest skarbem moim, moją dumą, moją pociechą — a nie chcę dla niej innego jutra. Niech o niej nikt nie wie i nie mówi, byleby ją mąż czcił i kochał; niech życie jej przejdzie jak najskromniej i najciszej — lecz niech szczęśliwą będzie i kochaną, niech ma królestwo własne — kółko rodzinne, i niech w niem świecił — Oto czego chcę doczekać, nim zamknę powieki.

Starzec otarł oczy zroszone łzami rozrzewnienia i spojrzął bystro na wzruszonego i przejętego młodzieńca.

— Chcesz dziecku temu dać szczęście?

— Pani! zawołał Czerski, padając do kolan Rotmistrza, czyż możesz wątpić, że byłoby to zadaniem całego mego życia? Jeżeli wy mnie ośmielacie sami, jeżeli nie gardzicie mną — niema rzeczy, którejby nie oddał, nie poświęcił za takie szczęście! — Do dziś byłem tak ubogim, żem ledwo miał na własne li-che utrzymanie i na potrzeby siostry. Dziś właśnie doczekałem się kawałka chleba, który już mogę z żoną podzielić, choć nie śmia-łem myśleć, że zechce go zemną panna Zofija przełamać. — Jeżeli ona przystanie, jeżeli kocha mnie — dzień dzisiejszy zaliczę do najszczęśliwszych w życiu i wyda mi się, żem posiadał skarby całego świata! — Ale ja nie odważę się zapytać jej o to -- ona zawierzyła przyjaźni mojej, była ze mną jak z bratem; zawiodłem jej zaufanie, zwracając na nią spojrzenie kochanka. — Nie moja w tem wina. Tailem się z tem i ona się może miłości mojej nie domyśla, ale stłumić budzącego się uczucia nie byłem w stanie.

— Wybadam ją sam, — odrzekł Rotmistrz, powstając. Przyjdź do nas dziś wieczorem. Jeżeli mi pomyślną udzieli wiadomość, jeżeli powie, — a nie ma dla mnie tajemnic, że kocha

cię — ułatwię wasze zadanie. Gdyby się stało inaczej — poznasz to sam.

To rzekłszy, starzec pożegnał Czerskiego i odprowadzony przezeń aż na podwórze, odszedł szybkim krokiem. Wtedy Czerski, któremu szczęście oddech tłumiło w piersi, który czuł już i wiedział, że to nie złudzenie, że to nie sen, który przemija, — przebiegł kilka razy po pokoju, upadł na kolana przed starym matki obrazem i rozplakał się jak dziecko.

XXI.

Możesz sobie wyobrazić z jaką niecierpliwością czekał Czerski nadejścia wieczoru. W miarę jak się na dworze ściemniało opanowywał go niepokój serdeczny. Nie wątpił prawie, że Zonia mu jest wzajemną; ale to przekonanie jego opierało się nietylko na faktach, ile na przeczuciu i domysłach samych.

Rzeczywiście Zonia nie okazała nigdy i w niczem głębszego przywiązania, któreby pozwoliło sądzić, że oprócz przyjaźni i sympatyi żywi dla kuzynka jakie inne uczucia.

A może go ona nie kocha? może go nie zechce? Wątpliwości te wzmagały się i rosły co chwila; zdawało mu się, że takiego szczęścia spodziewać się nie ma prawa, że nic go do tego nie upoważnia, że się łudzi. I tak bez końca dręczył się przywidzeniami i trwogą niepewności, aż zegar na wieży wybił godzinę szóstą — nadszedł czas oznaczony.

Szybko przywdziawszy płaszcz i nacisnąwszy czapkę na czoło, wybiegł z domu Czerski i udał się do Wapowskich. W drodze spotkał dwóch znajomych, którzy mu winszowali otrzymanej posady; on te powinszowania wziął sobie za dobrą wróżbę, ale zajęty myślą o Zoni zapomniał nawet o tem, co przez długie lata było przedmiotem jego marzeń.

Stanął wreszcie przed domem Wapowskich, spojrzął w okna trzeciego piętra — wydało mu się, że widzi w jednym z nich postać ukochanej, że ta czeka na jego przyjście.

Z bijącym sercem, cały drżący wbiegł na schody, zadzwonił

nił i za chwilę otworzył drzwi do pokoju, gdzie się zwykle zbierano na herbatę.

Zrazu nie był w stanie rozpoznać kto był w pokoju, tak mu się w oczach mąciło, tak był zmieszany. Wkrótce jednak przewidział.

Przy oknie stał Rotmistrz poważny jak zwykle, lecz uśmiechnięty i dziwnie uroczysty, — obok niego ręką o stół oparty Tadeusz z okiem świecącym, z twarzą niezwykłego wyrazu, — w kącie figlarnie uśmiechnięta Emilka, na kanapie siedziała Sędzina, tuląc do piersi głowę klęczącej przed nią i zapłonionej Zoni.

Gdy wahający się, wzruszony Czerski stał u progu jeszcze, nie śmiejąc postąpić naprzód, Zonia zwróciła się ku niemu ze łzami w oczach, a Sędzina wyciągnęła rękę, wzywając go do siebie.

Podbiegł wreszcie, rzucił się do kolan tej, którą czcił jak matkę, a ona złożyła pocałunek na jego czole, i rękę córki podała mu w dłonie. Porwał uniesiony radością młodzieniec tę rączkę, która zadrżała mu w ręku jak ptaszyna trwożna, i do ust swych przycisnął. Wtedy zbliżył się Rotmistrz i Tadeusz, z otwartymi ramionami, czekając jego uścisku, Emilka padła w objęcia Zoni i rozpląkały się obie.

Dość długo trwała ta scena, której milczenia nikt ani chciał, ani mógł przerywać, — łyzy radości i rozrzewnienia świecące w oczach wszystkich były jedynym tłumaczem uczuć i wrażeń. Przyszedł na to Kazimierz, potem Malwina, uściskom i pozdrowieniom nie było końca, i tegoż wieczora młoda para zamieniała pierścionki, jako wzajemny zakład przyszłego szczęścia. Za wolą Rotmistrza, który naglił, postanowiono, by ślub się odbył w zapusty. W tym właśnie czasie przypadała rocznica ślubu rodziców Zoni.

Nazajutrz po tej uroczystości rodzinnej u Wapowskich odbyła się druga podobna u Marszałkowej. Grodek oświadczył się formalnie i został przyjęty, jakkolwiek nie obudziło to tyle radości, jak zaręczyny Zoni i Czerskiego. Były i tu łyzy i uściski,

ale prawdziwie szczęśliwą czuła się tylko młoda para. Matka małżeństwo to uważała jako smutną konieczność, Klotylda zaś, jako starsza gniewała się na losy, że ją pominięto.

To też ciężko jakoś i niemilo było na drugim piętrze, i młodzi narzeczeni korzystali z każdej możności, by pójść do Wapowskich, gdzie tak swobodnie, wesoło i bez żadnego przymusu czas im schodził.

A znaleźli się i pretekst do tych częstych odwiedzin, gdyż Sędzina wraz z ciotką i Emilką zaczęły się zabierać do szycia wyprawy, a Malwina, która również musiała o tem myśleć, nie mogła się obejść bez ich rad i wskazówek.

Gdy się to dzieje, tymczasem Tadeusz pracował z zapałem nad swym rozbitkiem. Robił sobie nadzieję skończenia tej grupy w ciągu roku i wysłania jej na zapowiadzaną wystawę powszechną. Zmuszony poświęcać część swego czasu na zarobkowe roboty, z tem większem upragnieniem powracał do tej pracy, która była dzieckiem jego natchnienia, obrazem moralnego stanu, która wreszcie miała się przyczynić do artystycznej sławy swego twórcy.

W niektórych dniach, gdy tego było koniecznie potrzeba, pozowała mu Emilka. Towarzyszyła jej nieraz z ciekawości Zonia, ale częściej się zdarzało, że byli sami. Emilka ubierała się w tym celu w sukienkę uszytą według wskazówek artysty, w której jej było niezmiernie do twarzy. Biedne dziewczę, widząc zwrócone na siebie spojrzenia Tadeusza, bladło i rumienilo się na przemian — a on nic tego nie uważał i nie podejrzывał nawet, że ta sama Emilka, którą miał zawsze za dziecko i nie inaczej traktował, mogła go pokochać niedzielną miłością.

I rzeczywiście nikt się tego nie domyślał, nawet Sędzina, której była ona pieśczołką i faworytką.

O wczesnem nad wiek nawet rozwinięciu główki dziewczęcia wiedział najlepiej brat jej — Czerski. W ciągu dwóch lat nauki systematyczniejszej, umiejac przedtem zaledwo czytać, pisać i rachować, — Emilka zrobiła tak wielkie postępy, że trudno było temu wierzyć; nawet Jadwiga, siostra Grodka, która nazy-

wała ją najmiłszą przyjaciółką swoją, — podziwiała jej niesłychane zdolności, przyznając, że dziś już byłaby ona w stanie złożyć egzamin na którejkolwiek pensyi, przewyższając swem wykształceniem naukowem nierównie starsze od niej panienki.

Ale, choć wszyscy wiedzieli o tem uzdolnieniu umysłu Emilki, nikt nie przypuszczał, że w równej mierze rozwijały się jej uczucia i zdolności moralne. Tymczasem szesnastoletnie to dziewczę dojrzało już na istotę myślącą i czującą głęboko. Czerski, który kochając serdecznie jedyną swą siostrę nie chciał jej z góry poświęcać na los, tak nieraz opłakany — nauczycielki, uczył ją nie — *myśleć pamiętać*, rozwijał jej pojęcia ogólne, nie przeciążając głowy zbyt dużą obfitością faktów, w skutek czego główka Emilki zamiast przedstawiać chaos i pustki, rozjaśniła się myślą własną, pracującą, nieustannie czynną.

Przypuszczając, że może wbrew jego chęciom i nadziejom, przyjdzie kiedy siostrze konieczność chwycenia się pracy zarobkowej, wolał Czerski dać jej klucz do wszelkiej wiedzy — możliwość samodzielnego myślenia i zastanawiania się, niż obciążyć jej pamięć zbyt dużą ilością wiadomości, które zamiast być skarbem, bywają nieraz niepotrzebnym balastem młodego umysłu.

Z tem wszystkiem zastosowanie tego poglądu pedagogicznego pociągnęło za sobą może nieco przedwczesne obudzenie się serca. Nie przechodząc tego stadyum rozwoju, w którym młode dziewczę jest tak zwaną *gąską*, Emilka od razu z dziecka stała się kobietą: nie bawiły jej gałganki i bagatele, ale zajmowała każda nowa postać, każda nowa myśl budząca się w główce, każdy czyn piękny i szlachetny, lub przeciwnie, ciemnej natury, słowem — wszystko to, co nie obchodzi wcale podlotki, rozbijające niemiłosiernie fortepian, płamiące się ustawnie atramentem, na dowód głębokich studyów, uczące się na pamięć z książek mądrości wszelakiej i marzące o swym ideale — sukni z ogonem.

Zdrowa przytem atmosfera domu Wapowskich wychowała

ją na prawdziwie polską dziewczeczkę, tkliwą, szczerą, pobożną, niewinną w najobszerniejszym znaczeniu tego słowa.

Jedno, co powinno było zwrócić uwagę ogólną, to zmniejszenie się dawnej wesołości Emilki: z dniem każdym stawała się poważniejszą, jakby smutniejszą nawet. Sędzina pytała ją o zdrowie, Zonia żartowała z tej zmiany, Czerski przypisywał ją rozbudzonej zdolności myślenia, jedne tylko oczy śledziły grę twarzy dziewczęcia i dostrzegły, że zmian tych powodem może być Tadeusz.

Były to oczy Rotmistrza.

Przyzwyczajony do badania ludzi, czuwał on nieustannie nad całą swą rodziną. Czy to Sędzina czuła się niezdrową, czy Zonia miała troskę jaką, czy Tadeusz powracał chwilowo do dawnej tęsknoty, — wszędzie zwracał się on pierwszy z radą, uwagą, pomocą. Spojrzenie jego łagodnych, smętnych oczu poważnie patrzących z pod siwych nastrzępionych brwi, zdawało się wszystko przenikać i wszystko widzieć. I w tym razie choć nie rychło — on pierwszy poznał prawdę i postanowił czuwać nad nieświadomą samej siebie dziewczyną.

Tymczasem dni płynęły za dniami, a w sercu Emilki rosło i potężniało pierwsze, ale głębokie uczucie. Nie pojmując co się z nią dzieje, nie rozumiejąc z kąd jej niepokój i smutek pochodzi, dziewczę upajało się rozkoszą tych wrażeń i rozkwitało z dniem każdym, jak kwiat w promieniach majowego słońca.

Gdy się to dzieje, Kazimierz, któregośmy już oddawna nie widzieli, pracował zapamiętale, zyskując sobie z dniem każdym więcej uznania i stając się coraz potrzebniejszym na fabryce. On także przygotowywał na Wystawę Powszechną dzieło własnego pomysłu — była to maszyna ulepszonego systemu, której kompetentni oddawali wielkie pochwały. To, czego by wytrzymała praca nie zdołała uczynić, sprawiła zdolność twórcza Kazimierza, mianowicie — został on pomocnikiem dyrektora z gażą, która mu już zapewniła życie wygodne i pozwalała nawet na wydatki zbyt wysokie. Pierwszym takim wydatkiem było bogate futerko aksamitne sobolowe, ofiarowane Zoni w dniu jej urodzin, przy-

padającym w Grudniu. Tegoż dnia, nie dając wyprzedzić się bratu, Tadeusz złożył jej na wiązanie ciężką suknię jedwabną, okazale ubraną. Jedno i drugie godnem było dawniejszych rodziny dostatków, ale Rotmistrz nawet, jakkolwiek wielce był pod tym względem surowy, nie zganił wnukom tego postępuku, wiedząc, że miło im było z własnej pracy swojej ofiarować siostrze część przedślubnej wyprawy, godnej jej wdzięków.

Wszakże, przemyśliewając nad potrzebami ukochanej siostry, dając matce i dziadowi również dowody swojej pamięci i płony pracy własnej, Kazimierz myślał i o sobie—marzył o stworzeniu swojego gniazda.

Do marzeń tych usposabiała go siostra Grodka, Jadwiga, którą szczerze pokochał.

Tał się z tem i nie zwierzał się nikomu. Nawet przyjaciel nie znał wcale stanu serca Kazimierza — zwłaszcza że, jako sam zakochany, o sobie tylko myślał i żył własną tylko miłością.

Kazimierzowi się zdawało, że powinien wprzód doczekać się ślubu Zoni, wywiązać się względem niej z obowiązków braterskich, a potem dopiero odezwać się z własną sprawą.

Zresztą, jakkolwiek był prawie pewnym, że dziad nic nie będzie miał przeciwko jego zamiarom, chciał się wprzód o tem przekonać, nim sam na seryo zacznie projektować.

Rotmistrz, którego kochał i czczył, jak ojca, Rotmistrz, któremu zawdzięczał swój los, swoją godność osobistą, odrodzenie swoje, — był dla niego w tym razie wyrocznią. Pomimo swego przywiązania, pomimo szczerzego uczucia, zdolnym był nie usłuchać głosu serca, gdyby na to Rotmistrz odmówił swego zezwolenia.

Stała się wszakże rzecz, której nie śmiał przypuszczać: w miesiąc po zaręczynach Zoni i Czerskiego, Rotmistrz, korzystając z odwiedzin wnuka, odezwał się w ten sposób.

— No, Bogu dzięki, — o Zonię jestem spokojny. Opatrzność jej zesłała człowieka prawego, zacnego, przywiązani są nawzajem do siebie — da Bóg, będą szczęśliwi. Ale na was teraz kolej: przyszłość zacnego rodu na was spoczywa. Zonia będzie Czer-

ską — a cóż stanie się z Wapowskimi? Tadeusz niedawno jeszcze przeboleał — od niego nie można jeszcze wymagać nowego uczucia i nowych planów. Ale — ty! ty, mój chłopcze? Wyszedłeś na człowieka, masz lat dwadzieścia siedm, — w tym wieku ojciec twój się żenił. Wartoby pomyśleć o tem...

Kazimierz zaczerwienił się i milczał.

— Cóż to? straciłem twoją ufność? ukrywasz coś przedemną? No — spojrzyj mi w oczy! A widzisz, widzisz, zuch, czytam tu jak na dłoni, że się kochasz!

Kazimierz zadrżał. Było to dla niego nagłe i niespodziewane odrycie. Uderzyło go jasnowidzenie starca.

— Tak jest, dziadku—kocham, ale musiałem się taić z tą miłością...

— Czemu? Pocziwe uczucie nie potrzebuje cieniów.

— Bóg mi świadkiem, że kocham uczciwie i całym sercem. Ale, jeżeli mam odpowiedzieć obowiązkowi, jakie na mnie tradycja rodu wkłada, może przywiązanie moje jest grzechem.

Starzec się zmarszczył.

— Cóżby to było? Chyba ja o tem nic nie wiem? Obowiązek twój, jak ci go kiedyś wskazałem, każe ci być prawym, uczciwym człowiekiem, głos sumienia i serca ważyć nad dźwięk złota, gardzić handlem moralnym — nie gardząc żadną uczciwą pracą. Obowiązkiem twym wreszcie, jako Wapowskiego — jest mieć własną rodzinę, — synów mieć, bo tych ród nasz i kraj potrzebuje. Cóż uczyniłeś wbrew tym obowiązkom?

— Nie umiem kłamać i nie chcę... zaczął Kazimierz.

— Słusznie! przerwał Rotmistrz, — żaden z Wapowskich nie kłamał, — to tradycja rodzinna.

— Powiem wszystko. Kocham Jadwigę Grodek. Znasz ją dziadku, — wiesz czy warta kochania. Kocham ją i wiem, że mnie kocha, — ale, dziadku, wiesz i o tem, z jakiej pochodzi rodziny... Czy wolno mi wprowadzić dziecko nieszlacheckie do gniazda przodków moich?..

— Gniazdo nasze było gniazdem szlacheckim, — rzekł Rotmistrz. Mówiłem ci, że szlacheckim można być w każdym sta-

nie!— A cóż to? czy z nas księżęta niemieckie, co to złotem z ką, dzieli złocić muszą swe berła? Imię twoje tak jasne, że mogłoby sto innych rozjaśnić,— nie nazwisko żony, ale twój własny grzech chyba mógłby je przyćmić.— To nie stara szlachta lęka się nierównych związków — jej one zaszkodzić nie mogą,— to te przybłędy szlachectwa, dla których herb nie chwają, ale ozdobą na karcie, stronią od zetknięcia się z innemi, by im się ich licha pozłota nie starła! — To nie stara szlachta rozprawia o mezalian-sach a sprzedaje się Goldhaberom! Nie! u nas mezalian—to związki z niczemnymi moralnie ludźmi, — to ten nędzny handelek jarmarczny tytułami i imieniem! — Bądź spokojny chłopcze, — rozgrzeszam cię z mniemanego grzechu, w imieniu pradziadów twoich.

— Jako, dziadku! czy sobie życzysz tego związku? Ależ to dla mnie szczęście, jakiegom się nie spodziewałem!

I upadł do nóg starca Kazimierz, a ten go podniósł i uści-skał.

— A ty myślałeś, że ja nie wiem o niczem? Oho! bratku, — poznałem twoją ptaszynę dobrze wpierw, nim ci myśl przysłała do klatki ją naszej wprowadzić. Szczęść Boże!— a nie zwlekajcie, bo chciałybym jeszcze pradziadkiem być, nim umrę.

I poprowadził uszczęśliwionego Kazimierza do matki, która jak się okazało, była także na to przygotowaną. — Więc powtó-rzyła się chwila radości rodzinnej, dobry Anioł tego gniazda uś-miechnął się dobrotliwie, a Kazimierz, otrzymawszy pozwolenie i błogosławieństwo od swoich — miał dopiero oświadczyć się pan-nie i jej rodzicom.

— A co? mówił Rotmistrz do Sędziny, pokręcając wąsa, — nie mówiłem: Wyszumi młode piwko i lepsze będzie?

XXII.

Z nadejściem zimy miasto ożywiło się znowu. Zaczęły się wieczorki i zabawy, a na jednych i drugich oczywiście była mo-

wa o nowinach bieżących. Tych znalazło się sporo. Niezmiernie sensacyjną wiadomością było blizkie małżeństwo Kazimierza Wapowskiego z panną Grodek. Pamiętano jeszcze te czasy, kiedy to *le beau Casimir* był najgłośniejszym z lwów salonowych, i kiedy mówiono głośno o stosunkach jego z Baronową Julią, po cichu zaś o księżniczkach i hrabiankach, które się w nim miały kochać. Nie dziw, że na wieść o *kupcównie*, która serce jego ostatecznie pozyskała — obudziło się powszechne zdziwienie i wzruszenia ramion.

— Czy przynajmniej bogata? — pytały damy.

— Wcale nie, — ojciec sprzedaje podobno zapałki!

— Więc zapałki musiały obudzić zapał, — odezwał się jakiś dowcipniś.

— C'est étonnant! — C'est absurde! — powtarzano na różne sposoby.

— Ależ Sędzina, Rotmistrz? — pytano niekiedy, — toż było niegdyś wielkie państwo — cóż oni na to?

Właściwie nikt nie mógł w tym względzie dać szczegółowych objaśnień, ale od czegoż dowcip? — Powstały więc najrozmaitsze wersye. Według jednej Rotmistrz miał być stanowczo przeciwnym, i nawet podobno przekląć wnuka za mezalians. Druga opiewała jakąś okropną scenę familijną, która się miała skończyć spazmami i epilepsyą. Trzecią — powtarzano sobie na ucho, podczas gdy damy uśmiechały się złośliwie. To jedno było faktem, że nikt nie wierzył w rzeczywisty przebieg stosunku.

Baronowa Julia miała podziwiać w tem wpływ fabrycznego dymu, który ma straszliwie oddziaływać na ludzi dystyngowanych, przemieniając ich podobno w samojedów. *Le beau Casimir* zdegradowanym został na samojedą, co miało być zresztą dowcipnym synonimem samobójcy.

W związku z wiadomością o Kazimierzem była druga historia, niemniej ciekawa, o Marszałkównie zdegradowanej na mieszczkę. Cały piękny świat nie wątpił ani przez chwilę, że ludzie ci potracili zmysły. Bo gdybyż jeszcze wielkie pieniądze —

no! Ale *se profaner pour rien* — to coś niepojętego, *ça n'a pas de sans commun!*

Sądząc, że w rodzinach tych zapanowała mania mezalian-sów, dziwiono się, czemu panna Wapowska nie wyszła za szewca, jakkolwiek nie o wiele więcej ceniono Czerskiego — *un certain individu* podejrzanego gatunku, *pauvre diable*, którego szlachectwo należało jeszcze sprawdzić, gdyż jest podobno gryzipiórkiem jakimś *n'importe ou*. Powtarzano sobie za to na pociechę że miała się wkrótce powiększyć rodzina Goldhaberów, *grace à M-me Henri Goldhaber—née Comtesse M^{re}* oraz że państwo Środkowski doczekali się syna.

Tę ostatnią wiadomość komunikowano sobie z jakimś dziwnym uśmiechem, zwłaszcza, że Środkowski-ojciec, który wszędzie się musiał wkręcić, gdzie tylko zbierali się ludzie z *towarzystwa*, opowiadał każdemu o tem szczęśliwym zdarzeniu, i zaklinał się na wszystkie bogi, że synek ów jak dwie krople wody do niego podobny.

C'est sûr! — zauważył ktoś dowcipny — wnuczek jest również łysy i głupi, jak dziadunio.

Nie przeszkadzało to nikomu pić szampana za zdrowie nowej latorośli starożytnego domu Środkowskich, i całować się z uszczęśliwionym dziadkiem ile możności.

Mówiono też sobie o ministeryalnej głowie młodego Środkowskiego, który podobno gienialnie miał podejść swego teścia i jego już pieniędzmi, po odtrąceniu sumy posagowej robić olbrzymie interesy.

Cóż zresztą?— A! byłbym zapomniał: mówiono o nowo założonym towarzystwie nawracania moralnie zaniedbanych kobiet, którego kuratorką została piękna Baronowa Julia, a opiekunem i dobroczyńcą bankier Goldhaber. Donosiły nawet gazety o znacznej sumie na ten cel przez niego ofiarowanej. Ubolewano nad piękną baronową, że wkracza już w fatalną dla piękności fazę nawracania, a podziwiano niewyczerpane miłosierdzie bankiera, o którym pisały gazety.

W samej rzeczy milionowego tego pana ubodzy mogli ko-

sztować najmniej z jakie tysiąc rubli rocznie! — Ha! *la noblesse oölige!*

Do nowin wreszcie ogólnie miejskich należało zjawienie się wspaniałego pałacu przy jednej z pryncypalnych ulic. Był to pałac jakiegoś pana Szui. Dopytywano się o niego po salonach, czy żonaty? Okazało się, że jest do wzięcia, ale choruje na spleen i nie udziela się nikomu. Ten spleen i ta kamienica budziły niezmierny interes.

Oto, o czym mówiono na zabawach i zebraniach. Zbliżały się tymczasem zapusty, a z niemi ślub Czerskiego z Zonią. Chciał Rotmistrz, aby się jednocześnie mogły odbyć zaślubiny Kazimierza z Jadwigą, ale to się okazało niemożliwym z powodu, że zobowiązanie roczne Jadwigi, jako nauczycielki, kończyło się dopiero przed Wielkanocą. Stało więc na tem, że po Przewodniej Niedzieli odbędzie się w jednym dniu ślub obu przyjaciół, Kazimierza i Grodka.

Wolałbym, żeby wcześniej! — powtarzał Rotmistrz — kto wie czy doczekam Przewodniej Niedzieli... Ale kiedy inaczej być nie może — zgodzić się trzeba.

Wyprawa Zoni była już na ukończeniu. Oprócz znacznej pomocy ze strony braci, Sędzina przeznaczyła na ten cel część owej sumki pozostałej ze sprzedaży klejnotów, a przygotowanej na nadzwyczajne potrzeby. Że zaś przytem kobiety same zajęły się szyciem, całość stosunkowo niewiele kosztowała.

Jakkolwiek Rotmistrz tak naglił, jakby miał przeczucie blizkiej śmierci, patrzącym zdawało się, że silniejszym jest i zdrowszym niż kiedykolwiek. Przygotowania przedślubne ukochanej wnuczki dodały mu sił i energii. Z zaoszczędzonych i zarobionych własnoręcznie pieniędzy dał jej sto rubli na suknię ślubną; zalecając, aby już z tego nic nie oszczędzać. Czerski i Grodek ze zdziwieniem dostrzegli w tym człowieku pewną słabość, o którą go nie podejrzewali zgoła. Słabością tą była osobliwa u niego próżność, sprawiająca, że chodziło mu bardzo o możliwą okazałość ślubu Zoni. Przykro mu było, iż okoliczności nie pozwalały na sprawienie jej hucznego wesela, na któremby mógł uko-

chaną wnuczkę swoją prowadzić w pierwszej parze poloneza, i ucho pieścić szmerem podziwu, jaki piękność jej wywołałaby musiała. Przychodziły mu na myśl okazałe uczyty weselne rodziców Zoni, oraz swoje własne i wzdychał, kiwając głową.

Była to rzecz nowa dla wszystkich, od czasu bowiem przyjazdu do miasta, wyraźnie unikał wspomnień przeszłości, i zachowywał zawsze humor pogodny i bez troski.

Jednak ani Czerski, ani Grodek nie cieszyli się z tej zmiany, —owszem, robiło ona na nich przykre wrażenie, jako objaw posuwającej się do grobu starości, która zwykle wskrzesza z tem większym żalem minione czasy, że wkrótce się i z pamięcią o nich pożegnać przyjdzie.

Tak słońce mające zagasnąć, otacza się blaskiem i purpurą, przypominającą wschód i żywe barwy poranku...

Pomimo tej wszakże tęsknoty, nie przestał czynny zawsze starzec przenikać otoczenie swe bacznem wejrzeniem i czuwać nad swą rodziną. Szczególną teraz uwagę zwrócił na Tadeusza. Coraz częściej przychodził do pracowni, zasiadał na przeznaczonem dla niego miejscu i patrzył, jak pod ręką artysty marmur się zimny ogrzewał, ożywiał, nabierał wyrazu i siły, jak w nieruchomą, martwą bryłę głazu wpływał duch młody i gorący i rozpromieniał ją cudownie.

Nieraz zapatrzony w ten obraz, zaczynał mówić... Mówił długo, półgłosem, jakby do siebie, a Tadeusz słuchał go, oddech mując w piersi, lękając się, by nie przerwać tych natchnionych zmyślań starca.

Była to także rzecz nowa. Rotmistrz mówił zazwyczaj jasno treściwie. Przemówienia jego cechowała pewna młodość zapału bok dojrzałości doświadczenia; znać było w przemówieniach tych myśl trzeźwy, myśl ustawicznie pracującą.

Teraz owe głośne rozmyślenia nosiły na sobie cechę pewnego spoczynku myśli a obudzenia się jakby pamięci. Zbierając plony doświadczeń i myśli, pamięć wskrzeszała mgliste obrazy, których znaczenia należało się nieraz domyślać.

Były to, jakby zdaleka dolatujące akordy jakiejś wielkiej harmonii, często niepowiązane z sobą nawzajem tonami.

Oto próby podobnych marzeń.

— Patrzę i widzę cuda... cud się mym oczom odkrywa... zimny kamień ogrzewa się za dotknięciem ludzkiej ręki... Powstają żywe kształty... budzi się dusza w kamieniu... Bóg podzielił się z ludźmi cudotwórczą siłą... ludzie zrzekają się jej dobrowolnie... sprzedają skarb ducha za kawał marnego kruszczu... Biedni i szaleni... Ale nie! skarbu tego sprzedać nie można—można go tylko zmarnować, splugawić... stracić. Co za nierozum! Co za świętokradztwo!... Syn zmarnotrawi ojcowiznę swoje i skarży się, i płacze. Co tu skarga pomoże! Są skarby, które się nie tracą, chyba się ich kto wyrzeknie, chyba o nich zapomni, chyba wzgardzi niemi... Śmierć?... niema śmierci! — Gdzie grób — tam i zmartwychwstanie, — duch jest nieśmiertelny, — skażonym tylko być może... Skażenie — to śmierć ducha... innej niema...

Kamień się ożywia — a czyżby to co żyło świadomie — odżyć nie miało? — Człowiek ma cudotwórczą siłę, ale jej niezna i nie umie użyć. Ma siłę wskrzeszania, ale potrzebuje znać słowo zaklęcia... Słowo to daje miłość, — słowem tem poświęcenie... Kochać trzeba, żeby tworzyć, — poświęcić się, boleć trzeba, żeby wydać na świat owoc miłości... Miłość ojcem — poświęcenie matką...

...Ale ludzie gonią za rozkoszą samą.. oto prześcigają się, tratują się nawzajem, depczą, mordują..

I nazwano to *walką o byt*... Daremnie krew niewinnego baranka spłynęła na Golgotę..

...Walczyć o byt? — tak, walczyć z sobą samym, z ułomnościami swemi. Wróg nasz — to my, jego zwalczyć trzeba. Ale nierozumiemy tego...

...Kto w sobie ducha umorzył — ten nikogo nie wskrzesi...

Walczyć o byt z innymi? Nie!... *pracować* na byt, nie walczyć! Praca jest także walką, ale z sobą... Zwyciężyć siebie — to tryumf

...Ale cóż począć ze szczęściem? każdy go pragnie, wszyscy

go szukamy... Gonimy za niem po sercach słabszych braci — byle bliżej do celu... byle wyżej!

Bez miłości i bez poświęcenia nie ma szczęścia! Czemże ono na ziemi, jeżeli nie poczuciem wszystkich sił ducha, jeżeli nie zeznaniem pełnego życia?... Samolub żyje odrobiną życia — nie może być szczęśliwym. Kamień niemający zeznania bytu, poczucia siebie — nie jest szczęśliwym. Czuć w piersi swej twórczą potęgę, znać prawa swoje i siłę swoją, ukochać cel swego dążenia, iść do tego celu, skonać z wiarą, że cel ten nie był złudzeniem — to szczęście. Mieć dla kogo żyć i cierpieć dla kogo — to szczęście na ziemi — inne za grobem...

Wysnuwszy z siebie pewny wątek marzenia, starzec zapadał w głęboką i milczącą zadumę, z której budząc się, powracał często do swego zwykłego usposobienia. Zwłaszcza każda wzmianka o Zoni dodawała mu widocznie siły. Wyprostowywał się, pokręcał wąsą, oko świeciło zwykłym blaskiem, wydawał się zdrow i silny.

Zresztą, nigdy i nikomu nie skarżył się na niezdrowie czy osłabienie, przeciwnie, chciał się wydawać silniejszym niż dawniej; tylko tym, co na to patrzyli okiem miłości i trwogi zdawało się, że stan Rotmistrza wzbudza obawę, że się starzec posuwa do grobu.

Na tydzień przed ślubem Zoni, był wielce ożywionym i ruchliwym. Przechodził po kolei do Sędziny, Zoni, Emilki i Tadeusza, każdemu się uśmiechnął a powtarzał:

— Za tydzień ptaszyna nasza wyleci z klatki! — Cieszymy się nią, póki nasza... Przyjdą, zabiorą, jak swoją. Hej! gdybyż razem nam z sobą pozostać! — Namówię Antoniego, — właśnie tuż obok nas będzie mieszkanie... Niech przynajmniej choć niedaleko stawia swoją klatkę. Żal, żal nam ptaszka naszego, choć ja to dzwoniłem sam na to kazanie!

— No, a cóż ty, Tadeuszu? przemówił, kładnąc dłoń na ramieniu wnuka, co z sobą poczniesz?

Tadeusz spojrział zdumiony; nigdy jeszcze dziad go o to nie pytał.

— Przynieśliście mi wy dziadku i matka, że nie rozłączymy się z sobą.

— Wiem, ale pomyśl, że ci tego nie dosyć, pomyśl, jak smutno tu nam będzie po rozstaniu się z naszą pieszczotką...

— Na pociechę matki zostanie Emilka...

— A na moją? zapytał starzec... mamże ciągle biedzić się tą myślą, że twoje szczęście zginęło na zawsze, że już sobie nie znajdziesz pokrewnej duszy, któraby dzieliła z tobą życia dołą i niedołą?

— Dziadku, rzekł smutno Tadeusz, moją kochanką sztuka. Ona mnie nie odstąpi nigdy i wszystko ze mną podzieli.

Zamilkli obaj. Znać było, że ta odpowiedź nie zadawała żadnego z nich, że Tadeusz tęsknił jeszcze, nie mogąc dawnej zapomnieć miłości, Rotmistrz zaś nieuważał tłumaczenia tego za dostateczne.

— Tadeuszu! przemówił po namyśle starzec, — wiem, że umiesz brać życie na seryo, — starałem się o to, byś umiał, i starania moje pomyślny osiągnęły skutek. — W wielu wypadkach życia szukałeś mojej rady — w jednym tylko nie pytałeś mnie o nią, boś wiedział z góry jakiej ci udzielę...

Mam przecucie, że już niedługo z wami zabawię, — nim Bóg mnie powoła do siebie, posłuchaj co Ci powiem i zapisz to sobie w pamięci.

Wiem o tem, że celem naszego życia nie jest nasze szczęście osobiste, ale spełnienie obowiązków. W niem tylko i przez nie szczęścia własnego szukać nam wolno. — Obowiązkiem mężczyzny jest utworzenie własnej rodziny, — wymaga tego po nim społeczność i kraj, a uwolnić go od tego może sama tylko konieczność.

Nie znam prawie większego grzechu, niż samolubstwo tych mężczyzn, którzy stronią od ognisk rodzinnych bez niezłomnych do tego powodów. — Poczciwie wychowane dziecko większą jest w obec kraju zasługą, niż największe dzieło sztuki, lub najmądrzejsza książka. — Nietyle nauką i sztuką, co cnotą obywatelską społeczeństwa stoją i wzmagają się w siłę; — im więcej

dobrych obywateli — tem kraj szczęśliwszy. Wiedza i sztuka są kwiatem narodów, rodzina ich owocem, ich podwaliną. — Poświęcenie dla sztuki jest piękną rzeczą, ale poświęcenie się jej wyłączne — to poganizm. Pierwej się jest człowiekiem i synem swego kraju, nim się staje artystą i kapłanem sztuki. Pamiętaj o tem.

— Dziadku! — rzekł Tadeusz, — znasz serce moje, bom się przed tobą nigdy nie taił. Czy mogę myśleć o małżeństwie, kiedy pamięć Amelii wiecznie żyje w mem sercu? Kłamałbym, przysięgając miłość innej kobiecie.

— Tak jest i kłamać w ten sposób nie będziesz. Ale, skoro ci idzie o zwalczenie w sobie tamtego uczucia, a powinno to być twoim obowiązkiem, — nie uciekaj od świata, szukaj — może serce przebolełe zabije dla innej, może łatwiej zmusisz je do milczenia. Nie wyrzekaj się szczęścia i nie trać nadziei, — oto co ci radzę, może raz ostatni.

Spojrzyj na własne dzieło, — dodał, wskazując na grupę *Rozbitka*, — ja w niem widzę znak Opatrzności. Rozbitek ten — to ty jesteś sam, — ja to pojmuję, choć mi nie mówiłeś, a patrz, postać dziewczęca pochyła się nad nim i uśmiechem swym do życia go woła. To dziewczę — kocha ciebie.

— Jakto? — Emilka? — zawołał Tadeusz, porywając się z krzesła.

— Niewątpliwie. Widzę to już dawno. I ona sobie sprawy z uczucia tego nie zdaje i ona może nie wie o swej miłości, ale spórz uważnie a przekonasz się.

Tadeusz przypomniał sobie teraz rozmaite chwile i szczegóły — i wszystko mu się naraz wyjaśniło.

— Więcej ci nad to nic nie powiem, — dodał Rotmistrz. Jeżeli kiedyś, gdy mnie już nie będzie, — zapragniesz serca, zatęsknisz do szczęścia własnego, — spojrzij na swego rozbitka i przypomnij sobie naszą dzisiejszą rozmowę.

XXIII.

Odbył się wreszcie ślub Zoni i Czerskiego, w pierwszych dniach burzliwego karnawału, — odbył się cicho i skromnie w tym samym kościele, gdzie się państwo młodzi pierwszy raz z sobą spotkali. — Do okazałości tego aktu należał właśnie spokój i brak wszelkiej ostentacyi, obok dość licznego zgromadzenia ludzi niezwykłych w takich wypadkach.

Wszyscy wiemy z jakich żywiołów składa się zazwyczaj publiczność owa, tłumnie zalegająca kościoły podczas odbywających się ślubów. Są to przeróżne okazy próżniaków miejskich, których ściąga prosta i bezmyślna ciekawość. Tłoczą się oni gwałtownie, śmiejąc się i gwarząc z hałasem, bez względu na uszanowanie domu bożego, bez serdecznego udziału w losach dwojga ludzi, którzy od stóp ołtarza odejść mają razem, połączeni na niedolę lub na szczęście całego życia. Nie mogą mieć tego udziału, bo najczęściej nie znają ich wcale.

A przecież należałoby się spodziewać, że choć ta jedna chwila w życiu człowieka, chwila wyrokująca o jego losie, potrafi wzbudzić jakieś zastanowienie, poważniejsze myśli jakieś w tym bezmyślnym tłumie.

Bynajmniej! Dla niego ślub — to komedia, to widowisko zabawne.... Straszna, uroczysta i pełna głębokiej treści przysięga: *a iż cię nie opuszczę aż do śmierci*, jest dla tłumu nierzadko pobudką do bezmyślnego uśmiechu, żartów i pustoty.

Bywają chwile w których i on daje się porwać jakąś szczytniejszą chęcią, jakimś podnioślejszem uczuciem, ale to chwile niezmiernie rzadkie. Najczęściej tłum — to stado — głupie, ciemne, bezmyślne — niekiedy nielitościwe i krwawe. On to przyklaskiwał niegdyś walce gladyatorów, on przypatrywał się z lubością torturom inkwizycyi, on dziś jeszcze zachwyca się w Hiszpanii walką byków, on wreszcie goni zawsze i wszędzie za wrażeniami, bez względu na ich jakość i przyczynę.

I dziw nie pomyśleć, że każda pojedyncza częśćka tego tłumu, wzięta osobno, ma przecież i myśl i czucie, które traci, zlewając się z tłumem.

Czyż nie należy ubolewać nad tymi, którzy całe szczęście swoje opierają na uznaniu tłumów; czyż nie jest osobliwym, że każdy z nas potroszę przywiązuje do niego wagę, że obecność ich ślubom, pogrzebom i innym uroczystościom podobnym nadaje w naszych oczach cechę okazałości i przepychu?...

Okazałości takiej nie miał ślub Zoni — odbył się on w zamkniętym kościele, tłumy ciekawych nie cisnęły się do ołtarza, nie deptały po sukniach i nogach, nie zaglądały w oczy panny młodej i nie cenzurowały ślubnego orszaku. Ale była tu gromadka ludzi związanych sercem z nowożeńcami, połączonych z nimi nicią sympatii i wdzięczności. Zebrali się mianowicie ci wszyscy, którym rodzina Wapowskich była pokrewną, którzy zawdzięczali jej swój byt, obsypani dobrodziejstwami Sędziego i Rotmistrza, którzy przyzwyczaili się ją czcić i poważać.

Ci wszyscy należeli do dawnych znajomych, sąsiadów, domowników i sług domu panny młodej.

Oprócz nich znalazło się wielu mieszkańców miasta. Byli to ludzie znający Wapowskich zdaleka, ale umiejący ich cenić, — koledzy i przyjaciele Czerskiego, koledzy i znajomi Tadeusza, Kazimierza i Grodka, —niektórzy ze znajomych Marszałka. Byli to po największej części ludzie młodzi, —literaci, artyści, technicy, akademicy, z których każdego przywiodła tu nie próżna ciekawość, ale chęć okazania sympatii swojej, złożenia hołdu szanowanej przez nich rodzinie.

W ten sposób nieliczne to zgromadzenie istot wybranych, przejętych jednym uczuciem szacunku i przyjaźni dla nowożeńców, nadawało uroczystości ślubnej szczególnie okazałą postać i niezwykłą cechę.

Staropolskim obyczajem państwa młodych prowadzili drużbowie i drużki: Zonię — bracia, Czerskiego—Emilka i Malwina. Po odbytej ceremonii Marszałkowa z matką Grodka podały ręce Czerskiemu, Rotmistrz zaś i księżę R* — dwaj siwowłosi starcy poprowadzili przodem Zonię, odbierającą po drodze życzenia i powinszowania wszystkich obecnych.

Komuś, coby niewiedział o przyczynie zebrania się tych ludzi, mogłoby się wydać, że istnieje między nimi a nowozaślubioną jakiś stosunek lenny, że to grono wiernych wasalów składa hołdy córce udzielnego pana, niosąc jej dań swego uwielbienia...

Żałował Rotmistrz, że ich wszystkich nie może prosić do siebie i podzielić się z nimi radością swoją. Oko starca iskrzyło się dumą i szczęściem, uśmiechał się dobrotliwie, jakby wszystkich rad był do piersi przycisnąć.

Wracających do domu przyjęła sędzina u progu chlebem i solą i pobłogosławiła starym obrazem, pamiętającym odległe wieki. Potem szczupłe grono gości weselnych zasiadło do wieczerzy, przy której Rotmistrza serdeczna gościnność połączona z majestatem godności starca zapomnieć kazała obecnym, że byli w ubogiem mieszkanku zubożałej rodziny — nie zaś w zamożnym modrzewiowym óworze potomków prastarego rodu.

Jedynem przypomnieniem dawnej świetności domu był podarunek ślubny złożony pięknej Zoni przez starego księcia. Był to krzyż brylantowy, będący kiedyś własnością rodziny Wapowskich, który powrócił dziś do dziedziczki ich imienia.

— Niech idzie złoto do złota! — powiedział książę z galanterią przypominającą stare czasy. — Te zimne dyamenty zgasną przy żywych dyamentach ócz Waszych, — bo też i dla mnie straciły one cenę, gdym raz prawdziwe zobaczył. — Niech jednak u was walczą o pierwszeństwo, którego im u siebie wręcz odmówiłem.

Nazajutrz po ślubie odprowadzono młodą parę do jej nowego mieszkania.

Czerski szczęśliwy nad wyraz wszelki z urzeczywistnienia najpiękniejszych marzeń, urządził mieszkanko swoje z największem staraniem, aby godnem było przyjęcia swej pani. Przyzwyczajona do najskromniejszych wymagań Zonia znalazła tu wiele niespodzianek radośnych, dowodzących tkliwej pamięci jej męża. Nie przekraczając granic możliwości swojej, Czerski użył wszystkich środków do upiększenia i uprzyjemnienia skromnej siedziby. Na wzór mieszkania Wapowskich, było tu jasno i ciepło,

mnóstwo kwiatów pociągało ku sobie oczy, — czystość i wdzięk świeciły w każdej stronie, — czuć było we wszystkim myśl pracującą nad upiększeniem klatki dla drogiego ptaszka.

Rotmistrz uśmiechał się i wdychał.

— Wszystko dobrze, mój poczciwy Antoni, ale od nas za daleko! Ptasek u ciebie tęsknić nie będzie, ale nam bez niego będzie smutno i pusto! —

Przyrzekli więc młodzi małżonkowie, że będą odwiedzać starca jak najczęściej. Zadumał się i rzekł, ściskając oboje.

— Czy tu — czy tam — będę z wami zawsze...

Z temi słowy pożegnał ich — i wrócił na trzecie piętro do swego pokoiku, pocieszając po drodze posmutniałą i splakaną matkę.

— Że smutno nam będzie to prawda; ale powinniśmy się cieszyć raczej! Wszakże jej szczęście — to i nasze zarazem... Opatrzność Boża czuwa nad nami!

I zdobywał się starzec na uśmiech i pogodę twarzy, by tylko ukryć tęsknotę własną. Zabrał się znowu do pracy, gawędził wesoło ze wszystkimi, ale siły widocznie go opuszczały. Im silniejszym i zdrowszym okazywał się przed ślubem Zoni, tem gwałtowniejsza teraz nastąpiła reakcja; aż w tydzień po ślubie osłabł już tak, że nie mógł powstać z miejsca.

Zawołał do siebie Tadeusza i kazał mu iść spiesznie po księdza. Sędzina i Emilka trwożnie przypadły do nóg starca, nie mogąc zataić łez boleści na widok zbliżającego się widocznie końca.

On się uśmiechnął do nich dobrotliwie.

— Nie płaczcie! — ja was nie opuszczę. Choć mnie Bóg zechce powołać do siebie, duchem będę z wami. Doczekałem się szczęścia o jakim prosił — mogę umrzeć spokojny o was. Nie smućcie mnie waszemi łzami — wszystko jest w ręku Boga a On wie najlepiej, czego nam trzeba....

Daremnie Sędzina prosiła go, aby pozwolił się rozebrać i położyć do łóżka — oparł się temu stanowczo.

Posłano po Kazimierza i Czerskich, przybył i doktor. Rotmistrz powitał go uprzejmie, ale i teraz jeszcze nie dał się nakłonić do spoczynku.

— Ośmdziesiąt lat mam, doktorze, — to choroba nie do uleczenia. Ale jako stary żołnierz chcę wytrwać do końca w szeregu. Gdy mnie mój wielki hetman powoła — stawię się do apelu, jak na żołnierza przystało. Nie lubię łóżka — [złożycie mnie na niem potem.

Dzięki ci, doktorze, żeś chciał przyjść, ale innego potrzebuję lekarza...

Kiedy nadszedł Tadeusz z księdzem — wszyscy już byli zebrani koło starca, który patrzył na nich z uśmiechem łagodnym, zatopiony w zadumie.

Na dany znak obecni usunęli się, a kapłan zbliżył się do Rotmistrza dla wysłuchania spowiedzi.

Trwała ona krótko, — starzec z całym spokojem ducha i przytomnością umysłu odkrył sumienie swoje, poczem nastąpiła komunia i ostatnie namaszczenie.

Znowu wrócili wszyscy do pokoju, — Rotmistrz podniósł się z krzesła, ukląkł ze skruchą, i klęcząc, a bijąc się w piersi, przyjął z rąk sługi bożego wiatyk na drogę daleką.

W pokoju była cisza przerywana łkaniem kobiet. Mężczyźni, przejęci uroczystością chwili, stali, połykając łzy rozrzewnienia, wpatrzeni w ten żywy obraz wiary i męstwa pradziadów.

Po przyjęciu Sakramentów, starzec znów usiadł w fotelu i z twarzą promieniującą pokojem, z okiem jasnym i pogodnym zaczął rozmawiać z otaczającą go gromadką.

Ani ksiądz, ani doktor nie wyszli z pokoju, — w tej rozmowie [przedśmiertnej było coś tak pociągającego, taka głębokość treści i namaszczenie ducha, że nikt się z miejsca ruszyć nie śmiał, by nie tracić z niej ani słowa.

Powoli upływały godziny — zdawało się, że śmierć chciała ominąć te progi, że potęga nieśmiertelna ducha, że odwaga z jaką jej czekano, odpychała ją i zatrzymywała z daleka.

Tymczasem Rotmistrz błogosławił wszystkich. Raz jeszcze połączył dłonie Kazimierza i Jadwigi, Grodka i Malwiny, — tulił do piersi wnuczkę i Czerskiego, pieścił rozplakaną Emilkę, zachęcał do spokoju i wytrwania Sędzinę, żegnał wszystkich tak, jakby się z nimi miał wkrótce zobaczyć, jakby się w podróż udawał daleką, u której celu wszyscy się razem zejść muszą.

I w pożegnaniu tem było tyle spokoju i rezygnacyi, taka pogoda jaśniała na twarzy starca, że wszyscy obecni zapomnieli o zbliżającej się śmierci i tchnienie nieśmiertelności rozwiało im chmury z czoła.

Były to godziny wydarte światu, godziny tej cichej ekstazy ducha, która się wniebowzięciem nazwać może, a której rzadko kto raz dozna w życiu — ogół zaś nigdy.

Nad ranem starzec zamilkł i zamknął oczy, szepcząc po cichu słowa modlitwy, które stopniowo nikły — rozplływały się w urwanych westchnieniach — zamilkły wreszcie.

Sądzone, że zasnął — i długo nikt nie powstawał z miejsca, bo wszyscy byli jeszcze pod doznaniem wrażeniem.

Doktor nawet polecił nie przerywać snu starca, sądząc, że go ten pokrzepi.

Ale Zonia klęcząca tuż przy dziadku przeraziła się ciszą głęboką. Przytuliła głowę do piersi starca, szukała uderzeń serca i nie znalazłszy, padła z płaczem w objęcia matki.

Rzeczywiście — starzec spał, ale snem wiecznym...

XXIV.

Całe miasto wrzało gorączką karnawałową.

Gorączka ta — to ciekawe studyum dla badacza.

Bo przecież, jeżeli chodzi o zabawę, o wesołość, o lekko-myślność, nawet zabijania czasu -- to każdy z mieszkańców ma do tego pole w każdej chwili, i ostatecznie niejeden z tego korzysta. Skoro więc każde większe miasto następcza przez rok cały okazyę do zabaw i rozrywek, jeżeli przy dobrej woli i możności hulania każdy dzień jest jednakowo odpowiednim czasem —

to skądże ten przywilej karnawałowy? czemuż w tym właśnie czasie szalejemy wszyscy?

Jest na to prosta odpowiedź: dla tego—*że wszyscy*. Każdemu szaleć wolno, ale w tłumie — to dopiero szal prawdziwy! — Kiedy *wszyscy* szaleją— trudno się szalowi obronić. Ogólny prąd porwie, pociągnie, skusi...

Dla tego to, skoro zwyczaj uświęcił czas oznaczony na szaleństwo i większość staje się posłuszną zwyczajowi, — każdy zostaje pochłoniętym przez wir ogólny — szalejemy wszyscy, szaleństwo staje się epidemią, jest w powietrzu—oddycha się niem.

Inaczej trudnoby nam było wytłómaczyć sobie wiele rzeczy...

Miasto więc przebywało właśnie gorączkę karnawałową.

Salony pańskie napełniały się co wieczór licznymi gośćmi, między którymi było wiele osób przybyłych umyślnie na karnawał do miasta. To też zabawy się ożywiły, życie zawrzało gorączkowo, niezwykle, obudziło się zajęcie powszechne, ogrzały się sztywne i zimne stosunki, a z wonią kotyliionowych kwiatów, z melodyą wesołej muzyki, z blaskiem salonowych kinkietów, wśliznął się do błyszczących podwoi elegancki, wytworny, figlarny, zdradliwy szal karnawałowy...

Skromniejsze saloniki sfer średnich — ożywiły się więcej jeszcze. Tu wesołość niekrępowana zbytęcznie więzami konwencyonalizmu, wybuchnęła żwawiej, swobodniej, serdeczniej, — z wrzawą, śmiechem i hałasem wpadł tu szal zapustny, — jowialny, szlachecki, rumieniący się starym węgrzynem, bijący w takt hulaszczemu mazurowi hołubce, porywający w swe objęcia młodzież gorącą, dziewczęta rozmarzone, starszych nawet, nie mogących mu się oprzeć, — i rzucił w powietrze wyznania miłosne, szepty zakochanych, ściśnienia dłoni, pocałunki kradzione — niebo Mahometa — pełne roskoszy i upojeń zmysłowych.

Ożywiły się i poddasza. Szwaczki biedne stęsknione za dźwiękiem mazurka, marzące o maskaradzie, wybladłe nad nużącą całodzienną pracą... Młodzież uboga, po dniach całych pracująca w kancelaryach, biurach, warsztatach, fabrykach, sklepach, — rada zawsze pobałamucić się trochę, zapomnieć na chwili-

ię o pryncypałach, dyżurach i rachunkach, — spragniona wrażeń gwałtownych, gorących, — wszystko to uśmiechnęło się, odżyło na wieść o karnawale. Wpadł on do nich, nie maskując już swego szału, wpadł z piosenką wesołą, z liścikiem miłosnym, z obietnicą schadzki tajemniczej, z przysięgą miłosną, z uściskiem namiętym, z pocałunkiem przeciągłym, z niepamięcią na jutro, z zapomnieniem o wszystkim... Hulajmy póki czas! póki młodość! póki siły! Reszta — głupstwo! o resztę nie dbać!..

Nie ominął wreszcie gość oczekiwany i suteryn wilgotnych — i tam się pokazał, ale już inaczej! Podpiły koleżka, wesoła kuma, tnie obertasa aż miło, wódką częstuje do koła, a neći i ciągnie, gdzie piskliwa muzyka grzmi od ucha, a usłużny gospodarz obdziela półkwaterkiem i traktuje tak długo, aż z ostatnim groszem wydanym z kieszeni, gość pod ławę się stoczy, marząc nowe specyały i nowe uciechy.

Wszyscy porwani szałem, — wszyscy wirują w zakłętym kole. Bal po balu, reduta po reducie, noc zamienia się w dzień, dzień do wypoczynku służy, a we śnie snuje się dalej wątek rozkosznych upojeń. Pieni się nalana czara, — nektar rozlewa się do koła; co tylko żyje — szaleje. Szal znosi wreszcie różnice sfer — jedna już tylko sfera — zapomnienia, upojenia... Oczy iskrzą się gorączkowo, obnażone łona falują namiętnie, dłonie spotykają się w gorącym uścisku, w wirze zawraca się głowa, usta spalone rzucają urwane wyrazy, serce bije jak szalone, siły opuszczają, nogi mdleją — cała orgia karnawałowa wali się w objęcia szału... Palą się w jej płomieniach lilie i róże, pękają więzy, ustępują tamy, zgłuszone milczy sumienie — piekło niepamięci pochłania wszystko i — pali!..

W taki dzień, przed wieczorem — smutny orszak pogrzebowy przechodził środkiem miasta. Chowano Rotmistrza.

Ci sami, co tak niedawno widzieli go w kościele na ślubie wnuczki, — przyszli teraz oddać mu ostatnią posługę.

Szedł przodem ksiądz w kapie żałobnej, przed nim niesiono krzyż i parę czarnych chorągwi, — za nim młodzież niosła na barkach prostą drewnianą trumnę, za trumną Sędzina i Zonia w grubej

żałobie, obok nich Marszałkowa z córkami i synem, Emilka płacząca rzewnie, — gromadka przyjaciół, — dalej karawan pusty, — a dokoła ruch i gwar karnawałowy, tłum rozszalały, pijany, wybuchający śmiechem.

Kondukt pogrzebowy przechodził cicho i poważnie, nie zwracając prawie niczyjej uwagi.

Znaleziono ostatnią wolę zmarłego, w której było wyraźne żądanie najskromniejszego pogrzebu. Trumna miała być sosnowa, nie malowana, ksiądz jeden, karawan dwukonny, — nic więcej.

Nie śmiano sprzeciwić się temu żądaniu.

Taki pogrzeb nie ściąga ciekawości tłumów. Cóż tam! biedak jakiś odbywają ostanią podróż — co nam po nim.

A jednak biedak ten otoczony był przepychem niezwykłym, ale niezrozumiałym dla tłumu.

Tę prostą sosnową trumnę nieśli ludzie zawdzięczający zmarłemu wszystko. Tadeusz, który w nim znalazł ojca swego, siłę swoją, natchnienie swoje; Kazimierz, którego zmarły wrócił społeczeństwu, któremu dał los, przyszłość, byt, cel — szczęście — wszystko; Czerski, który w nim tracił ojca i dobrodzieja a zawdzięczał mu skarby swoje całe. Grodek, którego uszczęśliwił i nowe światy przed nim otworzył. Za tą sosnową trumną szła Zonia oplakująca dobroczyńcę, ojca, przewodnika swego, — Sędzina, której był siłą, pomocą i opieką, — Marszałkowa, której powrócił syna i ocalił córkę, którą uchronił od hańby i plamy, — Malwina, której szczęście zapewnił, — Emilka, której sieroctwo opromienił, — gromadka ludzi oplakująca w nim dobrodzieja, wzór swój, przyjaciela, otuchę i pociechę.

Oto były trofea towarzyszące zmarłemu do grobu.

Człowiek ten zostawiał po sobie: trzy rodziny oddane na usługi kraju, kilka serc zyskanych społeczności, kilka rąk wprawionych do pracy, pamięć swej nieposzlakowanej prawości, przykład żywy cnoty, pracy i poświęceń, oraz niezatarte, żyjące w całej gromadce ludzi ślady pięknego życia i ziarna przyszłych czynów....

Orszak przechodził dalej, wśród falujących tłumów, przez gwarne miasta ulice. <http://rcin.org.pl>

Z cukierni przy jednej z tych ulic wyszło kilku młodych ludzi, z cygarami w zębach, z rumieńcami na twarzy, z szyderstwem w spojrzeniach.

Jeden z tego grona wiódł innych za sobą—było to jego honorowe otoczenie, koło wielbicieli zasad i przekonań swego wodza.

— A to przecie oryginała potrzeba, by w sam karnawał prznosić się do wieczności! — odezwał się jeden.

— Słuszna uwaga!— podchwycili wesoło inni.

— A wiecież kto to jest? poznaję po otoczeniu, — Wapowskiego niosą, — oryginał był to rzeczywiście ciekawy.

Wszyscy się zwrócili do wodza, który to powiedział.

— Znałeś go?

— Mów, mów nam cc o nim, — to zabawne być musi.

— Ciekawy okaz?

— Niezmiernie! Był to filar obskurantyzmu, — rodzaj szlacheckiego Katona w łachmanach. Syn mu strwonił znaczny majątek—*na usługi kraju*,— wiecie co to ma znaczyć w języku szlagonów. Środkowski wypędził ich z siedziby praocjów, więc przybyli do miasta i tu zaczął stary grać rolę apostoła.

— Nie może być?

— Nie tylko, że apostołował i nawracał na szlachecką wiarę, ale nawet udawało mu się. Widzę tu właśnie Czerskiego, który się z wnuczką jego ożenił, — ten go miał za mędrca.

— O cóż mu chodziło?

— O stworzenie królestwa bożego na ziemi...

Wszyscy parsknęli śmiechem.

— Ale — wiesz, to ciekawa figura — warto ją opisać.

— Nie zaniedbam. Rotmistrz Wapowski....

— Skądże Rotmistrz?

-- Nie wiem! — zapewne chorągwi wojującego kościoła! Otóż Rotmistrz Wapowski kruszył kopie o przewileje szlacheckie, o władzę starych rodów, apoteozował złotą wolność, piorunował przeciwko postępowi, nauce, równości — a wszystko to w imię prześwietnej tradycji. Rodzaj nowożytnego Bayarda, błędnego rycerza, króla bez ziemi.

— Czy nie myślał o stworzeniu nowej krucyaty?

— Przeciwnie! powoływał do niej wszystkich, lecz miała to być krucyca ta przeciwko nam podobno. Piorunował na handel, przemysł, jako wymysły szatańskie i żydowskie...

Zaśmiano się chórem.

W tej chwili pokazała się przed nimi figurka mała, pękata, ze słodkim uśmiechem na twarzy i Jastrzębcem na sygnecie.

— Kubuś! jak się masz! — Cóż to? nie należysz do pogrzebowego orszaku?

— Nie należę z zasady, — nie lubię pogrzebów.

— Dobrze, po śmierci spalimy cię na spirytusie.

Ależ właśnie powinienes być na tym pogrzebie. Nie wiesz chyba kogo chowają? — Rotmistrza Wapowskiego.

— Ach! Wapowski!... znam! ograłem kiedyś jego wnuka do szczętu, — znam, znam.

— Dzielny z siebie człowiek Kubusiu! tybyś i na cmentarzu potrafił założyć banczek? — No, ale idź, — to przecie apostoł szlachectwa! — tyś szlachcic.

— Szlachcic jestem — ale klnę się na mój Jastrzębiec, nie mam przesądów szlacheckich! Ja wasz całym sercem, — tylko udaję tam gdzie trzeba.

— Mądrze i praktycznie. Kubuś — ty wysoko pójdziesz — tyś pozytywny człowiek.

— To chluba moja! — klnę się na mój Jastrzębiec! Może łaska — na kieliszeczek wódki? — Dobrze? — bardzo proszę.

— No—to chyba za duszę Rotmistrza.

Rozśmieli się i weszli do cukierni.

Tymczasem orszak pogrzebowy zbliżał się już do cmentarza, a słońce spływało na białe deski sosnowe trumny, że błyszcząły jakby ze srebra.

A w trumnie leżał starzec siwowłosy, — twarz miał pogodną, usta zdawały się uśmiechać z pod białych długich wąsów, a ręce trzymał złożone na piersi, jakby się modlił jeszcze za obłąkanych.

Pogrzeb się odbył cicho i w milczeniu — nie było ani mo-

wy nad grobem opiewającej cnoty zmarłego, ani wieńców, rzu-
canych na wieko, ani gwarów obojętnego tłumu. Tylko wszyscy
obecni mieli łzy serdeczne w oczach, tylko słońce ozłociło dół
mogilny, a ludzie pytali siebie, czy mają się modlić za zmarłego
czyli do niego...

Ksiądz zaśpiewał, pokropił trumnę wodą święconą, zaczęto
już spuszczać do dołu, — dały się słyszeć żałośnie łkania, —
kilkadziesiąt grudek ziemi rodzinnej posypało się z góry, a kie-
dy kapłan zaintonował *Wieczny odpoczynek*, — kilkadziesiąt gło-
sów złączyło się z jego głosem i chór ten wznosił się uroczyście
w niebiosa, do stóp Najwyższego...

Rozchodząc się, wszyscy podali sobie w milczeniu ręce — było
to niejako nieme przyrzeczenie, że pamięć Rotmistrza pozostanie
w sercach na wieki a cnoty i zasady będą wzorem całego życia...

Nazajutrz po pogrzebie Rotmistrza, w pokoju jadalnym Wa-
powskich siedziała Sędzina, a u nóg jej smutna Emilka. Przy
oknie stał Tadeusz, mierząc je tęsknem wejrzeniem. Nikt nie
miał chęci ani możliwości prowadzenia rozmowy.

Tadeusz przeszedł do swej pracowni, gdzie mu było także
smutno i pusto, i machinalnie wziął do ręki list leżący na stole.
Było to pismo z Włoch, w którym dawny jego kolega donosił
mu między innymi wiadomościami, że panna Amalia Stafford
w tych dniach wyszła za mąż za rodowitego anglika i wraz
z mężem udała się do Anglii.

Tadeusz patrzył bezmyślnie na ten ustęp listu, ale znać by-
ło, że mu wiadomość ta była już obojętną.

Po chwili westchnął, podniósł głowę i spojrzął na stojącą
przed nim grupę *Rozbitka*.

I przypomniała mu się ostatnia rozmowa dziadka i te jego słowa:
— Jeżeli kiedyś, gdy mnie już nie będzie, zapragniesz ser-
ca, zatęsknisz do szczęścia — spojrzij na swego Rozbitka i przy-
pomnij sobie naszą dzisiejszą rozmowę...

OMYŁKI DRUKU.

Strona	Wiersz od góry	<i>zamiast</i>	<i>powinno być</i>
16	15	kobierca	kobiercu
18	6	nowa	znowu
—	23	<i>ou revient</i>	<i>on revient</i>
19	27	kobieta	kareta
23	19	powstał	pozostał
24	17	wypuszczonych	wypieszczonych
25	22	twarze	postacie
27	11	skalale	skarłale
30	7	młodzieciec	młodzieniec
—	19	duchi	duchy
31	4	ducha	dachu
—	22	<i>le bean Casimie</i>	<i>le beau Casimir</i>
32	:1	<i>le beaun Casimie</i>	<i>le beau Casimir</i>
39	24	krzatając się	kształcać się
42	34	obudzić	obudź
43	21	blacha	biała
44	12	je używa	go używa
48	28	zupełnie	zupełnie
52	1	dać wiary	dać wiare
56	25	Klocie	Kłoci
61	8	żałował	żałować
64	10	jedne	jednej
65	23	na wielkie stopie	na wielką skalę
78	6	nie ma	nie zna
93	11	dna	nad
99	10	zamianie	zmianie
100	30	monalnemu	moralnemu
101	9	marzą	marzy
102	9	To wszystko	to wszystko
103	7	skwapliwości	ze skwapliwości
104	31	pańskie	pańskiej
105	9	a	za
—	14	odrzucała	odrzucała
107	12	idea	ideał
108	27	<i>serca</i>	sercu
109	2	promienia	promienie
—	13	wydzierały	wydzierały się
110	17	kilka zmian zaszczyt	kilka zmian zaszczyt
112	5	wolnym jest	zdołnym jest
117	29	razi	<i>zrazi</i>
119	18	spiritus fiat ubi vult	spiritus fiat ubi vult
120	22	"	"
123	27	raziły	raziło
129	30	powiedział do zaczął, biorąc	powiedział do lokaja i biorąc
—	33	i czytać lokaja i	i czytać zaczął
143	35	w swych stronach	w tych stronach
162	31	scenę	arenę
164	9	Możesz	Moż na
167	11	nie—myśleć pamiętać	myśleć nie pamiętać
170	11	odrycie	odkrycie

F

1020

1021